



Foto: Grzegorz Galasiński

Nr indeksu 36762PL ISSN 0472-5042

Łódź **Odgłosy** tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 47 (1599)

ROK XXXI

20 LISTOPADA 1988 ROKU

CENA 50 ZŁ

Tragedia i wzlot Aleksandra Solżenicyna

GRZEGORZ GAZDA

„Najwyższy czas zakończyć tę przedłużającą się walkę z wybitnym synem Rosji, oficerem Armii Radzieckiej, kawalerem odznaczeń bojowych, więźniem stalnowskich obozów, riaszańskim nauczycielem, znającym na całym świecie rosyjskim pisarzem Aleksandrem Solżenicynem i zadumać się nad jego książkami”. Takim zianiem na łamach 32 numeru tygodnika „Książko Obozienie” Helena Czukowska, krytyk i literaturoznawca, kończy odpowiedź czytelnikowi, który w liście do redakcji pyta „kto to jest ten Solżenicyn?”.

Ta odpowiedź, a i inne artykuły oraz enuncjacje w prasie radzieckiej ostatnich miesięcy (np. „Moskowskie Nowosti” z dnia 7 sierpnia 1988 r.) na temat laureata literackiej Nagrody Nobla z r. 1970 świadczą, iż fale pieriestroiki: głośności zataczają coraz szersze kręgi. Jakkolwiekby już dzisiaj chcieli ocenić efekty Gorbaczowskiej przebudowy, jedno spóstrzeżenie wydaje się bezdyskusyjne: wreszcie literatura radziecka zaczyna jasnieć pełnym blaskiem, kurczą się obzary złowrogich przemilczeń, anatem i czyszców. W tym procesie rewindykacji i koniecznych przewartościowań zdaje się przychodzić kolej na dzieło Aleksandra Solżenicyna.

Aleksander Isajewicz Solżenicyn urodził się 11 grudnia 1918 roku w Kisłowodsku. Jego ojciec nie ukończył Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Moskiewskiego, w roku 1914 jako ochotnik poszedł na front. Przesłużył wojnę jako oficer artylerii i zmarł na pół roku przed urodzeniem się Aleksandra. Dziecko wychowywała matka, maszynistka i stenografistka w Rostowie nad Donem, gdzie mały Sasza spędził całe swoje dzieciństwo i młodość. Tam też ukończył w roku 1935 szkołę średnią.

Już od wczesnych lat marzył o pisarstwie, pisał pierwsze utwory i próbował je — tymczasem bezskutecznie — drukować. Chęć zdobyć podstawy wykształcenia humanistycznego wybierał się na studia do Moskwy. Choroba matki i kłopoty materialne te zamierzenia przekreśliły. Studiował więc w Rostowie na Wydziale Matematycznym tutejszego Uniwersytetu bez entuzjazmu, ale i też bez trudności: matematyka przychodziła mu łatwo, a w przyszłości miała okazać się błogosławieństwem. Jak sam wspomina — dwukrotnie ratowała mu życie. Po raz pierwszy, gdy jako matematyka przeniesiono go z obozu pracy do „szarazki” (specjalizacji o lepszym reżymie i lepszych warunkach życia przeznaczony dla naukowców, którzy

przewodili badania na zamówienie władz), i po raz drugi, gdy wykształcenie matematyczne umożliwiło mu zdobycie posady nauczyciela podczas zsyłki, już po odbyciu wyroku: ta praca zezwalała na pisarstwo i życie w znośniejszych warunkach.

Jednakowoż w latach 1939-1941 udało mu się podjąć studia zaoczne na kierunkach filozofii, historii i literatury Uniwersytetu Moskiewskiego. Tuż przed napaścią Niemiec na ZSRR Aleksander Solżenicyn kończy matematykę w Rostowie. Ze względu na nie najlepszy stan zdrowia pierwsze miesiące wojny przesłużył w oddziałach kwatermistrzowskich, a potem został przeniesiony do szkoły wojskowej, gdzie odbył skrócony kurs artyleryjski. Po jego skończeniu był dowódcą baterii zwiadowczej i walczył na froncie do lutego 1945 roku. Wtedy to został aresztowany przez NKWD, co stało się podczas walk na obszarze ówczesnych Prus Wschodnich, które w nieoczekiwany sposób będą znaczącym lejtmotywytem biografii Solżenicyna. Jeszcze w studenckich czasach za temat pracy seminaryjnej wybrał wydarzenia „katastrofy samsonowskiej” z czasów I wojny. Ta tragedia armii rosyjskiej dowodzonej przez gen. Samsonowa będzie po latach jądrem fabularnym powieści „Sierpień 1914” (ukończył ją pisarz w 1970 r.), a przeżył z roku 1945 kanwą poematu „Pruskie noce”, opublikowanego po raz pierwszy w Paryżu w 1974 (ukazała się wtedy też płyta z autorecytacją tego utworu).

Aresztowano Aleksandra Solżenicyna na podstawie doniesienia cenzury wojskowej, która przeglądała jego korespondencję ze szkolnym kolegą z innej frontowej jednostki: w listach znaleziono negatywne wyrażenia o Stalinie. „Materiałem” uzupełniającym dla oskarżenia były notatki i pomysły do opowiadań.

W lipcu 1945, kiedy jeszcze nie umilkły saluty armatnie na cześć zwycięskiego końca wojny przyszedł autor „Archipelagu Gulag” skazany został na 8 lat więzienia, co uchodziło wówczas za nader łagodny wymiar kary. Wyrok odbywał początkowo w obozach pracy (opisane w sztuce „Oleń i szalasowka”); w 1946 przeniesiono go do „szarazki”, o której już wspominałem (tę rzeczywistość „instytutów naukowo-badawczych” stworzonych przez ministerstwa spraw wewnętrznych i bezpieczeństwa państwowego przedstawili potem pisarze w powieści „W kręgu pierwszym”), a cztery lata później

Edward Grzędziński przygotowując do druku „Sprawozdanie z wyjazdu do Moskwy (Październik 1944)”, które ukazało się w numerze 1 kwartału „Z Pola Walki” z 1987 roku, zacytował fragmenty protokołu rozmowy delegacji PKWN z Józefem Stalinem o raz omówienie całego protokołu. Oto fragment dotyczący partyjnej przynależności przysięgłego prezydenta Polski: „Odnośnie prezydenta Stalin proponuje, aby Bierut stał się

■ Upiory „Kryształowej nocy” — str. 3

■ Tragedia i wzlot Aleksandra Solżenicyna — str. 1 i 10

■ Prawda o Stoczni Gdańskiej — str. 7

■ Poskromienie donosiciela — str. 11

tym nie wiadomo — nie należał? Szeffowi rządu obcego mocarstwa nie udzieli się nałownych odpowiedzi, bowiem dysponuje on sprawnie działającym wywiadem i wiele z tych informacji albo już sprawdził, albo jest w stanie sprawdzić. Bezpartyjność Bolesława Bieruta od założenia była wszakże fikcją, gdyż brał on udział w pracach Biura Politycznego KC PPR, które to posiedzenia — aby nie stwarzać dwuznacznej sytuacji — odbywały się w... Belwederze. A w lutym 1948 roku, kiedy rozpoczął się pro-

tym nazwiskiem studiował w szkole Kominternu. Do kraju powrócił w 1926 roku i do 1927 roku kierował Centralną Techniką KPP. Ponownie został aresztowany 15 stycznia 1927 roku, zwolniony został 30 kwietnia 1927 roku, gdyż — jak pisze Henryk Rechowicz — „z powodu braku materiałów obciążających Bierut poprosił o „złagodzenie środka zapobiegawczego”. Jego prośba została uwzględniona...”.

W maju 1927 roku już był w ZSRR i brał udział w IV Zjeździe KPP. Z ZSRR udał się do Sopotu, aby powrócić na

BOLESŁAW BIERUT: życiorys pełen mitów i zagadek (3)

Czy wiedział o wszystkim?

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

bezpartyjnym. Na protesty Stalin oświadczył, że jest to konieczność dla narodu i musi się to zrobić”. — Tyle protokołów, a teraz omówienie i — komentarz Edwarda Grzędzińskiego. — Swoje stanowisko motywował rozmową z Churchilllem, który jakoby miał zastrzeżenia do Bieruta jako byłego więźnia politycznego, „i jakoby miał być wymieniony do Związku Sowieckiego”. Z tych powodów — twierdził szef rządu brytyjskiego — Bierut nie może być prezydentem, „gdyż nie daje gwarancji o-biektywności, będąc zobowiązanym wobec Związku Radzieckiego”. Stalin replikował twierdząc, że Bierut w 1939 r. opuścił szeregi partii komunistycznej, „która mu ideologicznie nie odpowiadała”, i odtąd jest bezpartyjny.”.

Co oczywiście nie było prawdą. Ale powstają pytania:

1. Dlaczego Józef Stalin nie zaprzeczył, że Bolesław Bierut był wymieniony jako więzień polityczny do ZSRR?

2. Z jakiej partii wystąpił Bolesław Bierut w 1939 roku, skoro Komunistyczna Partia Polski została rozwiązana w 1938 roku, a do WKP(b) — przynajmniej oficjalnie nie o-

ces eliminowania Władysława Gomułki z kierownictwa PPR — Józef Stalin w wielu sprawach, jak choćby w sprawie stosunku do Jugosławii, zwracał się bezpośrednio do Bolesława Bieruta, który przecież formalnie nie był członkiem PPR, ani tym bardziej tą partią jeszcze nie kierował.

Powstaje jeszcze jedno pytanie: kiedy Bolesław Bierut był wymieniony jako więzień polityczny do ZSRR? Jeśli oczywiście była to prawda.

Pierwszy raz aresztowany był Bolesław Bierut 14 października 1923 roku i po 10 dniach przebywania w areszcie został zwolniony i oddany pod nadzór policji. Drugi raz był aresztowany 15 listopada 1923 roku i z braku dowodów został zwolniony 14 grudnia 1923 roku. Następnie był aresztowany 9 stycznia 1924 roku i został zwolniony w 4 dni później za kaucją. W maju odbył się proces, który skończył się dla niego pozytywnie, gdyż został uniewinniony. Na krótko przebywał w Warszawie, a w październiku 1925 roku wyjechał do ZSRR. Przez 9 miesięcy był słuchaczem szkoły partyjnej KPP, używając nazwiska Jan Iwanuk — później pod

studia w Międzynarodowej Szkole Leninowskiej Kominternu. Studia ukończył w 1931 roku i pracował w KW MK, a w październiku 1932 roku powrócił do Polski i został aresztowany 18 grudnia 1933 roku.

Jeśli nastąpiła jakakolwiek wymiana, to mogła ona mieć miejsce tylko w 1927 roku. Ale czy była?

Jest jeszcze kwestia wyjścia na wolność w 1938 roku. Według biogramu w „Słowniku biograficznym działaczy polskiego ruchu robotniczego” wyszedł na wolność, gdyż „na podstawie amnestii wyrok został zmniejszony i B-ta uwolniono 11 grudnia 1938”. Wersję tę podtrzymywał Henryk Rechowicz w pierwszym wydaniu książki „Bolesław Bierut 1892 — 1956”: „Na skutek amnestii pobyt Bolesława Bieruta w więzieniu uległ skróceniu”. Wszakże w drugim wydaniu zdanie to uległo korekcie: „Pobyt Bolesława Bieruta w więzieniu uległ skróceniu i na wolność został wypuszczony wcześniej”. Nie ma już mowy o amnestii.

Henryk Rechowicz powołuje się na deklarację spółdzielczą wypełnioną własnoręcznie przez Bo-

Ogłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.
Telefony: redaktor naczelny
36-52-44,
sekretarz redakcji,
fotoreporter: 36-80-99,
publicyści: 36-77-70,
32-89-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.

Zastępca redaktora
naczelnego: Edmund
Lewandowski.

Sekretarz redakcji:
Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu
literackiego: Henryk
Pustkowski.

Redaktor techniczny:
Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,
Dariusz Dorożyński,
Andrzej Gębarowski,
Eugeniusz Iwanicki, Teresa

Jerzykowska, Zofia
Kędziora, Marek Koprowski,
Jerzy Kwieciński, Bogda

Madej, Andrzej
Makowiecki, Paweł
Tomaszewski, Marian

Zdrojewski.
Grafik: Janusz
Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz
Gałasiński.

Korekta: Mariola Knaga,
Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:
Tadeusz Błażewski,
Marek Brzeziński (Londyn),
Bohdan Gadomski,
Grzegorz Gazda, Andrzej

Karolczak, Witold
Kasperkiewicz, Andrzej
Kempa, Wasył

Kocznów (Iwanowo),
Włodzimierz Krzemiński,
Zenon J. Michalski,
Ryszard Macionek, Adam

Ochocki, Jerzy
Panasek, Maciej
Świerkociński.

Ogłoszenia: Biuro Reklam i O-
głoszeń Łódź, ul. Sienkiewicza 2/4
tel. 32-39-11.

Organizacja reklamy: Andrzej
Bartosiewicz tel. 36-80-99.

Za treść ogłoszeń redakcja nie
odpowiada.

Wydawca: Łódzkie Wydawnic-
two Prasowe RSW „Prasa-
Książka-Ruch” 91-103 Łódź,
ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Gra-
ficzne RSW „Prasa-Książka-
Ruch”, Łódź, ul. Armii Czerw-
nej 28.

Redakcja nie zwraca nie za-
mówionych rękopisów i zastrze-
ga sobie prawo do skrótów. Za
treść ogłoszeń redakcja nie odpo-
wiada.

Warunki prenumeraty: 1. Dla
instytucji i zakładów pracy —
zlokalizowane w miastach woje-
wódzkich i pozostałych miastach,
w których znajdują się siedziby

Oddziałów RSW „Prasa-Książka-
Ruch” zamawiają prenumeratę
w tych oddziałach — in-
stytucje i zakłady pracy zloka-
lizowane w miejscowościach

gdzie nie ma Oddziałów RSW
„Prasa-Książka-Ruch”, opłacają
prenumeratę w urzędach poczt-
owych i u doręczycieli. 2. Dla

indywidualnych prenumerato-
rów — osoby fizyczne zamiesz-
kałe na wsi i w miejscowościach,
gdzie nie ma Oddziałów RSW

„Prasa-Książka-Ruch” opłacają
prenumeratę w urzędach poczt-
owych i u doręczycieli, osoby

fizyczne zamieszkałe w miastach
— siedzibach Oddziałów RSW
„Prasa-Książka-Ruch” opłacają
prenumeratę wyłącznie w urze-
dach pocztowych nadawczo-od-
dawczych właściwych dla miejsca

zamieszkania prenumeratę
Wpłaty dokonuje się używając
blankietu „wpłaty” na rachunek
bankowy miejscowego Oddziału
RSW „Prasa-Książka-Ruch”. 3.

Prenumeratę ze zleceniem wy-
сылki za granicę przyjmuje
RSW „Prasa-Książka-Ruch”
Centrala Koloportu Prasy i
Wydawnictw, ul. Towarowa 23,
00-958 Warszawa, konto PKO BP
KV Oddział w Warszawie nr
1658 201045 139 11. Prenumerata

ze zleceniem wysyłki za granicę
początku rękopisu jest droższa
od prenumeraty krajowej o 50 proc.
dla zleceniodawców indywidual-
nych i o 100 proc. dla zlecają-
cych instytucji i zakładów pra-
cy. Terminy przyjmowania pre-
numeraty na kraj i za granicę —
od dnia 10 listopada na 1
kwartał i półrocze roku następ-
nego oraz cały rok następnego —
do dnia 15 października — po-
przedzającego okres prenume-
raty roku bieżącego.

Zam. 3564, S-10.

Przegląd prasy

Na początek przytoczę fra-
gment bardzo ciekawej rozmowy.
Pyta znany pisarz niemiecki,
a odpowiada przywódca poli-
tyczny wielkiego państwa.

Pytanie: „Co pchnęło pana
na drogę opozycyjną? Może nie
traktowanie przez rodziców?”

Odpowiedź: „Nie. Rodzice moi
byli ludźmi niewykształconymi,
ale bynajmniej nie traktowali
mnie źle. Co innego prawosławne
seminarium duchowne, gdzie
się wówczas uczyłem. Przez
protest przeciwko reżimowi zne-
cania się i przeciwko jezuickim
metodom, które istniały w se-
minarium, gotów byłbym stać się
i rzeczywiste stałem się rewolu-
cjonistą, zwolennikiem mark-
sizmu jako prawdziwej rewolu-
cyjnej nauki”.

Pytanie: „Czy nie uznaje pan
jednak dodatkowych cech jezu-
itów?”

Odpowiedź: „Owszem cechuje
ich systematyczność, wytrwa-
łość w pracy dla osiągnięcia
złych celów. Ale główna ich
metoda — to śledzenie, szpiego-
wanie, włożenie do duszy, zne-
canie się — co może być w
tym dodatniego? Na przykład
śledzenie w internecie: o 9 go-
dzinie dzwonek na herbatę, i
dziewięć do jadalni, a kiedy
wracamy do swoich pokoi, okazuje się, że przez ten czas
przeszukano już i przetrząsnię-
to wszystkie nasze kuferki...
Cóż może być w tym dodatnie-
go?”

Rozmowa ta odbyła się 13
grudnia 1981 roku. Pytania za-
dawał Emil Ludwig (1881-1948),
autor zbeletryzowanych biografii
wybitnych postaci historycz-
nych (Goethe, Napoleon, Wil-
helm II, Bismarck, Roosevelt,
Beethoven), a odpowiadał Józef
Wissarionowicz Stalin.

Tekst wywiadu znajduje się
w 13 tomie Dzieł (Warszawa
1951). Przedrukował go o-
becnym miesięcznik teoretyczno-
polityczny młodych „POSZUKI-
WANIA” (nr 4-5). Całe wyda-
nie poświęcone stalinizmowi.

Przypomniawszy m.in. artykuły
Jean-Paula Sartre’a „Widmo
Stalina” i „Louis Althussera
„Uwagi o „krytyce kultury
jednostki””. W słowie wstępnym
Marek Szczepaniak pisze:

„Stalinowska wersja marks-
izmu była jego wypaczeniem, to
przynajmniej. Była jednocześnie
nie swoistą interpretacją myśli
klasycznej. Interpretacja, dzięki
której stworzona została skody-
fikowana, przez to niezwykle
klarowna ideologia, trafiająca
do najszerszych mas społecz-
stwa, na oddziaływanie. Co
by o niej nie mówić — odegra-
ła ważną rolę w popularyzacji
marksizmu. Wiele czołowych
i nowatorsko myślących dziś in-
telektualistów poznało mark-
sizm z wyśmiewanego „Krótkie-
go kursu”. Dla wielu z nich, do
tej pory, jest on jedynym źró-
dłem wiedzy marksistowskiej.

Jak wytłumaczyć ten — pozorne-
nie tylko niewytłumaczalny — fe-
nomen, jeśli zważyć, że w tym
samym czasie masowo były
wydawane i rozpowszechniane
dzieła Marks’a, Engels’a, Lenin’a?

Śmiejemy się dziś z „Krótkie-
go kursu”, ale czy czasem nie
śmiejemy się z samych siebie?”

Niewyobrażalne szkody i cier-
pienia wyrządziła teza Stalina
o zastraszaniu się walki klaso-
wej. Sławomir Popowski pisał
niedawno w tygodniku „POLI-
TYKA” (nr 44), że prawdzi-
wym szokiem było odkrycie
masowych grobów w lesie koło
Mińska. Okoliczna ludność
nazywa to miejsce Kurapatami.

„W 1937 r. postawiono tu
wysoki na trzy metry, drewn-
iany płot, zakończony na górze
drutem kolczastym. Oddział
on od reszty lasu teren o po-
wierzchni ok. 10-15 hektarów.
Przez 5 kolejnych lat, od 1937
do 1941 r., do wybuchu wojny,
każdego dnia i nocy słychać
było stamtąd strzały, warkot
silników i ujadanie psów. Ci,
którzy podchodzili bliżej, sły-
szeli jeszcze ludzkie krzyki i
jęki. A ci najbardziej odważni,
którym w tajemnicy udało się
przedostać za płot i przeżyć
własną odwagę — widzieli jak
funkcjonariusze w mundurach
NKWD rozstrzelali kolejne
grupy skazańców”.

Białoruscy historycy i arche-
ologowie znaleźli 510 zbioro-
wisk mogił. W każdej pocho-
wano około 200 zabitych. Oznacza to, że w Kurapatach roz-
strzelano co najmniej 102 ty-
siąc osób. Ale nie zbadano ca-
łego terenu.

„Można więc przypuszczać,
że faktyczna liczba rozstrze-
lanych tu przez NKWD była zna-
cznie większa. Dodajmy rów-
nież, że — jak wynika z wiary-
godnych zeznań świadków, któ-
re są obecnie sprawdzane —
Kurapaty nie są jedynym miej-
scem, w którym dokonywano
masowych rozstrzeliwań. Wie-
le wskazuje na to, że tylko ko-
ło Mińska dokonywano ich w
pięciu miejscach... Ileż takich
Kurapat znajduje się natomiast
w innych republikach, w du-
żych i małych miastach, nie
mówiąc już o „Stolicach Guła-
gu”: koło Magadanu, Workuty,
Jundiki i Norylska? — to py-
tanie postawione w „Ogonioku”
przez Aleksa Adamowicza.
Jak dotychczas pozostaje bez
odpowiedzi”.

STALIN CZY HITLER?

Wstrząsające zdjęcie ekshu-
mowanych zwłok w Kurapa-
tach opublikował „Ogoniok”
tygodnik „SPRAWY I
LUDZIE” (nr 43). Na tej samej
kolumnie znajduje się polemicz-
ny szkic Tadeusza Mendelskie-
go. Znany filozof twierdzi, że
w Polsce dyskusja o stalinizmie
ma charakter zastępczy, odwraca
uwagę od ważniejszych pro-
blemów i zagrożeń. Jej uczest-
nicy najwięcej poświęcają histo-
rii, a nie dostrzegają obiek-
tywnych uwarunkowań, nie po-
trafią zachować właściwych
proporcji. Przedstawienie stali-
nizmu jako głównego zła XX
wieku jest „klasyczną robotą
antykomunistyczną”. Horror o-
piewców o Józefie Stalinie za-
stępnie rzetelną analizę histo-
ryczną.

„Już w planie empirycznym,
często zewnętrznym, dokonuje
się znamiennego zakłamania
prawdą, bo tutaj występuje w
stanie czystym takie dziwne,
choć doskonale znane dziennika-
rom zjawisko. Jeśli bowiem
prawdzie o stalinizmie nie prze-
ciwstawimy się jednocześnie praw-
dy o hitlerizmie, to w Polsce
szczególnie, wypowiadając sa-
me prawdziwe zdania, będzie
można głęboko zafałszować rze-
czywistość. I z takim obrazem
tej rzeczywistości nie zgodzi się
nawet wielu Polaków, którzy
przeżyli minioną wojnę i bez-
pośrednio powojenne czasy. Ale
takich Polaków jest coraz
mniej, a inni — zwłaszcza mło-
dzież — dadzą się na to na-
brać...”

Zarówno młodzież, jak i zna-
czna część naszej inteligencji
mają ukształtowany system
podwójnej skali reagowania,
ostre na zbrodnie stalinizmu i
przetyknię na zbrodnie faszy-
zmu. To przetyknięcie widzenia
zbrodni faszyzmu ujawnia się
szerzej w innych również sytu-
acjach”.

Rozliczenie ze stalinizmem jest
niezbędne, ale trzeba to robić
odpowiedzialnie. Teoretycy mu-
szą przejść od jednostkowego i
moralnego potępienia do próby
zrozumienia zjawiska. Bez wie-
dzy, jak to się stało, nie unik-
niemy zła w przyszłości.

W następnym wydaniu tygod-
nika wrocławskiego (nr 44) Ta-
deusz Mendelski stawia tezę, że
nie sposób zrozumieć staliniz-
mu bez zrozumienia sensu
„Mein Kampf” Adolfa Hitlera.

„Stalinizm w swojej war-
stwie centralistyczno-represyj-
nej był konieczną odpowiedzią
na zapowiadającą się na wschód,
co otwarcie ogłaszał
Hitler w tym ukończonym w
1927 roku dziele. Formuła-
wał on tam swoje dalekosiężne
cele idealne i zbieżne z najbar-
dziej dynamicznymi i agresyw-
nymi tendencjami niemieckiego
kapitału, rozczarowanego wyni-
kami I wojny światowej. Pa-
cyfikacja własnego proletariatu
poprzez podmięcenie walki klas
na walkę ras, oraz zamiana nie-
udanej konkurencji o kolonie na
Anglię i Francję na program
marszu na wschód. Jest to oś
całej tej 800-stronicowej ksią-
żki, która była największym po-
litycznym bestsellerem europejs-
kim lat międzywojennych. Gdy
więc Hitler został kanclerzem,
tylko bardzo lekkomyślni brali
jego zapowiedzi za gołosłowne.

W antystalinowskim zapale
podważa się dziś nawet fakt,
iż Stalin zdawał sobie sprawę z
nieuchronności najazdu Niem-
ców na Związek Radziecki. Co
najwyżej mógł się ludzi — i
były to tragiczne pomyłki dla
losów Armii Czerwonej i całe-
go Związku Radzieckiego — że
uda się przedłużyć pokój do
1942 roku. Ale jest nonsensem
wątpić, czy zdawał sobie od po-
czątku sprawę z niebezpieczeń-
stwem faszyzmu. Cały bowiem
rozwoj Związku Radzieckiego,
w tym odcięcie od NEP, rozbu-

dowa przemysłu ciężkiego, cen-
tralizacja, były odpowiedzią na
realną groźbę nazizmu”.

Pilną sprawą jest obecnie
przezwyciężenie stalinowskiego
modelu socjalizmu. Mówiono o
tym m.in. podczas narady
przedstawicieli inteligencji par-
tyjnej naszego kraju. W zaga-
leniu opublikowanym na la-
mach „TRYBUNY LUDU” (nr
258) Marian Orzechowski stwie-
rdził, że należałoby i skamie-
liny stalinowskie zakorzenić
się w teorii i myśleniu potoc-
nym, w systemie edukacji
narodowej i partyjnej, w treś-
ciach i formach życia duchowe-
go.

„Pytania dotyczące partii ma-
ją charakter fundamentalny.
Dotykają one samej istoty u-
strojowej socjalizmu, jego toż-
samości i szans tworzenia. Par-
tia jako całość przeżywa okres
teoretycznych i ideologicznych
przewrótów. Idzie jednak o to,
aby towarzyszące temu
zważeniu i rozterki nie demoli-
zowały partii, nie oznaczały
ustępowania pola politycznym i
ideologicznym przeciwnikom,
lecz stały się początkiem twórc-
zego fermentu i intelektualnej
ofensywy”.

O KOŚCIELE I „SOLIDARNOŚĆ”

Niedawno gościł w Polsce
wybitny pisarz niemiecki Gün-
ter Grass. Ciekawą rozmowę z
nim przeprowadził dla tygod-
nika „WPROST” (nr 46) Piotr
Andrzejewski, Błażej Baraniak-
Leszczyński i Wacław Miziniak.
Oto fragmenty wypowiedzi na
temat „Solidarności” i Kościo-
ła:

„W 1981 roku w Gdańsku pe-
wien młody dziennikarz popro-
sił mnie, abym udzielił wywia-
du dla jakiegoś pisma młodzie-
żowego. Powiedziałem między
innymi, że odnoszę wrażenie,
jakby zmierzwiła się Róża
Luksemburg pod postacią Naj-
świętszej Marii Panny. Tego
stwierdzenia nie wydrukowano
w wywiadzie. Potem wysła-
łem list do owego młodego
człowieka, w którym ostrze-
głem, że jeśli „Solidarność” roz-
poczyna swoją działalność od
cenzurowania, to jej koniec jest
bliski...”

Mam wrażenie, że w Polsce
istnieje obok siebie dwa mono-
lityczne, w pewnym sensie bar-
dzo podobne do siebie bloki:
partia komunistyczna i Kościół.
Mam pytanie: czy już nie pora,
aby polski Kościół się nieco
zdemokratyzował, zanim uczy-
ni to partia? Dowiedziałem się,
że w ciągu ostatnich dwóch lat
wybudowano w Polsce 1400
kościółków. To dziwne. Czy w
tej chwili potrzebne są wam
bardziej nowe świątynie, czy
raczej szpitale albo przedszkola...?”

Günter Grass mówi, że lu-
dziom Zachodu trudno zrozu-
mieć fenomen Kościoła w
Polsce. W trudnych chwilach
Kościół występował po stronie
narodu, a nie władzy. Natomiast
w Niemczech utrzymywał do-
bre stosunki z Hitlerem.

„Jest to jeden z powodów,
dla których wystąpiłem ze
wspólnoty wiernych i zerwałem
ze swym katolickim wychowa-
niem”.

**WYZNANIA
CZESŁAWA MIŁOŚZA**

Na zakończenie zachęcam do
lektury korespondencji Cze-
sława Miłosza i Melchiora Wań-
kowicza w poprzednim wydaniu
„ZDANIA” (nr 7-8). W post-
scriptum do jednego z listów pi-
sanych na początku 1952 roku
laureat Nagrody Nobla zwierzał
się:

„Pan, jak inni Polacy, ma do
komunizmu stosunek czysto
emocjonalny. W istocie tak czy-
stych ludzi jak niektórzy ko-
muniści polscy nigdzie nie spo-
tkałem. Jestem przeciwko temu
kościółowi stanowczo i nieod-
wołalnie. Ludzkości z tej strony
grozi nieszczęście, bo diabeł
jest fałszem. Ale to inna spra-
wa”.

Czesław Miłosz i Melchior
Wańkowicz dyskutowali bardzo
ostro i szczerze. Koresponden-
cja ich pozwala lepiej zrozu-
mieć ówczesną rzeczywistość
kraju i emigracji polskiej.

E. L.

PYTAMY:

Jaki był miniony tydzień?

**STANISŁAW WOŹNIAK — komendant woje-
wódzki Straży Pożarnych w Łodzi.**

— Dla mnie był to tydzień refleksji i wspomnień. I uważam,
że pewnym nietaktem byłoby mówić o pracy zawodowej, co-
dziennych naszych zmaganiach, gdyż przyszedł mi, po raz pierwszy
zorganizowane na prawdziwie godną skalę, obchody 70-lecia na-
szej państwowości. Wierzę, że szerokie, dogłębne i pozbawione
pewnego pompatycznego blachtru wspomnienia o tamtych
dniach, o Marszałku, o Brygadach, będą początkiem nowych cza-
sów, nowej drogi, początkiem trwałej integracji społecznej, czyli
szeroko rozumianych wspólnych działań, których brak tak bardzo
odczuwa całe społeczeństwo. Z bagażem osobistych refleksji i
wspomnień uczestniczyłem w wielu spotkaniach, w uroczystej
sesji Rady Narodowej Miasta Łodzi, rocznicowej akademii i my-
ślę, że tych kilka ostatnich dni, związanych z tak ważną dla
Kraju i Narodu rocznicą, na długo pozostanie w pamięci nie tylko
mojej, a dzień 11 Listopada będzie obchodzony odąd jako rze-
czywiste narodowe święto.

**ANDRZEJ ORAWIEC — dyrektor łódzkiego od-
działu PP „Moda Polska”.**

— Cudem mnie pan złapał w firmie, bo jestem jeszcze na
urlopie, no ale cóż, trzeba gospodarstwo i wówczas doglądać...
Miniony tydzień? Jaki był? Wspaniały! Pelen niezapomnianych wra-
żeń. Raczej egzotycznych, bowiem wróciłem właśnie z wyprawy do
Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Raptem dziewięć dni, za-
jedynie 245 dolarów amerykańskich i niewiele ponad 300 tysięcy
naszych, a organizatorem było biuro „Air-Tour”. Mody nie pod-
glądałem, biorąc zresztą pod uwagę nasze warunki, upodobania,
potrzeby — nie bardzo jest co podglądać. Pierwsze wraże-
nia? Duży wybór towarów i surowców, ogromne nasycenie
wszelkiej maści techniką, stąd określenie Emiratów „małym
Singapurem” nie jest wcale przesadzone. Trudno mi nie ukry-
wać, zapomnieć będzie pewną piękną piosenkarkę w klubie
(już więcej szczegółów nie podam...), jak również temperaturę.
To denerwujące, gdy oni w środku zimy mają temperaturę w
granicach 30—35 stopni Celsjusza. Przywożem sporo egzoty-
cznych przypraw, z odzieży — nie! zdzieranie w salonach
„Mody Polskiej” w najbliższym czasie strójów wzorowanych na
arabskich motywach lansować nie będziemy...

PAWEŁ TUZIKIEWICZ — rzemieślnik.

— Pracowity, jak wszystkie inne w roku i jak wszystkie bez
mała nasycony przykładami biurokratycznych, nieżywczych prze-
pisów, walki o włączenie symbolicznego już światła o zielonka-
wym odcieniu. Jak wielu kolegów z branży z uwagą śledzę każ-
de wystąpienie premiera, czekam niecierpliwie początku 1989
roku, aby nie mitycznego, bowiem zgodnie z zapowiedzią ma ten
Nowy Rok przynieść wreszcie jakieś autentyczne zmiany ust-
awienia — nazwijmy to — prywaciarzkiej niwie Czekamy, kiedy
wreszcie to zapowiedziane „wszystko co nie zabronione” będzie
rzeczywiście dozwolone. A przykładami absurdów i nonsensów,
które nas otaczają mógłbym pana zasypać. Właśnie w minionym
tygodniu dowiedziałem się, że aby kupić w spółdzielni, do której
należę, następną partię surowca, muszę też nabyć... złom, który
spółdzielnia w „rozliczeniu” dostaje od producenta...

Notował: DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Ps w imieniu Doroty Chrościelewskiej, przepytanej w ubieg-
łym tygodniu, dziękujemy Czytelnikowi, który natychmiast zgło-
sił się do pisarki po anonsie, iż ta poszukuje lekarstwa dla cho-
rego dziecka i zaofiarował jej pomoc.

D. D.

W najbliższych numerach „Ogłosów”

— Ten dom przy ulicy Kałowskiej w Łodzi jest jakiś niefo-
remny, ciężki i przysadzisty, jakby się chciał zapadnąć pod ziemię.
Pewna kobieta wpadła tu pod podłogę — reportaż RYSZARDA
BINKOWSKIEGO.

— Wszystko było śmieszne, paranoiczne. Ten reportaż wy-
wołuje salwy śmiechu, ponieważ każdy z występujących urzę-
dników, dyrektorów okazuje się śmieszny — mówi MICHAŁ
FAJRSIEWICZ, autor filmów i programu „987”.

— Słepa Temida zapila w sposób zaiste wyrafinowany, po-
wierając Chruszczowowi rozprawienie się ze Stalinem. Sędzią
kata stał się człowiek, którego Stalin uważał za blazna — opo-
wiadanie WŁODZIMIERZA TENDRIAKOWA.

Z głębokim żalem zawiadamiamy, że 13 listopada 1988 r.
zmarł

**STANISŁAW
IBIS-GRATKOWSKI**

artysta plastyk, wieloletni kierownik działu graficznego
„Karuzeli”.

Od początku istnienia „Ogłosów” bliski współpracownik
naszego pisma.
Wspaniały Człowiek, pogodny i życzliwy ludziom.

ZESPÓŁ REDAKCJI „ODGŁOSÓW”

12 listopada zmarł nagle

PROFESOR DR HAB.

**STANISŁAW KASZYŃSKI
(27.I.1927 — 12.XI.1988)**

— wybitny teatrolog, poeta, tłumacz, współpracownik
„Ogłosów”. Odszedł Człowiek pełen życzliwości i dobroci,
ceniony i lubiany przez wszystkich, którzy się z Nim spo-
tykali.

Jego śmierć stanowi wielką stratę dla środowiska nau-
kowego i kulturalnego Łodzi.

REDAKCJA „ODGŁOSÓW”

Disiaj może się to wydawać nieprawdopodobne, że antysemickie hasła partii hitlerowskiej przyjmowane były początkowo jako bluff. Nawet żydowskie środowisko w Niemczech i za granicą uważały, że są to tylko propagandowe chwytliwyce, licząc na usiłującą za wszelką cenę zdobyć sobie rozgłos, zwrócić na siebie uwagę szerszej opinii. Łudono się niekiedy, że w miarę krzepnięcia ruchu narodowo-socjalistycznego wyzbędzie się on antysemickiego „awanturnictwa” i skoncentruje na walce o przywrócenie Niemcom dawnej potęgi i prestiżu, utraconych po przegranej wojnie, że wyrówna „krzywdy” wyrządzone Niemcom przez „niesprawiedliwy” traktat wersalski, że nie zaniedba też (skoro mieni się „socjalistycznym”) rozwiązania najbardziej palących problemów społecznych.

A z kolei po zdobyciu władzy przez hitlerowców, kiedy już zdano sobie sprawę, że antysemityzm stanowi jeden z „ideologicznych” fundamentów

Słowian, zakwalifikowano do „podludzi”, natomiast za rasę wyższą, uprawnioną do odgrywania kierowniczej roli w świecie, uznano tzw. „aryjską”, reprezentowaną przez tzw. typ nordycki, do której zaliczono hurtem Niemców i ogół nacji germańskich, choć oczywiście Niemcy, jak i większość innych narodów stanowią mieszaninę antropologiczną, a sam Adolf Hitler w sposób oczywisty mógł tylko „na siłę” być zakwalifikowany jako Nordyk.

Pierwszą zorganizowaną po przewrocie akcją antyżydowską był 1 kwietnia 1933 r. bojkot żydowskich sklepów, pikietowanych przez członków partii i młodzież hitlerowską. Ogłoszono także bojkot lekarzy. W kilka dni później ustawa o stanie urzędniczym kieruje wszystkich ludzi pochodzenia „niearyjskiego” na przymusową emeryturę, z wyjątkiem kombatanów I wojny i rodzin Żydów poległych w szeregach niemieckiej armii. W tym samym miesiącu zabrania się żydowskim lekarzom pracować w publicznej służbie zdrowia i zarządza się, iż członkiem zrzeszenia lub klubu sportowego może być

spełnianie przez władze niemieckie pragnień i żądań ludności niemieckiej, która rzekomo domaga się spontanicznie wyeliminowania Żydów z życia publicznego. Podobna dezinformacja charakteryzuje większość ówczesnej prasy polskiej, z wyjątkiem oczywiście prasy lewicowej.

Dlaczego sygnał do antyżydowskiego pogromu dano akurat 9 listopada 1933 roku? Czy dlatego, że był to dzień, kiedy „hitlerowska stara gwardia” święciła rocznicę nieudanego puczu monachijskiego w 1923 r., jako tradycyjny już „wieczór wspomnień”? Zbiegły się tu dwie przyczyny, jak wykazuje zachodni niemiecki autor Wolfgang Benz, w książce „Żydzi w Niemczech 1933–1945. Życie pod panowaniem narodowo-socjalistycznej władzy” (C. H. Beck Verlag, München 1988). Drugą przyczyną, czy może do godnym pretekstem było zabójstwo Ernsta von Ratha przez Herszla Grynszpana.

Pochodząca z Polski, z zaboru rosyjskiego, rodzina Grynszpanów osiedliła się przed I wojną w Hanowerze, a później młodszy syn wyemigrował do

szkany i poniżenia, popełniło w następstwie samobójstwo. W parę dni później propaganda hitlerowska obwinia ludność żydowską o spowodowanie zniszczenia i nalożyła na Żydów wysoką kontrybucję pieniężną.

Znaczenie historyczne tej tragicznej nocy polega, jak się dziś ocenia, na ujawnieniu przez władze Trzeciej Rzeszy prawdziwych zamiarów co do ludności żydowskiej, których celem było, w najlepszym razie, całkowite usunięcie tej społeczności z niemieckiej, czego finałem stał się, jak wiadomo, masowy mord na Żydach. Co prawda opinia światowa jeszcze nie do końca została o tym przekonana, a może nie wszyscy chcieli to zrozumieć.

Pogrom nie przyniósł oczywiście „ostatecznego rozwiązania” sytuacji Żydów niemieckich. Dalsze miesiące i lata przyniosły nowe ustawy i rozporządzenia władz centralnych, dodatkowe restrykcje i szkany ze strony władz lokalnych, które, przy milczącym przyzwoleniu znacznej części karnego i dyscyplinowanego społeczeństwa niemieckiego, prześladowały się w antyżydowskich inicjatywach.

W dwa dni po „nocy kryształowej” Hermann Goering podaje do wiadomości zarządzenie o całkowitym wyeliminowaniu Żydów z życia gospodarczego. Zabrania się im prowadzenia od 1 stycznia 1939 detalicznych placówek handlowych i zakładów rzemieślniczych, a więc obsługiwania nawet ludność żydowską. Nielicznym już fryzjerom zezwala się na obsługiwanie żydowskiej klienteli tylko w jej prywatnych mieszkaniach.

Z tej ziemi

Jeśli patrzy się w przyszłość

Ostatnio nasłuchiwałem się tyle pieśni legionowych i innych pieśni historyczno-patriotycznych, że mam już ich dość. O Marszałku Józefie Piłsudskim też było chyba ponad miarę. O innych politycznych postaciach z przeszłości jakby trochę mniej. Ktoś nawet słysząc „Pierwszą Brygadę” w radiu zatykał uszy z przesytu. A pamiętam dość dawno temu, był to chyba rok 1957, jak uznany dziś reżyser WFO — Leszek Skrzydło, wówczas student UL, po jakichś imieninach wszedł na balkon i odśpiewał wianuszek pieśni legionowych, za co miał pewne przykrości. Zwrócono mu uwagę na nieostojność takiego pienia nawet... po imieninach.

Wysłuchaliśmy referatów, naczytaliśmy się artykułów o 70 rocznicy odzyskania niepodległości i możemy teraz spokojnie, wzbogaceni o pewną wiedzę o przeszłości, spojrzeć w przyszłość. Obchody 70 rocznicy odzyskania niepodległości rozumieć nie tylko jako oddanie hołdu tym, którzy o tę niepodległość walczyli, oddali za nią życie, ale również jako okazję do zastanowienia się nad tym, czym jest niepodległość. Łatwo się to słowo wymawia, często niezbyt dokładnie się je rozumie. Nasi przodkowie zrozumieli sens niepodległości dopiero wówczas, gdy ją Polska utraciła. A czy Polska przed rozbiorem była w pełni niepodległa? Jakżeż łatwo było niepodległość utracić wcześniej nawet nim się dokonali rozbiory, jakże trudno było ją później odzyskać. Dobrze to rozumieli ci wszyscy, którzy w 1939 roku i później stawiali w jej obronie lub o jej odzyskanie walczyli.

Często teraz powtarza się stwierdzenie, że żyjemy w okresie, gdy stary — stalinowski — model socjalizmu rozpływa się w grzy, a na tych gruzach rodzi się nowy. Jaki ten nowy będzie, trudno przewidzieć, chociaż pewne elementy tego nowego już widać i można je określić. Przede wszystkim będzie to model pluralistyczny, to znaczy, że racje polityczne będą podzielone między różne grupy polityczne, a liczyć się będą te, które zdobędą sobie społeczne poparcie. To znaczy też, że wobec tych racji będzie istniała opozycja, opierająca się na innym punkcie widzenia, na innych przesłankach. Ale to zakłada, że tak jednym, jak i drugim chodzi o ten sam cel — o przyszłość Polski.

Jaka ma być ta opozycja? Przede wszystkim warto uświadomić sobie, że to opozycja — czy to się komus podobą czy nie — zrodziła postaliżm, że jest ona skutkiem dotychczasowej niemożności przezwyciężenia do końca stalinizmu, co zrodziło rozczarowanie do socjalizmu. Z tym tylko, że jedni próbowali ten socjalizm reformować, a drudzy powrócili do starych koncepcji socjalizmu odrzucających i założyli sobie odejście od socjalizmu. Gdy przyglądam się niektórym poczynaniom opozycji antysocjalistycznej, to odnoszę nieodparte wrażenia, że ta opozycja skazana jest... stalinizmem. Brzmi to może paradoksalnie, ale niektóre poczynania, jak i wypowiedzi opozycyjnych polityków taki właśnie mają rodowód. I nie ma w tym nic dziwnego, gdyż każda akcja rodzi reakcję. W życiu politycznym również.

Nie należy się więc spodziewać, że w przyszłości będziemy mieli do czynienia tylko z „opozycją konstruktystyczną” czyli „wewnątrzsystemową”, która będzie występowała przeciw rządowej polityce, ale nie będzie dążyła do ocalenia socjalizmu, ale także z „opozycją destruktywną” o orientacji antysocjalistycznej. W związku z tym powinniśmy zastanowić się nad tym, jak powinny się ułożyć wzajemne stosunki między rządem a opozycją „wewnątrzsystemową”, między partiami a opozycją nie nastawionymi grupami politycznymi, czy wręcz pomiędzy poszczególnymi partiami i stronnictwami politycznymi w osiągnięciu określonych celów natury politycznej, gospodarczej czy społecznej. Niektórzy wskazują, że terenem takiej walki powinien być Sejm PRL, rady narodowe oraz toczyć się ona powinna w okresie przedwyborczym, kiedy do walki tej angażuje się opinia publiczną dla zdobycia społecznego poparcia.

Pierwszym etapem kształtowania nowych stosunków powinna być praca nad nową ordynacją wyborczą, która dawałaby podzielonym siłom politycznym szansę na starcie się w walce o mandaty poselskie. Wstępem do takiej pracy miały być obrady „okrągłego stołu”, ale moment otwarcia tych obrad — w moim przekonaniu — oddala się niebezpiecznie w przyszłość. Tymczasem wybory za rok i wcale nie ma tak dużo czasu do stracenia. Przygotowanie właściwej ordynacji wyborczej w sytuacji, jeśli pluralizm traktujemy poważnie, jako fakt obiektywnie konieczny, a nie czysj wymysł tylko, ma zasadnicze i podstawowe znaczenie. Tym bardziej, że mamy już odpowiednie — nie zawsze pozytywne — doświadczenia z poprzednich wyborów tak do Sejmu PRL, jak i do rad narodowych.

Jeśli więc na politycznej mapie Polski rysuje się nam układ pluralistyczny, jako układ legalny i akceptowany społecznie, obok którego może istnieć układ nielegalny, zwalczany i coraz bardziej nieakceptowany społecznie, jako prowadzący donikąd, to trzeba zapytać o miejsce ZPZR w tym układzie. Cieszy mnie fakt, że coraz częściej pojawiają się publikacje nawołujące do reformowania struktury ZPZR, a nawet zgłaszają się też konkretne propozycje tej reformy. Wszystko to wymaga jeszcze dyskusji i z próbami wywołania takiej dyskusji występuje „Trybuna Ludu”. Ale jednocześnie odnoszę wrażenie, że w wielu organizacjach, jak też w wielu instancjach partyjnych, panuje niezadowolone z tego, co jest, a nie ma poszukiwania modelu koniecznych zmian. Ot, choćby w dwu zasadniczych dziedzinach.

Model partii ukształtował się w czasach, gdy decyzje zapadały tylko i wyłącznie w komitetach partyjnych wszystkich szczebli, kiedy następowało nieuchronne wyrzucanie aparatu administracyjnego przez aparat partyjny. W lutym 1957 roku, gdy Leszek Kołakowski na łamach „Życia Warszawy” zwracał uwagę, że „partia ulega degeneracji, jeśli jest zróżniona z aparatem państwowym i stanowi w praktyce jego składnik — miast być inspiratorem i wychowawcą społecznym”, to na XI plenarnym posiedzeniu KC ZPZR Władysław Gomułka ostro go skrytykował za rewizjonizm. A przecież przez całe następne 30 lat usiłowaliśmy oderwać aparat partyjny od administracyjnego i temu ostatniemu dać samodzielność w decydowaniu i ponoszeniu odpowiedzialności. I to się nam do końca nie udało. A jest to konieczne.

Teoretycznie wiemy, że kierować i przewodzić trzeba poprzez członków partii. Wszakże słabość organizacji partyjnych, a co za tym idzie i członków partii, uniemożliwia pełną realizację tej słusznej zasady i dlatego wypelnia ją aparat partyjny. Życie — również polityczne — pustki nie znosi.

Druga sprawa: jak usytuować partię w zakładzie pracy, skoro zakład ten musi przede wszystkim i jedynie kierować się względami ekonomicznymi, a nie tylko politycznymi? Jaka ma być rola partii w fabryce, biurze, przedsiębiorstwie handlowym? Jak ma ona reprezentować interesy ludzi pracy, aby nie dublować działań związków zawodowych, organizacji społecznych czy stowarzyszeń zawodowych? A poza tym, czy organizacja partyjna ma wykazywać swoją aktywność tylko i wyłącznie w zakładzie pracy, czy też wyjść z nią poza „swoją” teren, aby zdobywać poparcie społeczne dla partyjnego programu, aby go też bronić i uzasadniać jego istotę? I przede wszystkim — jak ma uczyć się zdobywania poparcia dla partyjnych kandydatów nie tylko na posłów do Sejmu PRL czy rad narodowych, ale również do... samorządu mieszkańców?

Jak z tego widać spraw jest wiele, pytania są różne, jest o czym dyskutować. Gorzej, że dyskutujemy jakos mało, a czas leci nieubłagannie. Oglądamy się więc w przeszłość, bo to potrzebne, ale patrzymy też w przyszłość.

Tłumaczył i opracował:
JERZY KWIECIŃSKI

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

50 lat temu hitlerizm ujawnił swoje ludobójcze zamiary

Noc gwałtu i zbrodni

zwyczajnego ruchu, łudono się jeszcze, że mimo prawnej i ekonomicznej dyskryminacji, mimo rozlicznych szkian i upokorzeń społeczność żydowska w Niemczech będzie miała zapewniony wobec większości niemieckiej jakiś modus vivendi, jakiś formę względnie ustabilizowanej skromnej egzystencji.

Od wielu pokoleń współżycie „rdzennych” Niemców z obywatelami pochodzenia żydowskiego układało się wyjątkowo zgodnie. Wielu wyznawców judaizmu (nie mówiąc o Żydach, którzy przyjęli chrześcijaństwo) utożsamiało się z narodowością niemiecką, licznie byli szeregi tych, co rozsiadli w świecie niemiecką naukę, filozofię, literaturę i sztukę, a wśród inteligencji stosunkowo liczną grupę stanowili oficerowie rezerwy, uhonorowani najwyższymi odznaczeniami bojowymi. Zresztą w asymilacji niemieckich Żydów, dużą rolę miały mieszane małżeństwa, zawierane nie tylko (jak np. w Polsce) w warstwach zamożniejszych i wśród inteligencji, ale również w środowiskach robotniczych.

Rzecz to również znana, iż Żydzi byli, zwłaszcza na wschodzie Europy, gorliwymi propagatorami niemieckich, szerzycielami niemieckiej kultury, w czym pewną rolę mogli odgrywać fakt, że ich język, jidysz, powstał na bazie języka niemieckiego. Znamienne też, że po przewrocie hitlerowskim Żydzi niemieccy stanowili integralną część niemieckiej emigracji antyfaszystowskiej.

Wszystkim tym tradycjom i sentymentom zadali ostateczny cios wydarzenia niewiele godzin, sprzed 50 lat, które przeszły do historii pod nazwą „nocy kryształowej” (Kristallnacht). Tej nocy bowiem wybuchł w całych Niemczech, nieznanym od dawna cywilizowanemu krajom zachodniej Europy, antyżydowski pogrom, który wykażał światu, co hitlerowcy rozumieją pod pojęciem „rozwiązania kwestii żydowskiej”.

Przypomnijmy jednak w skrócie, jak się rozwijała w Niemczech sytuacja ludności pochodzenia żydowskiego od przewrotu hitlerowskiego w marcu 1933, do owej ponurej nocy. Dodajmy, iż sprzecznie z nowoczesnym, postępowym ustawodawstwem władza hitlerowska arbitralnie zakwalifikowała jako Żydów wszystkich ludzi pochodzenia żydowskiego, wbrew przysługującym każdemu człowiekowi prawu do określenia własnej przynależności narodowej. Teoretycznych uzasadnień dostarczała władcom Trzeciej Rzeszy nauka o rasach (Rassen Kunde) stanowiąca prymitywną manipulację cechami antropologicznymi, w następstwie której np. Żydów, Murzynów, Cyganów,

tylko ten, kto wykaże swe „aryjskie pochodzenie” (do pokolenia dziadków włącznie). We wrześniu tegoż roku publikuje się wniosek Państwowej Izby Kultury o zakazie wykonywania zawodu przez żydowskich artystów i dziennikarzy.

Rok 1934 upamiętnia się m. in. wprowadzeniem „paragrafu aryjskiego” w siłach zbrojnych, zakazem występowania żydowskich aktorów na niemieckich scenach i niedopuszczeniem studentów Żydów do egzaminów.

W roku 1935 wydaje się całkowity zakaz wykonywania zawodu przez żydowskich pisarzy (nie mogą tworzyć nawet dla Żydów), a dzień 15 września przynosi oślawione „ustawy normyberckie” uchwalone na zjeździe partii hitlerowskiej w Norymberdze. Obejmują one ustawę o obywatelstwie Rzeszy, mającą na celu „ochronę niemieckiej krwi i niemieckiej godności”, zawierają więc pozbawienie Żydów przysługujących im jeszcze praw obywatelskich. Zakazuje się zawierania małżeństw Niemców z Żydami, jak również pozamałżeńskie stosunki pomiędzy Żydami a „aryjczykami” określa się jako „pohańbienie rasy” (Rassenschande). W listopadzie tego roku już wszyscy Żydzi bez wyjątku zwolnieni zostają z państwowej służby.

W roku 1936 zaskoczyło wielu obserwatorów złagodzenie tonu antyżydowskiej propagandy, usuwanie antyżydowskich napisów, komentowane jako objaw pewnej liberalizacji ideologii nazizmu. Tymczasem chodziło o cudzoziemców, z których napływem liczone się w związku z olimpiadą w Berlinie.

Rok 1937 przynosi m. in. rozkaz szefa policji Heydricha, nakazujący, żeby żydowskich „hańbieli rasy” po odbyciu przez nich kary więzienia, kierować do obozów koncentracyjnych. W pamiętnym roku 1938, w miesiącach poprzedzających „noc kryształową” wprowadza się obowiązek meldowania przez Żydów posiadania majątku o wartości przekraczającej 5 tys. marek, w celach podatkowych, wprowadza się „kartę rozpoznawczą” (Kennkarte), zakaz wykonywania prywatnej praktyki lekarskiej (z której korzystali niekiedy Niemcy), tylko niewielkiej części żydowskich lekarzy zezwolono (do odwołania) sprawować opiekę nad ludnością żydowską, co dotyczyło również dentystów, aptekarzy i weterynarzy. Wprowadzono obowiązek używania przez wszystkich Żydów wyłącznie dwóch imion „Sara” lub „Israel”.

Co znamienne, że ten systematycznie i perfidnie rozwijany system dyskryminacji ludności pochodzenia żydowskiego, był przez znaczną część prasy światowej pomijany milczeniem lub przedstawiany, zgodnie z propagandą hitlerowską, jako

Francji. Kiedy w październiku 1938 r. władze niemieckie rozpoczęły deportację do Polski 17 tys. Żydów, polskich imigrantów, władze polskie z różnych względów nie chciały ich przyjąć i pozbawiły ich przysługującej im dotychczas z tytułu miejsca urodzenia, polskiej wizy. Oba rządy zajmowały nieustępliwe stanowisko, wskutek czego żydowscy wysiedleńcy musieli koczować pod jesennym niebem na między państwowej granicy. Ostatecznie zezwolono, bodaj wszystkim, na wjazd do Polski, w tym także Grynszpanom.

Przebywający w Paryżu Herszel Grynszpan, ukrywający się z powodu nakazu opuszczenia Francji przez żydowskich imigrantów, otrzymał z Polski list od siostr, opisujący dramatyczne przeżycia na granicy i poprosił Niemców o zemstę. Z zakupionym pistoletem w kieszeni wśliznął się do gabinetu sekretarza niemieckiego poselstwa w Paryżu von Ratha, ranił go kilkoma strzałami i oddał się w ręce policji. Stało się to 7 listopada. Wieść o tym w niewiele godzin obiegła cały świat, zwracając uwagę opinii na los niemieckich Żydów.

Zamach rozstrzelano w Niemczech w tonacji odwetu; akcentując oczywiście okoliczność, iż to Żyd targnął się na życie Niemca. Kiedy wieczorem 9 listopada 1938 r. hitlerowscy veterani partyni z Adolfem Hitlerem na czele zebrał się w monachijskim starym ratuszu na doroczną wieczór wspomnień, w całych Niemczech już wrzało. Gdy więc do zebranych dotarła wiadomość o śmierci Ernsta von Ratha, Goebbels wygłosił przemówienie będące w istocie zakamuflowaną instrukcją dla całej partii, poinformował mianowicie, że akcentami wyrozumiałości i cichej aprobaty, że w całym kraju trwają spontaniczne i zrozumiałe wystąpienia antyżydowskie i że dochodzi do pewnych ekscesów, będących wyrazem patriotycznych uczuć.

Adolf Hitler, będący głową państwa, opuścił dyskretnie zgromadzenie, żeby nie być świadkiem tej oczywistej zachęty do bezprawia, a obecni działacze partyni pojeśli, co do nich należy, rozstukały się dalekopisy i rozdzwoniły telefony z instrukcjami dla wszystkich ogniw hitlerowskiej partii. Od północy do rana rozszalał się terror.

Ofiarą pogromu padło 281 zdewastowanych lub spalonych synagog, bezczeszczono i niszczone księgi i naczynia liturgiczne, nie oszczędzono też przytulików i domów starców, spalowano ok. 7 i pół tysiąca sklepów, wtargnięto do setek prywatnych mieszkań, z których wywiekano z pościeli całe rodziny. Wskutek fizycznego znęcania się nad bezbronnymi poniosło śmierć co najmniej kilkudziesięciu Żydów, ponadto wielu, nie mogąc znieść

slawa Bieruta 11 lutego 1939 roku, z której wynika, że mieszkał w Warszawie przy ul. Płockiej 8 m. 46 i że został przyjęty do spółdzielni, gdzie pracował jako buchalter. Istnieje drugi dokument, który dowodzi, że 9 maja 1939 roku Bolesław Bierut i Hieronima Pruchniakowa zostali wybrani członkami zarządu Pierwszej Prolni Spółdzielczej w Warszawie.

Po wybuchu wojny do 4 lub 6 września 1939 roku przebywał w Warszawie, a następnie udał się do Lublina, gdzie spotkał Franciszka Jóźwiaka. Tu znów występują pewne rozbieżności. Biogram stwierdza:

„We wrześniu 1939 udał się do Lublina. Po kapitulacji Warszawy wrócił do niej. W październiku 1939 przedostał się na Ukrainę Zach.”

O powrocie z Lublina do Warszawy pisze też Henryk Rechowicz w pierwszym wydaniu książki o Bolesławie Bierucie, ale w drugim wprowadza istotną korektę:

„Po wkroczeniu Niemców do Lublina groziło mu aresztowanie, opuścił więc rodzinne miasto i udał się z Jóźwiakiem do Kowla zajętego przez Armię Radziecką”.

Przyznam się, że bardziej mi odpowiada sformułowanie: „przedostał się na Ukrainę Zach.” niż „udał się z Jóźwiakiem do Kowla”. Udać się można było wówczas do sąsiada po drugiej stronie ulicy. Granicę na Bugu trzeba było przejść nielegalnie, co groziło różnymi konsekwencjami. Początkowo wprawdzie była ona jakby otwarta i ruch w obie strony był ułatwiony, ale szybko sytuacja taka zmieniła się na niekorzyść uciekinierów. A poza tym, jak to było z tą Warszawą? Wrócił do niej czy nie?

„Okres ukraiński” — jeśli można tak to nazwać — Bolesława Bieruta jest mało znany. „Prawdopodobnie w pierwszej połowie 1940 roku na czele grupy uchodźców przemieścił się do Czerwonego Chutoru koło Kijowa, gdzie pracował przy rozbudowie węzła kolejowego w Darnicy, a następnie w jednym z tamtejszych sołchozów” — pisze Henryk Rechowicz. Współpracował z radem w Kijowie, tłumaczył teksty z języka polskiego. Odnalazł Małgorzatę Fornalską z córką i matką. Nawiązał kontakt listowny z rodziną w Warszawie. W maju 1941 roku przenosił się do Białegostoku, gdzie mieszkała i pracowała Małgorzata Fornalska z matką i córką. Gdy wybuchła wojna niemiecko-radziecka postąpił o szybkie ewakuowanie rodziny w głąb ZSRR, a sam pomaszerował w kierunku Mińska, aby zaciągnąć się do partyzantów. Po drodze zagarnęli go Niemcy, ale udało się mu uciec. W Mińsku pracował w urzędzie apropracji. Nawiązał kontakt z grupą miejscowych członków partii, ale grupa ta wpadła, gdyż wydał ją prowokator. Jak to się stało, że Bolesław Bierut nie wpadł — nie wiadomo. Henryk Rechowicz lojalnie przyznaje, że „szczegółów jego pobytu oraz działalności w Mińsku nie udało się dotąd odzyskać”. Piszcie natomiast, że „usiłował zabić o nawiązanie łączności z krajem, co mu się wreszcie udało. Po pewnym czasie zdołał nawiązać listowny kontakt z rodziną w Warszawie (żoną Janiną Górzyńską-Bierut i z dziećmi: Krysią oraz Jankiem). Od nich dowiedziała się o miejscu pobytu B. Bieruta Małgorzata Fornalska, działając w tym czasie w kierownictwie Polskiej Partii Robotniczej”.

Jest w tym wewnętrzna sprzeczność. Skoro już miał kontakt z krajem poprzez rodzinę, musiał wiedzieć, co się tam dzieje. Dlaczego nie wracał? Inicjatywa jego powrotu do Warszawy wyszła z kraju. Dlaczego, skoro o to zabiegał? Janek Krasicki nawiązał z nim kontakt w maju 1943 roku, a Bolesław Bierut zjawiał się w Warszawie dopiero w lipcu 1943 roku. A może Mińsk — wokół którego było sporo „ziem partyzanckich”, skąd utrzymywano kontakt z „Wielką Ziemią” — był tylko „stacją przesiadkową”, miejscem kontaktu i rację ma Stanisław Szwalbe, że Bolesław Bierut wrócił z Moskwy?

W Warszawie działy się rzeczy tragiczne. Ginie od skrytobójczej kuli Marceli Nowotko — pierwszy i sekretarz KC PPR. Jego miejsce zajmuje współtowarzysz z Grupy Inicjatywnej — Paweł Finder, a w skład kierowniczej trójki wchodzi Władysław Gomułka obok Franciszka Jóźwiaka. 14 listopada 1943 roku przypadkowo w ręce gestapo wpadają Paweł Finder i Małgorzata Fornalska. Na czele partii staje wtedy człowiek w Moskwie zupełnie nieznan — Władysław Gomułka. W skład trójki kierowniczej wchodzi Bolesław Bierut, który był...

kandydatem na I sekretarza. Rozmowy prowadzone przed posiedzeniem KC PPR wskazywały, że wszyscy uważają za kandydata Wiesława — Władysława Gomułkę. On sam natomiast uważał, że powinien I sekretarzem zostać Franek — Franciszek Jóźwiak. Władysław Gomułka prowadził posiedzenie KC i gdy przyszło do zgłaszania kandydatów, to Jóźwiak natychmiast zgłosił Bierutę, co — zdaje się — zaskoczyło Gomułkę. Nie uważał tej kandydatury za odpowiednią — pisze w książce „Władysław Gomułka sekretarz generalny PPR” Andrzej Werblan. Przyjął więc spokojnie własną kandydaturę zgłoszoną przez Ignasia — Ignacego Loge-Sowińskiego. W głosowaniu za Bolesławem Bierutem — a głosowano jawnie — wypowiedział się tylko wnioskodawca — Franciszek Jóźwiak. Wtedy Bolesław Bierut natychmiast zgłosił jego kandydaturę. Sytuacja powtórzyła się: za Franciszkiem Jóźwiakiem głosował tylko Bolesław Bierut. Na Wiesława padły 4 głosy. Bolesław Bierut został dokooptowany do trójki kierowniczej.

Wzajemne stosunki między Bolesławem Bierutem a Władysławem Gomułką od początku układały się źle. Władysław Gomułka nie lubił Bolesława Bierutę i wszystko wskazuje, że z wrażliwością. Dochodziło często do ostrych starć i to nie tylko polemicznych — co jest naturalne. Stosunki Bolesława Bierutę z Władysławem Gomułką układały się również z Władysławem Bieńkowskim.

Spięramy się wtedy o wiele różnych spraw i to w zasadzie jest naturalne, chodzi o mianowicie tylko o to, że w relacjach o tamtych czasach spory te albo były fałszywie przedstawiane, albo pomijano milczeniem, albo wykorzystano je później w walce politycznej przeciw Władysławowi Gomułce. Ten ostatni np. rozumiał, że KRN — skoro już z takim trudem powstała — powinna mieć szeroką bazę, stąd zabiegał o jej rozszerzenie. Przeciwdziałał się temu Bolesław Bierut i Franciszek Jóźwiak. Później oskarżono Władysława Gomułkę o chęć

podporządkowania PPR, KRN i AL rządowi w Londynie.

W wyniku walki politycznej z Władysławem Gomułką — jak dziś wiadomo — starano się nie tylko odsunąć go od kierowania partią, ale wymazać na zawsze z kart historii. Jego miejsce i rolę powoli i systematycznie przypisywano Bolesławowi Bierutowi — kreując go na jedynego przywódcę partii i narodu. W życiorysie Bolesława Bierutę zawarłem w „Kalendarzu Robotniczym 1951” tak to się określa:

„Wysilkom partii i Bolesława Bierutę przypisać należy zjednoczenie się wszystkich ugrupowań demokratycznych i rewolucyjnych do walki o wyzwolenie kraju. (...)

Przy najczynniejszym współudziale Bolesława Bierutę powstała Krajowa Rada Narodowa. On przewodniczył jej historycznemu pierwszemu posiedzeniu w noc sylwestrową z 1943 na 1944 rok.”

Temu zafalszowaniu, powstałemu w latach pięćdziesiątych, nie oparł się Henryk Rechowicz w swojej pierwszej wersji książki o Bolesławie Bierucie. Napisał on tam, że „w grudniu 1943 roku Bolesław Bierut kierował bezpo-

średnio przygotowaniami do utworzenia KRN”. W drugim wydaniu stwierdzenie to uległo zmianie, ale przy zachowaniu tezy, że Władysław Gomułka przy tym jakby nie było, „Od połowy listopada 1943 roku — pisze Henryk Rechowicz — trwały intensywne prace nad przygotowaniem inauguracyjnego zebraństwa KRN. Bolesław Bierut bardzo aktywnie w nich uczestniczył...”. Istotnie, tak było, ale — jak pisze Andrzej Werblan — „z ramienia PPR całością prac przygotowawczych kierował Gomułka”. Współpracował wówczas z Marianem Spychalskim, Ignacym Loge-Sowińskim, Kazimierzem Mijalem — który odczytał napisany przez Władysława Gomułkę referat „Walka i samoobrona narodu w związku z terrorem okupanta” — Bolesławem Bierutem, Władysławem Bieńkowskim, Zenonem Kliszką. Adres lokalu, w którym odbyło się posiedzenie znało tylko trzech ludzi: Władysława Gomułkę, Mariana Spychalskiego i Kazimierza Mijala. Bolesław Bierut dowiedział się o nim dopiero w dniu posiedzenia.

Czy wiedział o wszystkim?

W pierwszym wydaniu książki o Bolesławie Bierucie Henryk Rechowicz znalazł się zdanie całkowicie stawiające w fałszywym świetle Władysława Gomułkę. Brzmi ono: „Pomieważ ze względów konspiracyjnych na posiedzenie nie zdołał dotrzeć sekretarz KC PPR Władysław Gomułka, tym większa spadła na Bierutę odpowiedzialność”. Fałsz ten powstał już w 1947 roku, gdy wydano protokoły pierwszego posiedzenia KRN z okazji trzeciej rocznicy tego wydarzenia. Nieobecność kilku działaczy PPR na posiedzeniu KRN sformułowano tak pokrętnie, że nie bardzo było wiadomo, dlaczego byli oni nieobecni, ale sugestia była za to wyraźna, że było to nieprawdopodobne. Gdy tymczasem prawda jest inna. Zdecydowano po prostu, że ze względów bezpie-

czeństwa Władysław Gomułka, Franciszek Jóźwiak, Ignacy Loge-Sowiński i Zenon Kliszko nie będą obecni na posiedzeniu KRN, aby w razie wypadku można było zachować ciągłość pracy kierownictwa.

Henryk Rechowicz w drugim wydaniu książki „Bolesław Bierut 1892—1956” usunął sporo nieścisłości, nie uczynił wszakże rzeczy najważniejszej, nie przywrócił właściwych proporcji i wymiarów między rolą Władysława Gomułki jako przywódcy i Bolesława Bierutę. Na jego usprawiedliwienie można przyjąć tylko fakt, że pisał tę książkę w okresie, kiedy Władysław Gomułka był źle widziany, odsunięty od życia politycznego — nawet w skromnych wymiarach, jako weteran ruchu robotniczego — kiedy odmawiano mu prawa publikacji jego wyznań i odpowiedzi na stawiane mu publicznie zarzuty.

Usunął Henryk Rechowicz w drugim wydaniu książki zarzut, że Władysław Gomułka „nie zdołał dotrzeć” na posiedzenie KRN. Ale nie wspominał słowem o tym, że — jak to stwierdził Andrzej Werblan w książce o Władysławie Gomułce — „Bolesław Bierut wzbraniał się przed

przyjęciem funkcji przewodniczącego KRN i został do zgody na to skłoniony przez Gomułkę groźbą formalnego przegłosowania na posiedzeniu KC”. Przecież taka „drobnostka”, jak wzbranianie się przed zajęciem wysokiej funkcji, niezależnie od powodów, czyni polityka bardziej ludzkim.

Wizerunek polityka powinien być bez skazy — tak sądził hagiografowie. Powstaje jednak w wyniku tego obraz człowieka fałszywy, papierowy. Gdy prawda wychodzi na wierzch — a to się prędzej czy później stanie — czyni się człowiekowi, czy też jego pamięci, dobremu imieniu wreszcie — wielką krzywdę. Coś podobnego stało się z wizerunkiem Bolesława Bierutę. Uczyniono z niego chodzącą po świecie dobroć, gdy wokół działało się wiele zła. Powstaje zatem pytanie: czy Bolesław Bierut wiedział o tych wszystkich sprawach, które działy się w Polsce od 1944 do 1956 roku? Utrzymuje się opinię, że Bolesław Bierut starał się łagodzić działania represyjne władz bezpieczeństwa, że to dzięki Bolesławowi Bierutowi nie doszło do procesu Władysława Gomułki.

Konflikty między Bolesławem Bierutem a Władysławem Gomułką rozpoczęły się dużo wcześniej, ale nasiliły się w okresie lubelskim i później. Zdaniem Władysława Gomułki do Biura Politycznego KC PPR po lipcu 1944 roku powinni byli wejść „grupy krajowej” on sam, Bolesław Bierut i Franciszek Jóźwiak. Bolesław Bierut zaprotestował przeciw kandydaturze Franciszka Jóźwiaka, motywując to tym, że „są lepsi od niego”. Dzięki temu „grupe krajową” reprezentowało tylko dwóch: Władysław Gomułka i Bolesław Bierut. Emigracje z ZSRR reprezentowali natomiast trzech działaczy: Jakub Berman, Hilary Minc i Aleksander Zawadzki. W maju 1945 roku dokooptowano do

Biura Politycznego Mariana Spychalskiego i Romana Zambrowskiego. Stosunek „grupy krajowej” do emigracji z ZSRR nie zmienił się. Było trzech do czterech. Pierwszym sekretarzem nadal pozostał Władysław Gomułka. Ale wcześniej Bolesław Bierut napisał list do Gomułki, który to list był w zasadzie... donosem. Fragmenty tego listu przytacza Andrzej Werblan w swojej książce o Władysławie Gomułce.

„Sekretarz Komitetu nie stoi na wysokości swych zadań. Zamiast dążyć do konsolidacji, przyczynia się do rozłamów KC. Wasza natchniona pomoc w rozwiązaniu tej kryzysowej sytuacji jest niezbędna (...)

Sekretarza cechują od dawna dyktatorskie dążenia. Właśnie to uniemożliwia kolektywność w pracy KC. Gdyby przynajmniej miał on przy tym prawidłowe i trwałe nastawienie polityczne, nie byłoby to tak niebezpieczne. Lecz czyni on bez przerwy żyzną od sekciarstwa do skrajnego oportunizmu i odwrotnie (...) sekretarz stworzył sobie grupę (...)

Bolesław Bierut miał tu na myśli Władysława Gomułkę, Ignacego Loge-Sowińskiego i Aleksandra Kowalskiego. Uczynił też aluzję do „większości” z czasów wewnętrznych tarć w KPP po II Zjeździe KPP.

„Ta „większość” była — pisał dalej Bolesław Bierut — niedawno gotowa wleść się w ogień ugrupowań reakcyjnych popierających rząd londyński. Na szczęście niebezpieczeństwo to minęło, lecz może ono jeszcze powstać w innej formie przy nowych okolicznościach.”

List ten nosił datę: 10 lipca 1944 roku. „Z końcem lipca — pisze Henryk Rechowicz — Bolesław Bierut razem z Władysławem Gomułką przybyli do wolnego od okupanta Świdra, skąd 3 sierpnia dostali się do Lublina”. W Świdrze Wielkim mieszkał Władysław Gomułka. Kierownictwo KC PPR podjęło decyzję, że należy przedostać się na prawy brzeg Wisły, na tereny, które mogą być wkrótce zajęte przez wojska radzieckie. Przeniesiono się więc do Świdrow Wielkich, które zostały wyzwolone 30 lipca 1944 roku. Kierownictwo PPR na lewym brzegu Wisły pozostało w rękach: Zenona Kliszki, Heleny Kozłowskiej i Jerzego Morawskiego.

Władysław Gomułka 31 lipca 1944 roku przygodnym samochodem udał się do Lublina, gdzie spotkał Ignacego Loge-Sowińskiego, który jeszcze tegoż dnia wieczorem pojechał do Otwocka. Odnalazł 1 sierpnia 1944 roku Zofię Gomułkową, Bolesława Bierutę i Franciszka Jóźwiaka. Można założyć, że gdy na wyzwolonych terenach doszło do formułowania nowych władz PPR, to Bolesław Bierut spodziewał się, że nastąpi zmiana na stanowisku I sekretarza KC PPR. Stało się inaczej. Bolesław Bierut nie mógł być z tego zadowolony.

Pod koniec 1944 roku Władysław Gomułka znalazł się jakby na dalszym planie, w cieniu, a na czoło wysunął się Bolesław Bierut, z nim przede wszystkim utrzymywał kontakty Józef Stalin. Jego poinformował, że po dezeracji z Niemcy z 31 pułku piechoty ciałą zakaz aresztowania na terenach wyzwolonej Polski. Kuminacja tego było aresztowanie w marcu 1945 roku 16 działaczy londyńskiego podziemia. Z tego powodu Bolesław Bierut nie interweniował u Józefa Stalina, a interweniował — choć bezskutecznie — Władysław Gomułka.

W lutym 1948 roku Bolesław Bierut zaczął przejawiać inicjatywę w kierowaniu KC PPR, choć formalnie do niego nie należał. Nawet ten nie mógł być nie uzgodniony z Józefem Stalinem. 14 lipca 1948 roku na przykład Józef Stalin na ręce Bolesława Bierutę przysłał kopię listu KC WKP(b) do Klementa Gottwajda o wiadomości KC PZPR. W sierpniu 1948 roku Bolesław Bierut powiadomił Władysława Gomułkę, że zmiany w kierownictwie KC PPR zostały już uzgodnione z Józefem Stalinem. Po wyrugowaniu Władysława Gomułki z władz PPR Bolesław Bierut zażądał od niego przekazania jego archiwum, co czyniło Gomułkę bezbronny, pozostawionym własnej pamięci, która potrafi być przecież zawodną. Było to na początku listopada 1949 roku.

W tymże roku 1949 Biuro Polityczne KC PZPR wyłączyło służbę bezpieczeństwa spod naturalnej i normalnej kontroli rządu i instytucji politycznych i powołało komisję Biura Politycznego KC PZPR do spraw bezpieczeństwa, w skład której weszli: Bolesław Bierut, Jakub Berman, Hilary Minc i Stanisław Radkiewicz. Wszystkie więc sprawy, jakie działy się w tym czasie i późniejszym musiały być — choćby w głównych zarysach — znane Bolesławowi Bierutowi. Jak wykazały badania Walerego Namotkiewicza — o czym pisał w tygodniku „Perspektywy” na przełomie maja i czerwca 1988 roku — Bolesław Bierut nie tylko wiedział o przebiegu śledztwa prowadzonego przeciw Władysławowi Gomułce, ale wraz z Jakubem Bermanem osobiście nim kierował. „Opracowywał — pisze Walery Namotkiewicz — również szczegółowe scenariusze pytań, które oficerowie śledczy mieli zadawać oskarżonym”. Usiłowali wymusić zeznania u całej plejady różnych osób, że Władysław Gomułka „był agentem sanacyjnym”, że „współpracował z gestapo lub co najmniej ułatwiał wprowadzenie agentów niemieckich do struktur organizacyjnych lewicowego podziemia”. I tym podobne bzdury, które w wypadku powodzenia mogłyby się zakończyć śmiercią wielu oskarżonych.

Walery Namotkiewicz przypomina, że rzecznicy ówczesnej polityki — sami mający co nieco na sumieniu — usiłowali utrzymać, że „Gomułka nie zasiadł na ławie oskarżonych, gdyż Bolesław Bierut był temu przeciwny”. Otóż twierdzi on stanowczo, że „Bolesław Bierut i Jakub Berman dążyli z całą bezwzględnością do zorganizowania takiego procesu”. A jeśli do tego nie doszło, to Władysław Gomułka zawdzięcza tylko sobie, swojej nieustępliwości, której bał się przygotowujący proces. On i inni przestuchiwani jego współpracownicy odmawiali przyznania się do fałszywych zarzutów mających pognieść innych. Bez tego przyznania się proces był niemożliwy.

Tak padł mił dobrośliwego opiekuna narodu polskiego. Ale gdy umarł — ludzie plakali.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Publikowany ostatni fragment soku o Bolesławie Bierucie pochodzi z zbioru szkiców o najnowszej historii Polski przygotowanych dla łódzkiego oddziału Krajowej Agencji Wydawniczej.

O d czasu do czasu w Modlicy pojawia się jakaś zabłąkana staruszka. To z kijem i tobołkami, niby Reymontowska. Agata, to znów bez bagażu i nazwiska, a niekiedy i taka, co nosi parę gałązek chrustu na plecach. Bywa że zatrzyma się babcia gdzieś pod drzewem, za czyjąś stodółą, przed krzyżem, wypowie jakieś słowo tajemne, znak jakiś obrzędowy uczyni i pójdzie sobie. Nie będziemy jednak tych problemów roztrząsać, ponieważ o zwyczajach i obyczajach napisała już książkę **Maria Łopatkowa**, która była tu kiedyś nauczycielką. Modlica wprawdzie nie ma Łopatkową, ale teraz to jest nawet z niej dumna.

A jedna z takich staruszek to kursuje w te i wewte przez wieś przez tydzień i znika. Dociera zawsze tylko do **Pałeczewa** i wraca. Ludzie mówią, że w Pałeczewie straszny to cholerny wysypisko śmieci. Nie daj Boże, żeby się na gorze zwieździeli, że w Modlicy jest jeszcze trochę luzu i zagajów na moczarach, bo mogliby tam spać te śmieci. No, ale na razie nie ma strachu, ponieważ **Pałeczew** jest w Łódzkiem, a **Modlica** w Piotrkowskiem.

Dziadek **Franciszek Kopacki**, rodowity Modliczanin, także kursuje przez całe życie do Pałeczewa. Dzień w dzień po pięć kilometrów w tę i z powrotem. Dziadek **Kopacki** ma już ponad osiemdziesiąt lat, jest samotnym starym kawalerem, którego odwiedza z rzadka siostra mieszkająca w Łodzi. Życie tak go przysięgło, że nie musi się schylać, aby ująć rączki taczki. Jedyną jego żywicielką jest krowina, którą z kolei musi żywić dziadek **Franciszek**. A że ma on łakę od strony Tuszynia, do której nie sposób dotrzeć przez bagna, więc **Franciszek** codziennie przywozi z Pałeczewa taczka żwiru, aby uśypać groble i mieć suchą drogę na łakę. Jak długo dziadek walczy o tę swoją drogę, świadczy posadzony przez niego na grobli olszyn. Które wyrosły co najmniej na 15 metrów.

— Ech, ta droga! — wzdycha, cytując nieświadomie słowa rosyjskiej piosenki, **Wanda Kolasowa**, smagła, szesnastoletnia brunetka — Jeżeli sam dziadek ma tyle kłopotów, to co ty mówisz o reszcie mieszczanków. Gdyby tu był dobry dojazd, Modlica stałaby się piękną wieś letniskową.

Józef Kolas jest taki bardziej przysiadłszy i mniej młotowiny od żony, ale za to robotny, czesno efekty już widać. Oboje pochodzą z miasta, kupili w Modlicy kawałek ziemi, postawili ładny nowy dom, ogródek, położyli chodnik, nie zapomnieli też o prowizorycznym basenie. A co się tyczy tej 7-kilometrowej drogi przez wieś, to, jak później wspomni sołtys **Kosiada**, sprawa ślimacza się co najmniej od pięciu lat. No, byli i przeciwni, tacy, co mówili, że jak założyć asfalt, to będzie duży ruch i auta zaczęły kury zabijać. A kury i psy trzeba trzymać w obejściu, nie?

Prawde mówiąc, najpierw należałoby pomyśleć o kanalizacji, to znaczy wykopać po obu stronach drogi rowy z przepustami. Bo jak roztopy, to woda idzie do zagrod i robi szkody. U **Nowaków** na przykład woda podeszła i potem w mrozy wysadziło z betonu nowiutką bramę.

Sprawa się wleczce, bo w Tuszynie w ciągu sześciu lat zmieniło się trzech naczelników.

Ten trzeci jeszcze oficjalnie nie urzęduje, jego funkcję pełni zastępca **Władysław Dec**. Modlica nie chciałaby mieć takiego cyrku, jaki się odbywa w Tuszynie, gdzie najpierw położono asfalt, a teraz go się zrywa, żeby zrobić kanalizację. Ano, jeśli istnieje urząd miasta i gminy w jednej osobie, to naczelnik takiego urzędu musi najwięcej uwagi poświęcać problemom miasta, a wsi, zwłaszcza na pograniczu, to już prawie nie widać. I dlatego Modlica mówi, że nie ma żadnego poparcia z gminy.

Ale ludzie przecież już coś zrobili. A więc złożyli się po 1000 zł z hektara, ale nie mniej niż 3000 zł z gospodarstwa. W Modlicy są biedacy, ale są i ludzie zamożni, tacy co posiadają własne samochody ciężarowe i oni właśnie wozili prywatnymi ciężarówkami tłuścień z **Bab**, który zwalono przepiętym na przemy. Mieszkańcy zobowiązali się rozrzucać tłuścień i wyrównać przed swoimi zagrodami i dokonał tego. Wtedy

okazało się, że materiału jest za mało, zostało po kilkaset metrów pustej drogi. No i na tym koniec. Woda rozmyła tłuścień, koła traktorów wyrzuciły resztę w pola i cześć. A najgorsze, że nie było fachowej pomocy ze strony drogowców. Dopiero gdy w „Małym Głosie” ukazała się notatka o bałaganie w Modlicy, przez wieś przejechała wyrównarka, zawróciła i na tym skończyły się roboty drogowe.

Owszem, są w Modlicy suche kawałki drogi, na górkach, ba, jest nawet kawałek asfaltu, ale ten to położyla „liwdrobudowa”, gdy wozila z Pałeczewa żwir na budowę stacji pomp w Kalinku. Ogólnie jednak jest tak, że tłuścień na drodze już prawie nie ma, wiosną i jesienią trzeba chodzić w kałozach, ciężkie maszyny rolnicze niszczą nawierzchnię i same się niszczą, a jeszcze bardziej niszczą się samochody osobowe.

Wiesław Nowak stwierdza, że aby kupić 1,90 ha lichej ziemi, nie próbowali żadnych kombinacji, tylko zapisali się wraz z żoną na kurs rolniczy w Bratoszewicach.

— Piływalimy jachtem po jeziorach obłożeni książkami i kuliliśmy zawzięcie z nadzieją, że przynajmniej jedno z nas zda. Zdaliśmy oboje. Zdobyliśmy uprawnienia rolnicze i zdestawowane gospodarstwo, a w nagrodę odebrano nam kartki na mięso. Trzeba więc było hodować żywiznę. Były kury, indyki, gęsi, króliki, owce, cielaki, świni. A w tej osiatkowanej zagrodzie, co pan widzi przy komórcie, trzymam jednego starego bażanta i cztery młode. Jak dobrze pójdzie, założę hodowlę bażantów.

— Na wybiegach są psy.

— Psy to odrębna historia. Każdy jest czymś ulubionym. I ta wielka biała suka rasy dog, i ta czarna wilczyca, i ten mały kudłaty mieszaniec. Ja wedle hierarchii rodzinnej powinienem sobie teraz kupić jamnika. Ale tak naprawdę to najwięcej było tu szczerów.

— Zatrzesienie! — potwierdza małżonka. — Przywoziłam kiedyś dziesięć młodych indyków, wsadziłam do obory i rano znalazłam dziewięć zagrzebanych w ściółce, z przegrzyzionymi gardłami.

— No widzieli — wypomina jej córka. — A groziłaś, że razem z tą wilczycą Kamą wyrzucisz mnie na wycieraczkę. Bo ta suka, proszę pana — zwraca się do reportera — to była strasznie biedna, chyba nawet ją bito. Ktoś wjeżdżał pod namiot i prosił, żebym się nią zapiekowała. Kama nie lubiła kobiet, przy pierwszym spotkaniu nawet rzuciła się na mnie. A potem stała się moją najlepszą przyjaciółką i zaczęła się rzucać na szczeru.

— Ewa poszła do pracy u ogrodnika, żeby zarobić na Kamę — mówi z uznaniem ojciec. — Kupiła ją za pięć tysięcy. I niech pana nie mączy ostrzeżenie na bramie pt. „Zły pies” z tym, że te suki lasza się do pana i liżą. Zachowują się tak tylko w naszej obecności. A jak sąsiad chce pożywić zapalki, to już na drodze krzyczy, o co mu chodzi. Do bramy nie podchodzi.

— Kama upolowała dwadzieścia sześć szczerów — oznajmia z dumą Ewa.

— Tak, tak — wtrąca **Nowak** — ale z wszystkimi sobie nie poradzi. Dlatego sprezentowałem im koziołka. Zapach kozła wypędza szczeru z zagrody. Ale żeby się sam nie mączył i nie służył tylko na postrach, to sprowadzę mu chyba kózkę.

Przy obiedzie **Wiesław Nowak** stwierdza, że rosół jest z prawdziwego kurczaka „od kury”, tylko nie wiadomo, kto dokonał rezi. Bo wychodzi na to, że w tej zagrodzie każde stworzenie musi zemrzeć śmiercią naturalną. Można napisać cały dramat, w którym główną rolę zagrałaby **Teresa Nowakowa** i wszystkie przez nią oplakane świni.

— Coś panu powiem! — wyrzywa się Ewa. — Mielimy taką kaczkę, która prowokowała psy do zabawy. Wilczyca Kama wykorzystywała to na swój sposób. Czekala, aż kaczka znieśli jajko, i natychmiast je pożerała. A później to już nie czekała, tylko łapami wygniatała z kaczki jajko. I ta kaczka też zmarła śmiercią naturalną.

— No widzi pan! — śmieje się **Nowak**. — A nie mówiłem! Bażant jest pupilem żony, królika nie wolno zabić, świni

oplakane. Jak sąsiad zabijał cielaka, to żona w domu buczała.

— Tak jest! — potwierdza córka. — Dostałam w prezencie ślubny dwie gęsi i niech pan zobaczy, o tam! Te ślubne gęsi od dwóch lat żyją i gęgają na gospodarzy.

Teresa Nowakowa toczy walkę niby to groźnym okiem i odpardowuje:

— Żeby każdy rolnik tak dbał o zwierzęta, to ho! ho! Mielibyśmy najlepsze wyniki w hodowli. Przywieźli mi cielaka, które nie umiało jeszcze żreć trawy ani paszy.

— Po to — przerywa mąż — żebyś karmila je własną pierśią.

— Akurat! Sąsiadka uznała, że cielak się zmarnuje, ale ja nie przyjąłam tego do wiadomości. Robiłam na mikserze mleko w proszku z siemieniem i karmilałam, jak to mówią, po palcu. Bysiek rósł jak na drożdżach.

Jest tu klan **Kosiadów** — w sumie piętnaście rodzin.

W Modlicy są kłopoty i żyją oryginały

RYSZARD BINKOWSKI



Grzegorz Gatański

li po nocach w Tuszynie, żeby kupić kawałek węgla. A Modlica jeździła do Rzgowa, bo tam węgiel był bez kolejki, na wolnym rynku. A spróbuj pan coś załatwić w wojewódzkim Piotrkowie, jak autobus jeździ trzy razy dziennie. Jak mój ojciec był sołtysem, to w godzinę załatwił wszystko w Rzgowie. A teraz nasze dzieci wozą się do szpitali w Bełchatowie, chyba z 50 km, i do Radomska, jeszcze dalej. Gdy **Apolonia Sumerowa** złamała nogę, to kazali jej jechać z gipsem do Tomaszowa, będzie ze 40 kilometrów, ale nie mieli jej czym przewieźć. Wzięła taryfę w Rzgowie i zapłaciła za kurs 6 tysięcy. A wcześniej ta sama **Sumerowa** poszła z widłami na maszynę.

Tak jest, proszę pana, poleciła w pole z widłami i z krzykiem, że przebiję tego sukinyśna, co to wszystko wymyślił. A co by pan zrobił, jakby panu na dwa tygodnie przed żniwami zaczęli meliorować pole? Zdażyli wkopać w ziemię sporo dojrzałego zboża. Tak tu się łączy z chłopem.

Ano, jak to na pograniczu, myśli reporter. Dobrze, że w Modlicy jest taki rolnik, co ma ponad 20 ha ziemi, prawie wszystkie maszyny i kombajny, więc pomoże w biedzie sąsiadom. Nazywa się **Aleksander Kosiada** i jest także naczelnikiem OSP. On może powiedzieć, czemu remiza nie może się doczekać remontu. Strażacy sami przywieźli z lasu parę dziesiąt metrów sześciennych kłoci, zwieźli żwir i eternit, kilkadziesiąt tysięcy cegieł i to wszystko niszczące, bo znikąd wsparcia finansowego, żeby opłacić murarzy i cieśli. W tej sytuacji nie zarobi też **Anna Azier**, szefowa **Koła Gospodni Wiejskich**, bo komu ma wypożyczać zastawę stołową, jak do remizy strach wejść? Ot, załatwi kobietom pisklętą, trochę paszy i tyle.

Z dwóch końców tej długiej wsi jeżdżą wozacy zbierający hańki z mlekiem do zlewni. Teraz ma się zlikwidować zlewnię w Modlicy, bo opłacalna jest tylko na 10 tys. litrów dziennie, a tutaj zbiera się 2 tysiące. A czyja to wina, że cena na mleko taka, iż nie wszystkim opłaca się trzymać krowy? Dobrze, że chociaż od wiosny działa sklep, który od kilku lat był nieczynny. Bo filialny punkt sprzedaży nawozów zlikwidowano i chłopci jeżdżą teraz do **GS** w Tuszynie lub w Górkach.

Sołtys wyciąga trzy kwity i mówi:

— Chcesz zamówić w **SKR** usługę żniwną, musisz dokonać przedpłaty do końca czerwca. Potem załatwisz fakturę za rzeczywiste wykonaną usługę, na koniec zaś trzecią fakturę, żeby się rozliczyć z różnicy. Wędruje więc chłop trzy razy do Tuszyna, a czasem i dziesięć razy, bo jak wcześniej weźma forę, to mogą przewieźć kombajnem, kiedy chcą. A jak przysyły dwa kombajny ze Rzgowa, to była z nimi księgowa i na miejscu wypisywała kwity za wykonaną usługę.

Sołtys dodaje jeszcze, że ow-

autobus nie mógł się przebieć przez zasy. A zaraz po tym oderwaniu od gminy Rzgów to myśmy jeździli 6 kilometrów do Kruszowa, tam nas przyjmował Urząd Gminy.

Do Rzgowa bliżej...

Reporter mówi, że kończył podstawówkę w Rzgowie za czasów stalinowskich, ale za to w towarzystwie **Przyćwonej, Ławickiej i Kosiady z Modlicy**, bo tam było wtedy tylko pięć klas.

— Pewnie z **Jurkiem Kosiadą** — odpowiada sołtys. — On był potem milicjantem w Rzgowie.

Ano właśnie, dzięki pobliżności do milicjanta **Binkowski** wychodził cało z opresji, nie trafił do kryminalu, a nawet udało mu się potem napisać parę książek.

— Ostatnio — podejmuje **Henryk Kosiada** — chłopci sta-

szem, zdrenowano we wsi trochę pola, ale nie tam gdzie trzeba.

Poza tym w Modlicy są kłopoty i żyją oryginały.

No to popatrz, bracie, może sam zobaczysz. Wiatr młota czubami brzoź, wdiera się pod dach spalonej chałupy z rozbebeszonym szczytem. A w polu ktoś śpiewa.

— A to ten — powiedzą — co się spalił. My go tu nazywamy **Klemensem**. Gdyby to był kuternoga i zabijał świnię, byłby z niego istny **Jambroży z „Chłopów”**. A jakże, czytało się, nie ma to tamto.

Dla tych ze wsi oryginałami byli też **Nowakowie**. No bo jak cudak miastowy potrafiłby zrobić z walącej się chałupy prawdziwą willę, i to własnymi rękami. Podwyższył strych

I szykuje tam eleganckie mieszkanie o powierzchni 80 metrów kw., z łazienką, centralnym ogrzewaniem, i spadzistymi sufitymi wyłożonymi drewnem. Na dole tak samo, jeszcze jakieś łuki w ścianach do przejścia, a pod spodem piwnica. Dobudował werandę i ganek, otynkował wszystko, pomalował na biało. Ogrodzenie na wysoki polysk, wszędzie jaskółce, modrzewie, orzechy włoskie, na podwórzu rośliny ozdobne, skalki. W miejscu tej zawałonej obory stoi wyskokowy garaż i wielki pokój na lato, żeby goście mieli gdzie spać. A tam, gdzie straszyla zębami stodoła, stoi ładnie pomalowana wiatra, wykonana z misternie pospawanych panelowych grzejników, które wałaly się na złomowisku. A co najdziwniejsze, że ten **Nowak** trzyma pod wiatą jacht, który wozu wózku przyczepionym do poloneza.

Ale to nie wszystko. Jest jeszcze ten koziołek i krzak czerwony, której gałąź koziołek zlamiał. I czemu ten stary chłop ubolewa nad czerwem, po co w ogóle to sadzi? Ano, bo jak się do ciasta doda 10 proc. maki z owoców czerwonych, to chleb będzie świeży przez miesiąc.

Aha, ten facet z teatru ma jeszcze 18-letniego syna **Michała**, blondyna z rodmuchaną modnie czupryną. I jak ten syn siedzi w niedzielę w Modlicy, to w Łodzi nagrywa mu się na kasecie serial „W kamiennym kręgu”, bo on tak zaprogramował aparat, że sama się na czas włącza. Dla kolegi się nagrywa, gdyż **Michał** wolałby słuchać tego serialu w radiu.

Nowak nie jest sam, są inni przybysze z miasta. **Kaweciki** prowadzi ogrodnictwo, **Gesiorowski** uprawia sadzonki drzewek i krzewów ozdobnych, a **Zakrzewski** ma dwa tunele i domek kempingowy. **Zakrzewski** był twardy, bo przez dwa lata do grudnia mieszkał w namiocie. Jednakże największym oryginałem jest **Madaliński**, który wyżył się w Rzgowie domu, dorobił się renty w kopalni i teraz mieszka bez młodu w Modlicy, wyrzucając chłopom gnój z obór albo smarując dachy. Syła w stodołach. Mówi, że 20 stopni mrozu w stodołę to dla niego nie mroź.

No, jest jeszcze obywatel wagi superciekiej, który podkłada pod wersalkę pustaki, żeby się nie zawałił, i taki jeden, co bada żywność za pomocą wahadełka i wróży z kart. Mogłby zostać radnym, ale niechęcią go niespełniona obietnica przedwyborcza. Miałoby być założone w Modlicy 30 telefonów, a założono tylko dwa, u sołtysa i w straży. A to dlatego, że był tutaj lokal wyborczy.

Wieczorem nad wsią ciągną ciężkie stalowe chmury i hula wiatr, jakby się ktoś powiesił. Droga ciemna jak tunel bez światełka. Ale wkrótce będzie wesoło. Żeni się **Boryna z Modlicy**, najlepszy gospodarz — **Olek Kosiada**!

Na placu przed stołową gromadzi się około 600 osób. Wielu studentów stoi w pootwieranych na oścież oknach sąsiednich akademików. Wiele zorganizował Łódzki NZS.

— Nie zamierzam iść na ten wiec — mówi jedna ze studentek. — Jestem na ostatnim roku studiów. Mam za dużo do stracenia.

Wiele odbywa się za oficjalną zgodą rektora UL, studenci otrzymują też oficjalne zapewnienie, że siły porządkowe nie będą interweniować. I rzeczywiście. Mundurów nigdzie nie widać.

Na transparentach i ścianach akademików hasła: „Uniwersytet naszemu drugiemu domem. Tyle, że publicznym”. „Jestem z wami, Lenin”, „NZS”.

Na ulotkach napis: „To jest ulotka. Nie bój się, przeczytaj”. Ulotki zawierają postulaty zgłaszane przez NZS. Tych postulatów jest kilkadziesiąt, są pogrupowane w kilka działów tematycznych. Na pierwszym miejscu postulat zmiany obecnej ustawy o szkolnictwie wyższym. Dalej idą postulaty zwiększenia środków finansowych przekazywanych na naukę. Studenci żądają też, by działalność MO na terenie uczelni była możliwa tylko za zgodą rektora.

Studenci domagają się całkowitej wolności nauki, czyli niecenzurowania prac naukowych i zniesienia prohibicji w bibliotekach uczelniowych i naukowych.

Punktem zapalnym jest też szkolenie wojskowe. Studenci chcieliby, żeby zaliczenie tego szkolenia nie było koniecznym warunkiem ukończenia studiów i żeby usunięto z jego programu wszystkie zajęcia ideologiczne.

Wśród postulatów ogólnospołecznych na pierwszym miejscu jest żądanie uznania pluralizmu partego na wolności zrzeszania się. Dalej idą postulaty wprowadzenia demokratycznej ordynacji wyborczej, zniesienia „nomenklatury” i cenzury prewencyjnej.

Na wielu przemawia przedstawiciel Łódzkiego NZS, Andrzej. Mówi o tragicznej sytuacji młodego pokolenia Polaków, o wzrastającej fali emigracji, o braku mieszkań i innych podstawowych dóbr. Przemawia też zaproszony na wiec przedstawiciel NSZZ „Solidarność”. Wiele ma charakter czysto informacyjny, zgromadzeni zostają poinformowani o tym, że NZS postanowił oficjalnie wystąpić z wnioskiem o rejestrację.

Po przemówieniach następuje coś w rodzaju części artystycznej. Na mównicę wchodzi szef Galerii Działu Maniackalnych, Krzysztof Skiba.

— Przynoszę wam pozdrowienia, — mówi. — Uchwaliliśmy swoje postulaty.

Po tym wystąpieniu na mównicę znów pojawia się Andrzej.

— Ludzie, to już koniec wiecu. Nie wiem, jak was proszę, żebyście się spokojnie rozeszli. Nie róbcie demonstracji, nie

Nie tylko na Uniwersytecie Łódzkim i Warszawskim.

Czego chcą studenci?

MAREK BŁASZKOWSKI

podpalacie samochodów, nie demoluje sklepów...

Zebrani śmieją się. Dopiero potem dowiem się, że NZS naprawdę obawiał się provokacji. Studencka straż porządkowa miała polecenie natychmiastowego uciśnienia provokatora, który np. zacząłby wznosić hasła antypaństwowe, czy w inny sposób podburzać tłum. Na szczęście provokatorów nie było.

Po wiecu rozmawiam z Andrzejem.

— Pracy NZS nadają w tej chwili ton środowiska studenckie w Warszawie, Krakowie i Gdańsku. Łódź jest na szarym końcu. Dlaczego? Łódzki NZS był bardzo aktywny w okresie, jak to teraz nazywamy „karnawału”, czyli w roku 1981. Po roku 1981 został zupełnie rozbity. Działacze z 1981 pokończyli już studia i nie wychowali następców. Nie ma więc ciągłości. Całą pracę trzeba zaczynać od nowa. W Łodzi praktycznie nie ma nawet samorządu studenckiego. Decydujący wpływ na to miało fiasco z 1985 r. Niemniej są duże szanse ożywienia środowiska. Mamy tu największe osiedle akademickie w Polsce — 6,5 tys. mieszkańców. Sytuacja jest napięta. Wszyscy się tym interesują, ale nie bardzo mają ochotę włączyć się do działania. To pokolenie jest zastraszane. Nie zajmujemy się tylko tematami politycznymi. Uprawiamy też alternatywne rodzaje sztuki, happening.

— Trudno było odtworzyć rozbitą strukturę organizacji. — Działalo wiele grup. — Dopiero 17 lutego 1988 nastąpiło oficjalne reaktywowanie NZS.

— Czy jest szansa na rejestrację? — Rejestracja NZS jest pochodną sprawy rejestracji „Solidarności”. Na razie możemy działać półoficjalnie. Rozmawiamy z nami.

— Dlaczego powstało Zrzeszenie? — Jedyną drogą dla Polski jest pluralizm. Tylko przy istnieniu wielu organizacji, o różnych programach jest szansa wywierania realnego nacisku na władzę. Zrzeszenie jest po to, by podkreślać istnienie pluralizmu związkowego na uczelniach. Pośrednio zmuszamy też do działania takie organizacje jak ZSP i ZSMP.

— Jeśli chcą z nami konkurować, to muszą coś robić. Ten kraj trzeba jakoś ratować. Ludzi już coraz bardziej przestaje obchodzić jego los. Ci, którzy jeszcze próbują coś zrobić niedługo mogą zwątpić. Wyemigrują.

— Czy możecie działać zupełnie swobodnie?

— Nie bardzo. Dość często jesteśmy zatrzymywani. Podam ci przykład. W dniach 9—11 września odbył się Zjazd Delegatów NZS. Na tym zjeździe postanowiliśmy wystąpić z oficjalnym wnioskiem o rejestrację. Wyłoniono grupę ludzi, która miała sporządzić ten wniosek. Ta grupa zebrała się w Warszawie, w prywatnym mieszkaniu. I została stamtąd wygnana. Nawet nie przepuszczaliśmy, że przy sporządzaniu zupełnie zgodnego z prawem wniosku mogą nas spotkać jakieś represje. Gdybyśmy się tego spodziewali, to zebranie odbyłoby się w jakimś kościele.

— Władza mogłaby walczyć z nami w ciekawy sposób. Wyobraź sobie milicjantów, którzy przychodzą na nasz wiec z transparentem: „Studenci do brzy są!” A potem biegną podpytywać się pod wnioskiem o rejestrację. Przecież to by nas wykończyło.

— A dlaczego wy nie chwytacie się takich metod w walce z władzą?

— Jak to nie? Ostatnio zorganizowaliśmy w Warszawie manifestację ku czci Feliksa Dzierżyńskiego.

— I jaki był wynik tego happeningu?

— Zatrzymanie na 48 godzin.

— Dlaczego nie chcecie rozmawiać z telewizją?

— Próbowaliśmy. Przyszła do nas pani redaktor i zaproponowała udział w takim „mini-okrągłym stole”. Mieli występować przedstawiciele ZSP i NZS. Zgodziliśmy się. Okazało się jednak, że nie może paść w rozmowie nazwisko Wałęsa i nazwa „Solidarność”. Zgodziliśmy się i na to. Potem okazało się, że nie wolno nam mówić o szkoleniu wojskowym. Zgodziliśmy się i na to. Ale kiedy okazało się, że nie wolno poruszać nawet tak białej sprawy jak swobodny wybór egzaminatora, wycofaliśmy się z całego interesu. Zresztą, co ja będę rozmawiał z telewizją. Co, powiem, to wytną albo przeinać. Wiadomo co można zrobić z taśmą.

— A dlaczego ty działasz w NZS?

— Jeśli się nie sprzeciwiam, to znaczy, że wyrażam zgodę na to, co ze mną robią. A ja się nie zgadzam. Tu człowiek może się zamordować. Wielki męczeński plac 30—50 tys. mieszkańców i nawet nie zdola się za to utrzymać. Położono naukę, kulturę, gospodarkę. Niemniej nie oczekuje zmian na lepsze. Tylko jeszcze bardziej wzrośnie fala emigracji.

— Czy uważasz program NZS za radykalny?

— A skąd! To sytuacja w kraju jest „radykalna”. Ośrod-

ki tzw. opozycji są umiarkowane. W sierpniu 1988 roku robotnicy wyzywali Lecha Wałęsę od zdradcy. Opozycja wcale nie kierowała majowymi i sierpniowymi strajkami, nie wywoływała ich.

Umawiam się z Andrzejem, że następnego dnia pojedziemy razem do Warszawy. Mam więc szansę być świadkiem złożenia oficjalnego wniosku o rejestrację NZS.

II. STUDENCI O NZS

— Dobrze, że są ludzie, którzy się jeszcze coś chce.

— Nie zarejestrują ich. Chłopa nie mają żadnych szans.

Pytam studentki medycyny jak oceniał swoją sytuację.

— Jest fatalna. Nie stać nas nawet na książki. Dla przykładu Biochemia Harpera kosztuje 10 000 zł, a Biochemia Strepera 20 000. Stypendia są niskie, cały czas musimy dorabiać. Trudno się w ten sposób skoncentrować tylko na nauce. Po studiach wcale nie będzie lepiej. Przez wiele najbliższych lat możemy liczyć na zarobki około 30 tys. na miesiąc. Nigdzie nie widać końca tego dorabiania się. Ach, gdyby można wyjechać z tego kraju na stałe...

— A po co nam szkolenie wojskowe? Przez dwa lata siedźmy na wojsku 6 do 8 godzin. Pan od polityki opowiada dowcipy o „Czerwonym Bracie” i myśli, że nam się w ten sposób skoncentruje.

— Spróbujmy. Przyszła do nas pani redaktor i zaproponowała udział w takim „mini-okrągłym stole”. Mieli występować przedstawiciele ZSP i NZS. Zgodziliśmy się. Okazało się jednak, że nie może paść w rozmowie nazwisko Wałęsa i nazwa „Solidarność”. Zgodziliśmy się i na to. Potem okazało się, że nie wolno nam mówić o szkoleniu wojskowym. Zgodziliśmy się i na to. Ale kiedy okazało się, że nie wolno poruszać nawet tak białej sprawy jak swobodny wybór egzaminatora, wycofaliśmy się z całego interesu. Zresztą, co ja będę rozmawiał z telewizją. Co, powiem, to wytną albo przeinać. Wiadomo co można zrobić z taśmą.

— A dlaczego ty działasz w NZS?

— Jeśli się nie sprzeciwiam, to znaczy, że wyrażam zgodę na to, co ze mną robią. A ja się nie zgadzam. Tu człowiek może się zamordować. Wielki męczeński plac 30—50 tys. mieszkańców i nawet nie zdola się za to utrzymać. Położono naukę, kulturę, gospodarkę. Niemniej nie oczekuje zmian na lepsze. Tylko jeszcze bardziej wzrośnie fala emigracji.

— Czy uważasz program NZS za radykalny?

— A skąd! To sytuacja w kraju jest „radykalna”. Ośrod-

ki tzw. opozycji są umiarkowane. W sierpniu 1988 roku robotnicy wyzywali Lecha Wałęsę od zdradcy. Opozycja wcale nie kierowała majowymi i sierpniowymi strajkami, nie wywoływała ich.

Umawiam się z Andrzejem, że następnego dnia pojedziemy razem do Warszawy. Mam więc szansę być świadkiem złożenia oficjalnego wniosku o rejestrację NZS.

Pytam studentki medycyny jak oceniał swoją sytuację.

— Jest fatalna. Nie stać nas nawet na książki. Dla przykładu Biochemia Harpera kosztuje 10 000 zł, a Biochemia Strepera 20 000. Stypendia są niskie, cały czas musimy dorabiać. Trudno się w ten sposób skoncentrować tylko na nauce. Po studiach wcale nie będzie lepiej. Przez wiele najbliższych lat możemy liczyć na zarobki około 30 tys. na miesiąc. Nigdzie nie widać końca tego dorabiania się. Ach, gdyby można wyjechać z tego kraju na stałe...

— A po co nam szkolenie wojskowe? Przez dwa lata siedźmy na wojsku 6 do 8 godzin. Pan od polityki opowiada dowcipy o „Czerwonym Bracie” i myśli, że nam się w ten sposób skoncentruje.

— Spróbujmy. Przyszła do nas pani redaktor i zaproponowała udział w takim „mini-okrągłym stole”. Mieli występować przedstawiciele ZSP i NZS. Zgodziliśmy się. Okazało się jednak, że nie może paść w rozmowie nazwisko Wałęsa i nazwa „Solidarność”. Zgodziliśmy się i na to. Potem okazało się, że nie wolno nam mówić o szkoleniu wojskowym. Zgodziliśmy się i na to. Ale kiedy okazało się, że nie wolno poruszać nawet tak białej sprawy jak swobodny wybór egzaminatora, wycofaliśmy się z całego interesu. Zresztą, co ja będę rozmawiał z telewizją. Co, powiem, to wytną albo przeinać. Wiadomo co można zrobić z taśmą.

— A dlaczego ty działasz w NZS?

— Jeśli się nie sprzeciwiam, to znaczy, że wyrażam zgodę na to, co ze mną robią. A ja się nie zgadzam. Tu człowiek może się zamordować. Wielki męczeński plac 30—50 tys. mieszkańców i nawet nie zdola się za to utrzymać. Położono naukę, kulturę, gospodarkę. Niemniej nie oczekuje zmian na lepsze. Tylko jeszcze bardziej wzrośnie fala emigracji.

— Czy uważasz program NZS za radykalny?

— A skąd! To sytuacja w kraju jest „radykalna”. Ośrod-

ki tzw. opozycji są umiarkowane. W sierpniu 1988 roku robotnicy wyzywali Lecha Wałęsę od zdradcy. Opozycja wcale nie kierowała majowymi i sierpniowymi strajkami, nie wywoływała ich.

Umawiam się z Andrzejem, że następnego dnia pojedziemy razem do Warszawy. Mam więc szansę być świadkiem złożenia oficjalnego wniosku o rejestrację NZS.

Pytam studentki medycyny jak oceniał swoją sytuację.

— Jest fatalna. Nie stać nas nawet na książki. Dla przykładu Biochemia Harpera kosztuje 10 000 zł, a Biochemia Strepera 20 000. Stypendia są niskie, cały czas musimy dorabiać. Trudno się w ten sposób skoncentrować tylko na nauce. Po studiach wcale nie będzie lepiej. Przez wiele najbliższych lat możemy liczyć na zarobki około 30 tys. na miesiąc. Nigdzie nie widać końca tego dorabiania się. Ach, gdyby można wyjechać z tego kraju na stałe...

— A po co nam szkolenie wojskowe? Przez dwa lata siedźmy na wojsku 6 do 8 godzin. Pan od polityki opowiada dowcipy o „Czerwonym Bracie” i myśli, że nam się w ten sposób skoncentruje.

— Spróbujmy. Przyszła do nas pani redaktor i zaproponowała udział w takim „mini-okrągłym stole”. Mieli występować przedstawiciele ZSP i NZS. Zgodziliśmy się. Okazało się jednak, że nie może paść w rozmowie nazwisko Wałęsa i nazwa „Solidarność”. Zgodziliśmy się i na to. Potem okazało się, że nie wolno nam mówić o szkoleniu wojskowym. Zgodziliśmy się i na to. Ale kiedy okazało się, że nie wolno poruszać nawet tak białej sprawy jak swobodny wybór egzaminatora, wycofaliśmy się z całego interesu. Zresztą, co ja będę rozmawiał z telewizją. Co, powiem, to wytną albo przeinać. Wiadomo co można zrobić z taśmą.

— A dlaczego ty działasz w NZS?

— Jeśli się nie sprzeciwiam, to znaczy, że wyrażam zgodę na to, co ze mną robią. A ja się nie zgadzam. Tu człowiek może się zamordować. Wielki męczeński plac 30—50 tys. mieszkańców i nawet nie zdola się za to utrzymać. Położono naukę, kulturę, gospodarkę. Niemniej nie oczekuje zmian na lepsze. Tylko jeszcze bardziej wzrośnie fala emigracji.

— Czy uważasz program NZS za radykalny?

— A skąd! To sytuacja w kraju jest „radykalna”. Ośrod-

ki tzw. opozycji są umiarkowane. W sierpniu 1988 roku robotnicy wyzywali Lecha Wałęsę od zdradcy. Opozycja wcale nie kierowała majowymi i sierpniowymi strajkami, nie wywoływała ich.

Umawiam się z Andrzejem, że następnego dnia pojedziemy razem do Warszawy. Mam więc szansę być świadkiem złożenia oficjalnego wniosku o rejestrację NZS.

Pytam studentki medycyny jak oceniał swoją sytuację.

— Jest fatalna. Nie stać nas nawet na książki. Dla przykładu Biochemia Harpera kosztuje 10 000 zł, a Biochemia Strepera 20 000. Stypendia są niskie, cały czas musimy dorabiać. Trudno się w ten sposób skoncentrować tylko na nauce. Po studiach wcale nie będzie lepiej. Przez wiele najbliższych lat możemy liczyć na zarobki około 30 tys. na miesiąc. Nigdzie nie widać końca tego dorabiania się. Ach, gdyby można wyjechać z tego kraju na stałe...

— A po co nam szkolenie wojskowe? Przez dwa lata siedźmy na wojsku 6 do 8 godzin. Pan od polityki opowiada dowcipy o „Czerwonym Bracie” i myśli, że nam się w ten sposób skoncentruje.

— Spróbujmy. Przyszła do nas pani redaktor i zaproponowała udział w takim „mini-okrągłym stole”. Mieli występować przedstawiciele ZSP i NZS. Zgodziliśmy się. Okazało się jednak, że nie może paść w rozmowie nazwisko Wałęsa i nazwa „Solidarność”. Zgodziliśmy się i na to. Potem okazało się, że nie wolno nam mówić o szkoleniu wojskowym. Zgodziliśmy się i na to. Ale kiedy okazało się, że nie wolno poruszać nawet tak białej sprawy jak swobodny wybór egzaminatora, wycofaliśmy się z całego interesu. Zresztą, co ja będę rozmawiał z telewizją. Co, powiem, to wytną albo przeinać. Wiadomo co można zrobić z taśmą.

— A dlaczego ty działasz w NZS?

— Jeśli się nie sprzeciwiam, to znaczy, że wyrażam zgodę na to, co ze mną robią. A ja się nie zgadzam. Tu człowiek może się zamordować. Wielki męczeński plac 30—50 tys. mieszkańców i nawet nie zdola się za to utrzymać. Położono naukę, kulturę, gospodarkę. Niemniej nie oczekuje zmian na lepsze. Tylko jeszcze bardziej wzrośnie fala emigracji.

— Czy uważasz program NZS za radykalny?

— A skąd! To sytuacja w kraju jest „radykalna”. Ośrod-

ki historyczne i agitacyjne, ale także pozycje z zakresu filozofii i literatury pięknej.

Przed bramą Uniwersytetu kręca się reporterzy telewizyjni z kamerą. Usiłują namawiać na wywiady przechodzących studentów. Dowiaduję się, że KKK zdecydowała się nie rozmawiać z telewizją.

— Wyrzuciliśmy ich — mówią po prostu.

Niemniej poważnie zastanawiano się, czy nie udzielić wywiadu „Teleexpressowi”. W końcu zrezygnowano.

Po dziedzińcu Uniwersytetu kręca się podekscytowane grupy studentów. Są wśród nich członkowie KKK i KKR, którzy przyjechali z całej Polski. Trwa coś, co można nazwać rozmowami kulturalnymi. Poszczególne ośrodki przedstawiają swoje stanowiska. Rozmowy przeciągają się. Po kilku godzinach pytam:

— Czy NZS nie ma żadnego szefa, który by tym pokierował?

— Nie! Mamy dość centralizmu! U nas decyduje większość głosów. Tak jest demokratycznie i sprawiedliwie. Nie potrzebujemy ludzi z chorymi ambicjami, którzy pragną władzy.

Pytam, jakie są osiągnięcia NZS w Warszawie. Okazuje się, że już ponad 400 studentów bojkotuje zajęcia wojskowe. Jest to ponad jedna czwarta zobowiązanych do odbycia tego szkolenia.

Studenti z Poznania proponują, by wysłać list z najlepszymi życzeniami do nowego ministra edukacji narodowej prof. Jacka Fisiaka. Na uzasadnienie swojej propozycji podają plotkę, że min. Fisiak uznał rejestrację NZS za niezbędną. Sprzeciwiają się studenci z Łodzi. Boją się, żeby tego listu nie odebrano jako kolejnego happeningu, których przecież NZS ma ostatnio na swoim koncie bardzo dużo.

Rozmowy kulturalne kończą się. Komisja przechodzi do sali obrad. Obrady trwają krótko. Komisja głosuje nad propozycjami ośrodków z Lublina i Katowic. Werdykt brzmi: „Nie”. Teraz najwyższy czas zebrać podpisy pod wnioskiem rejestracyjnym. Podpisują się wszyscy obecni na sali z wyjątkiem działaczy Lublina i Katowic, czyli 21 osób.

— Przecież to tylko chuligany — mówią słuchacze, których spotykamy po wyjściu z sali obrad — wkrótce i tak będziemy znowu z wami.

Jedna z katowiczanki pyta Andrzeja, jak ma się zachować, gdy zatrzyma ją milicja.

— Musisz natychmiast złożyć dominię do prokuratora — tłumaczy Andrzej, student prawa.

A teraz najważniejszy moment. Przedstawiciele NZS z całego kraju mają zanieść wniosek rejestracyjny do Urzędu Miasta Stołecznego Warszawy. Pójdzie około 40—50 osób. Oczywiście pójdzie z nimi.

Kolumna kilkudziesięciu studentów rusza w stronę Urzędu. Idziemy spokojnie, chodnikiem, zatrzymując się na czerwonych

świątłach. Podchodzimy pod Urząd, mijamy bramę. Pod samymi drzwiami zagraża nam drogę portier rozkładając ręce w geście Rejtana.

— Czy to napad? — głos mu drży.

Wszyscy się śmieją.

— Nie. Tam do środka wchodzi tylko pięć osób. Czy na pan polecenie nieupuszczenia petentów?

— Najwyżej trzy osoby — mówi portier.

Wchodzi sześć. Reszta kręci się pod budynkiem. Po prostu czeka. Odzywa się głos z megafonu.

— Proszę się rozejść! Studenci siadają na ławkach. Jest ich tak mało, że na ławkach są jeszcze wolne miejsca. Niektórzy fotografują swoich kolegów.

— Jest zakaz fotografowania — mówi głos.

Flesze gasną. Mimo to głos nalega, żeby się rozejść. Studenci opuszczają więc dziedzińiec Urzędu, wychodzą za bramę. Decydują się jednak zamieścić swoje obecność. Wyjmują flagi z toreb. Wieszają je na ogrodzeniu, od strony ulicy. Flagi, „szmaty” zostają natychmiast zdarte. Studenci podnoszą je więc i trzymają. Na transparentach napisy głoszą: „NZS UL”, „NZS Gdańsk”, „NZS Toruń”, „NZS Kraków” itd.

Pojawia się milicja: „Nysa” i „Piat”. Jeden ze studentów z Warszawy zostaje poproszony do nyski.

— Pierwszy na cztery-osiem — komentuje grupa.

Zatrzymamy idzie chętnie. Grupa bije brawo.

— Bravo milicja! — krzyczą. Po kilku minutach student wraca. Znowu oklaski. Sierżant i kapral zaczynają spisywać obecnych. Od strony Urzędu wychodzi dwóch poruczników. Jeden z poruczników podchodzi do Marka.

— Nie chce mi się z wami szarpać. Jeżeli nie zwiniecie tych szmat, to będzie szarpać.

— My czekamy tylko aż wyjdą ci, którzy poszli z wnioskiem.

Pojawia się ciężarówka ZOMO. Milicja ma już solidną przewagę liczebną nad studentami.

Ludzie omijają to miejsce ulicą. Przed pojawieniem się ZOMO niektórzy podchodzili do studentów i życzyli im pomyślnego wyniku starań o rejestrację. Teraz już nikt nie podchodzi.

— Zwinimy te „szmaty” — proponuje ktoś.

„Szmaty” zostają zwinione. ZOMO odjeżdża. Po kilku minutach wychodzi z Urzędu szóstka, która złożyła wniosek.

— Dlaczego tak długo? — pyta ci, którzy czekali na zewnątrz.

— Były braki w protokole z zebrania założycielskiego. Trzeba było poprawiać.

Z Andrzejem i Markiem musimy iść na dworzec. Wkrótce odchodzi pociąg do Łodzi.

Najlepiej byłoby ich o to zapytać. I tak uczynimy. W najbliższym czasie przedstawimy Czytelnikom ich poglądy, postulaty, oczekiwania, uwagi, zastrzeżenia. Nim się jednak tak stanie, publikujemy reportaż z wieców NZS, garść opinii na temat NZS. Jest to sucha relacja. Tak to się działo, tak się dokonało. Ale co z tego wynika?

Myślę, że nadszedł czas, aby na studentów spojrzeć inaczej, aby odrzucić miły i schematyczny i zastanowić się nad istotą zjawiska. Studenci zawsze byli niespokojni. W marcu 1968 roku ich niezadowolone i niepokój wykorzystano do celów politycznych. Dziś sami chcą osiągać fakty lub inne cele, w tym również polityczne. Czy to coś anormalnego?

Wyższe uczelnie, a przede wszystkim uniwersytety zawsze były miejscami niepokojów, ścierania się poglądów, narastania krytycyzmu w stosunku do zastanej rzeczywistości. Bierze się to z wielu przyczyn. Po pierwsze i przede wszystkim — bierze się to z tego, że młodzi niepokoją się o swoją przyszłość, która nie jawi im się jako „świetlana”. Przeciwnie — nasze życie jest trudne i nie nie wskazuje na to, aby w krótkim czasie miało się stać łatwiejsze. Nie musimy chyba powtarzać tego, na czym to polega, bo wszyscy dobrze znamy rzeczywistość. Powiem tylko, że przyszłość bez możliwości otrzymania szybkiego własnego mieszkania nikt nie może napawać optymizmem. A możliwości zarabiania w wybranym i wyuczonym zawodzie? Iu z tego zawodu rezygnuje, aby szybko móc się dorobić? Trudno młodym dziwić się, że są niezadowoleni z tego, co ich otacza, bo nie widzą w tym nadziei na lepszą przyszłość. Takie niezadowolenie może być znakomitą pożywką dla różnych idei i poglądów.

Wyższe uczelnie są terenem, na który ustawowo nie może wkraczać służba porządkowa bez zgody rektora. Teren ten jest więc dogodny dla szerzenia wszelakich idei. I tak dzieje się w wielu krajach, nie dziwiąc nikogo, ani nie niepokojąc. Dla nas jednak jest to coś

nowego, co objawiało się teraz, narasta i jako nowość zaskakująca — niepokoi.

Dawno już odrzuciliśmy mit jedności polityczno-moralnej społeczeństwa i uznaliśmy, że jego świadomości jest mocno zróżnicowana, co też jest naturalne. Próbuemy teraz uporać się z pluralizmem, co nam łatwo nie przychodzi. Rodzi się na naszych oczach coś nowego, kształtu czego nawet się nie domyślamy. Takie zjawiska nie mogą być obce młodzieży nie tylko studenckiej. Na naszą świadomość społeczną składają się poglądy zarówno wiążące się z marksizmem, jak też prezentujące wulgarny marksizm, bardzo uproszczony, czy wręcz dogmatyczny, poglądy związane z religią katolicką, wyrastające na gruncie społecznej nauki Kościoła, poglądy zbliżone do chrześcijańskiej demokracji, ale też narodowodemokratyczne czy wręcz nacjonalistyczne. Czyż nie muszą one znajdować odbicia wśród młodzieży?

Warto zatem zapytać, czy lepiej jest, gdy te poglądy drażnią świadomość społeczną nie ujawniane, czy lepiej jest, gdy się ujawniają i przez to mogą oraz powinny wywoływać polemiki. Trudno byłoby mi na przykład zgodzić się z niektórymi poglądami nacjonalistycznymi. Nie mogłbym takich poglądów w żadnym wypadku zaakceptować. Ale to nie znaczy, że one nie istnieją.

Słyszałem niedawno w I programie Polskiego Radia wywiad udzielony przez prorektora Uniwersytetu Warszawskiego — przepraszam, że nie zapamiętałem nazwiska. Otóż prorektor zaskoczył mnie poglądem, że nie jest to już czas na wielkie organizacje młodzieżowe, które swoim oddziaływaniem czy zasięgiem obejmowałyby całą młodzież. Przyznaje, że tak o organizacjach młodzieżowych nie myślałem. Przyznaje, że miałem wiele uwag i pretensji do ZSMP, do ZSP, do ZMW właśnie za to, że ich nie widział, że nie potrafił podjąć takich działań, które zainteresowałyby młodzież.

W latach siedemdziesiątych wyrządzono organizacjom młodzieżowym wielką krzywdę. Miałe one być tłem dla wielkich widowisk poli-

tycznych. Młodzież mamy piękną — szczególnie dziewczęta — dorodną, wcale — jak na kryzys — nieźle odżywioną. Jak się wszystkich ładnie i jednako ubierze, posadzi na widowni wielkiej hali lub na stadionie i każe się im klasnąć i skandować różne hasła, to jest to rzeczywiście ładne. Tylko po co to? Zrzeszenie Studentów Polskich do dziś nie może się podnieść po „przeobrażeniach” z lat siedemdziesiątych. Myślę, że ZSMP podobnie. I być może dlatego młodzież szuka wyzicia się w grupach nieformalnych, gdzie łatwiej ich zainteresowania, cele, marzenia i co tam jeszcze. A co może łączyć młodych w wszechogarniającym związku młodzieży, skoro wiadomo, że dzielą ich poglądy?

Prorektor UW odniósł się jeszcze do dwóch zagadnień. Po pierwsze — zwrócił uwagę, że niechęć do uczenia się języka rosyjskiego wynika nie z politycznych pobudek, ale z pewnych zmian, jakie zachodzą w naszym życiu. Języka tego uczy się każdy uczeń przez 7 lat. Jeśli się przez te 7 lat nie nauczył, to i przez 2 następne się nie nauczy. Poza tym nie każdemu specjalnie znajomość rosyjskiego jest aż tak potrzebna. Na przykład socjologom, chemikom i fizykom bardziej potrzebny jest język angielski. Pewnie, że jest dobrze kiedy ktoś zna kilka języków obcych, w tym i rosyjski.

Po drugie — sędziem prorektora UW — na świecie modne dziś są poglądy pacyfistyczne i dotarły one również do Polski i są popularne w różnych kręgach młodzieży. Przez ten czas programy studiów wojskowych mało się zmieniły. Trzeba więc spokojnie podesść do zadań młodzieży i zastan

1.

Decyzja o likwidacji Stoczni Gdańskiej wywołała w Trójmieście społeczny wstrząs. Tak naprawdę, nikt się jej tutaj na serio nie spodziewał. Na pytanie o pierwsze reakcje po ogłoszeniu tej wiadomości, powtarzają się słowa: zaskoczenie, szok. Groźba, którą rozważano w kręgach kierownictwa stoczni jako li tylko mało prawdopodobną ewentualność, stała się nagle własnością ogółu. Nie tylko załogi, bo stocznia obchodzi w Gdańsku prawie wszystkich. Dla jednych jest kolebką i symbolem „Solidarności”, dla innych — świadectwem trwałego dorobku powojennych dziesięcioleci. Są też i tacy, a jest ich wcale niemało, którzy mówienie dziś o stoczni w czasie przeszłym uważają za defetyzm.

HENRYK KOŚCIELSKI, od 2 lat przewodniczący Związku Zawodowego Pracowników Stoczni Gdańskiej, nie uważa się wcale za defetystę, tylko za realiste. Nie wierzy, że postanowienie o likwidacji zostanie kiedykolwiek odwołane, chociaż — nie ukrywa tego — całym sercem jest mu przeciwny.

— Byłem zaskokowany. Z góry przyjąłem, że była to decyzja polityczna, a nie ekonomiczna. Skoro już jednak

tawione są kursy: złotówki względem dolara i względem rubla, a także rubla w stosunku do dolara. Taka trójwalutowość wynika oczywiście z kierunków eksportu. Zachód płaci w dolarach, ZSRR w rublach, stocznia dostaje w efekcie złotówki. Najważniejszy z tej trójcy jest dolar, gdyż stanowi on walutę tzw. ceny bazowej, od której rozpoczyna się negocjacje z partnerem na Zachodzie, jak i na Wschodzie.

Na okoliczność „ustawienia” kursów walutowych podaje się odwołującym się do stoczni takie oto wyliczenie: za statek, wart na Zachodzie 10 mln dolarów, producent otrzymuje (w przeliczeniu po kursie 453 zł za dolara) około 4,5 mld zł — ponad 3 razy więcej, niż za ten sam statek, sprzedany do I obszaru płatniczego (bo 205 zł daje 1 rubel, który jest równy 0,68 dolara). Komentarz do tego wyliczenia zależy od stanowiska służbowego, zajmowanego przez komentującą osobę ze stoczni. Im jest ono wyższe, tym komentarz bardziej oszczędny i ostrożny.

Zatrzymajmy się teraz na chwilę przy kredytach. Stocznia, jako się rzekło, zależy całkowicie od banku, który finansuje znaczne (z powodu długich cykli budowy) zapasy materiały. Bank nauczył się wszak-

żyło, że w pierwszym kwartale 1988 r. nie zwodowano ani jednego statku, w drugim — tylko jeden, a wszystkie pozostałe kończące się w ostatnich miesiącach.

Złożyło się więc bardzo nie-dobrze, bo w połowie roku, w czerwcu, wiadomo już było o rządowych „przymiarkach” do likwidacji stoczni. Nie mówilo się o nich głośno. O wiele głośniejsze mówilo się za to o planie restrukturyzacji stoczni, co miało polegać m.in. na zmniejszeniu jej potencjału budowy statków, rozwijaniu produkcji pozastatkowej, tworzeniu spółek kapitałowych, dzierżawieniu hal, sprzętu itp. Prace w tym kierunku wnet się rozpoczęły i w ostatnich tygodniach były już solidnie zaawansowane. Im bardziej były zaawansowane, tym mniej obawiano się ewentualności decyzji likwidacyjnej.

3.

WOJCIECH FILC, szef Wydziału Organizacji, przepracował w stoczni 12 lat, w tym 5 lat na wydziale K-2. Jest przekonany, że w stoczni zrobiono ostatnio wiele, aby pozbyć się deficytu. Najpierw utworzono spółkę „Fast”, zorganizowaną przed 2 miesiącami na bazie wydziału stolarsko-konserwacyjnego, której udziałowcami są przedsiębiorstwa regionu oraz osoby prywatne. W następnej kolejności powstały spółki „Kuznia Gdańska” i „Odlewnia Gdańska” — także na bazie odpowiednich wydziałów stoczni, „Ship-kom” — spółka międzyzłotocińska, zajmująca się obliczeniami konstrukcyjnymi, i wreszcie planuje się powołanie następnych spółek. Na konkretne wyniki tych przedsięwzięć jest za wcześnie, ale...

— Wniosek nasuwa się oczywisty: zaczęliśmy sami to wszystko, co przedstawia się nam teraz do realizacji w ramach działań likwidacyjnych.

Przewodniczący stoczniowej organizacji związkowej, do której należą ponad 4 tys. pracowników SG (na 10300 zatrudnionych), posuwa się w tych rozważaniach jeszcze dalej:

— Byliśmy na najlepszej drodze, żeby wyjść z dolka.

Podobnie uważa wiele osób w stoczni. Również inżynier ALOJZY SZABLEWSKI, stojący na czele zakładowej, nielegalnej „Solidarności”, któremu przewodniczący Kościelski zarzuca na przykład to, że nie dotrzymał ostatniego zobowiązania:

— Prosiłem go o to, i obiecał mi w rozmowie, że w czasie wizyty pani Thatcher jego ludzie nie wyjdą na ploty stoczni, choćby ze względu na bezpieczeństwo pani premier. No, i jak było?

Jak było — trudno opisać komuś, kto nie obserwował wizyty pani Thatcher w stoczni. Za to „Głos Wybrzeża” opisał, jak to transparenty pojawiły się w tłumie wokół Pomnika Stoczniovcw, tuż przy głównym wejściu do stoczni. Obok podziękowań za „ujarzmienie Skargilla”, znalazł się miłanowicie transparent dotyczący stoczni: „Pani Thatcher! Nie pozwól likwidować Stoczni im. Lenina!”. Cokolwiek by na to nie powiedziano, był on niewątpliwie sprzeczny z innym, skandowanym niedawno w Gdańsku hasłem: „Stocznia — nasza, Lenin — wasz”.

Hasło to można było usłyszeć w czasie wiecu, zorganizowanego w niedzielę, 6 listopada 1988, na placu przy kościele św. Brygidy w Gdańsku. Placik, a raczej obszerny zaułek pomiędzy murami odbudowanego z ruin gotyckiego kościoła z plebania księdza Janowskiego, zapelniony był, głowa przy głowie, tłumem dorosłych i młodzieży, z lekką przewagą tej ostatniej. Gdy przemawiał Alojzy Szablewski, okazywały się skandowania hasła nie brakowało. Ponieważ zaś zabrano się do uczczenia 70-lecia niepodległości Polski, inżynier Szablewski powrócił w swym przemówieniu do lat dzieciństwa, oświadczając, iż młodzież dzisiejsza ma mu czego zazdrościć, bo on przez 14 lat żył w wolnym i coraz szczęśliwszym kraju, zdążył więc zapamiętać na całe życie smak wolności. Młodzież, nie wiedząc czemu, przyjęła to oświadczenie z aplauzem.

Następnie przemawiał LECH WAŁĘSA. Kilkakrotnie powtórzył na wstępie, że nie jest żadnym „zajacem”, jak mówią niektórzy spośród bojowej młodzieży. Oprócz bohaterstwa, jest jeszcze odpowiedzialność, i on, Lechu, wie dobrze, że nie wystarczy wykrzykiwanie hasła na wiecach. Rzeczywiście, mniej było w czasie jego przemowy okrzyków, za to słuchano uważniej. Laureat pokojowej Nagrody Nobla nie krył, iż

jest „przyciskany”, i to — jak się wyraził — ze wszystkich stron. Po decyzji o likwidacji Stoczni Gdańskiej jest „przyciskany” jeszcze bardziej, że ledwie sił mu staje. Nie będzie na razie rozmawiać z rządem, bo co to za partner, który „odbiera mu chleb”. Ma jednak własny plan: w najbliższy wtorek odbędzie się w stoczni wiec, na którym ogłosi przygotowanie do pogotowia strajkowego w całej Polsce. Jeżeli za tydzień, w następny wtorek, decyzja nie zostanie odwołana, wówczas „pogotowie” stanie się faktem.

Niedzielny wiec zakończył się wezwaniem księdza Jankowskiego, aby rozejść się do domów w spokoju, nie dając powodów do milicyjnej interwencji. Wezwania posłuchano.

4.

Następnego dnia, w poniedziałek, w stoczni nie wyczuwano się specjalnego napięcia. Dzwigi-kolosy bezszelestnie przesuwali się po szynach, w halach zgryztały obrabiarki, huczały samochody wyładowane blachą, nie widać było nigdzie zbierających się gromad. W biurówce stoczni Wojciech Filc otrzymał był właśnie komunikat z dyrekcji. Spręczył w nim po raz pierwszy termin zakończenia okresu likwidacyjnego — do 31 grudnia 1990 roku. Stocznia ma więc dwa lata czasu na dokończenie budowy 21 statków, już zamówionych.

Komunikat przyniósł też wiadomość o likwidacji punktu informacyjnego pośrednictwa pracy. Urzędniczki z Wydziału Zatrudnienia Urzędu Miasta wyprowadziły się ze stoczni.

— Sporo ludzi przyszło tam drugiego dnia po otwarciu, a-kurat wtedy, gdy przyjechała telewizja — komentuje kierownik Filc. — Potem chętnych prawie już nie było.

Jeden ze stoczniovcw (nie chciał się przedstawić), który szukał dla siebie pracy, i znalazł nawet dwie ciekawe oferty, usłyszał w dziale kadr, że jeśli pragnie się zwolnić, musi po prostu napisać podanie o zwolnienie — na własną prośbę. Postanowił nie zatrząskiwac za sobą furtki.

Związek Zawodowy Pracowników Stoczni Gdańskiej przygotował dokument, zawierający 20 „murtujących założeń pytań”. Oto kilka, początkowych: 1. co będzie z kobietami w ciąży, na urlopiach macierzyńskich, urlopiach wychowawczych? 2. w jaki sposób gwarantuje się pracę osobom przebywającym na urlopiach bezpłatnych i kontraktach? 3. kto i w jaki sposób zabezpieczy pracę pracowników przebywających na rentach okresowych i rehabilitacyjnych? 4. kto przejmie funkcję opiekunką i socjalną nad grupą ok. 7 tys. emerytów i rencistów?

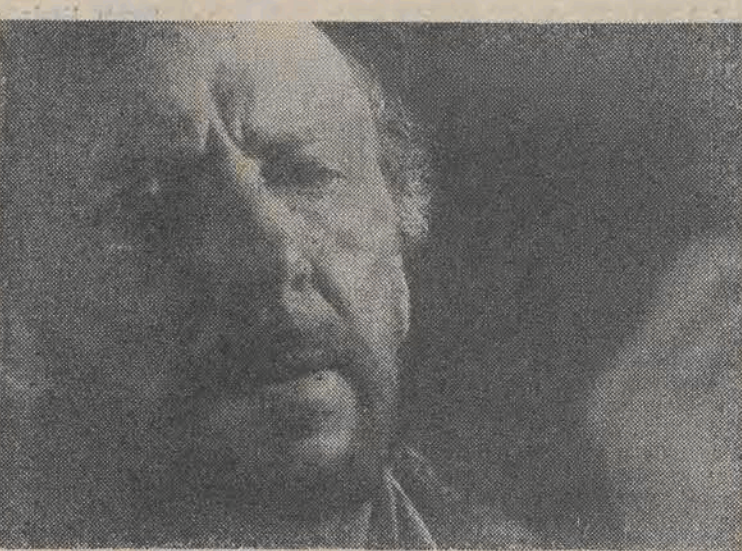
Dokument przesłany został pod adresem Ministerstwa Pracy i Polityki Społecznej, ministra Wilkiza, OPZZ. Zawarte w nim pytania pozostają na razie bez odpowiedzi. Zdaniem Henryka Kościelskiego, odpowiedź powinna być jednoznaczna:

— Dla stoczni nie może o-bowiązywać aktualny Kodeks Pracy.

Ostateczna wielkość zatrudnienia określi się po spręczywaniu, co właściwie powstanie na miejscu stoczni. Prawdopodobnie będzie musiało odejść 3-4 tys. osób.

5.

We wtorek rano, kilkanaście minut przed 9 przy wejściu do Stoczni kłębi się tłumek korespondentów zagranicznych i ekip telewizyjnych. Długie oczekiwanie, gest wystawionej na zakręcie „czujki” i „jest! czerwona taksówka marki „Skoda” zbliża się szybko na zapalonych światłach. Pasażer Lech Wałęsa wysiada, otaczają go wianuszkami dziennikarzy, idzie z nimi aż do wejścia, szepcząc po drodze do mikrofonu. Potem widać jego kraciastą kurtkę, jak wędruje w stronę zbierającej się przed dyrekcją gromady. Portierzy odganiają kamerzystów od plotu. Nie wolno filmować. Zaraz rozpocznie się wiec.



Mówi: KRZYSZTOF CHAMIEC

— Zdał pan egzamin eksternistyczny ze sztuki aktorskiej w Krakowie w 1953 r. Dlaczego nie dokończył pan nauki w warszawskiej szkole teatralnej?

— Opuściłem szkołę teatralną niemal z „wilczym biletem”, za niewłaściwą postawą społeczną.

— Co to znaczy?

— Jak na owe czasy, miałem niewłaściwe pochodzenie społeczne.

— Zadebiutował pan w filmie Wojciecha Hasy pt. „Złoto”, później posypało się wiele propozycji. Która z ról filmowych przyniosła panu największą satysfakcję?

— Żadna. Żadnej roli filmowej nie wspominam dobrze. Chociaż przeszedłem — był taki film Andrzeja Kondrakiuka „Gwiezdny pył”. Właśnie rola z tego filmu sprawiła mi wiele osobistej frajdy.

— Skoro filmy tak mało dostarczyły panu radości, to dlaczego nie odmawiał pan przyjęcia kolejnych zadań?

— Nie odmawiałem ze względów finansowych. Do tej pory przeczytałem może dwa scenariusze filmów, w których chciałem zagrać ze względów artystycznych. To były właśnie: „Gwiezdny pył” i „Pierwszy dzień wolności” Aleksandra Forda. Bywało, że scenariusz był interesujący, film zaś kalekim dzieckiem. Mam na myśli „Kamienne tablice”. Przecież książka Wojciecha Żukrowskiego jest świetna. I co z tego?

— Czy ma pan wymarzone role?

— Nie. W teatrze poza Hamletem grałem w zasadzie wszystkich.

— To znaczy, że teatr dostarcza panu więcej satysfakcji z wykonywanego zawodu?

— Tak... niewątpliwie. W teatrze miałem na ogół same sukcesy, a więc odwrotnie niż w filmie. Przyzwyczaiłem się do tego, że gram przyzwicie, że publiczność przychodzi na mnie do teatru i wcale nie popadam w euforię, jeżeli krytycy dobrze napiszą o mnie w gazecie.

— Zatem ma pan poczucie sukcesu zawodowego?

— Tak, na pewno tak.

— Sukces dla aktora na czym polega?

— Na tym, że gdy wraca do domu po przedstawieniu może spokojnie zjeść dobrą kolację i nie musi wypić ćwiartki wódki ze zmartwienia, że jest złym aktorem. Odkąd sięgnę pamięcią kolację zjadam z apetytem.

— Czy ma pan receptę na sukces?

— Nie wiem, czy to jest recepta, ale wiem, że aktor musi wyrobić w sobie przekonanie, że jest najlepszy na scenie. Inaczej nie ma po co na nią wychodzić. Pokora skazuje go na niepowodzenie. Chociaż znam przypadki wybitnych aktorów, którzy karierę swoją zawdzięczają zewnętrznym warunkom, które u widza budziły litość. On był taki nieszczyśny, taki cierpiący i do tego brzydki, że ludzie w końcu go pokochali.

— Czy aktorstwo — to zmaganie się z własnymi słabościami?

— W moim przypadku tak było. Mając 20, 22 lata byłem bardzo niesmiały. Wystarczyło, że ktoś bardziej wnikliwie na mnie spojrzał, a robiłem się czerwony jak piwonja. Polównie przeżywałem tremę. Zawałaniem premieri. Nie mogłem zważyć. W końcu zaczęto zarzucać mi cynizm, nonszalanję, ale to metamorfozę wypracowałem w pocie czoła.

— Stąd u pana tak wiele dystansu do kreowanych przez siebie bohaterów?

— To zależy od gatunku roli, poprzez którą wypowiadam się. Trudno utożsamiać się z Higginsem z „Pigmalią” Bernarda Shawa. Natomiast w monodramie — tam już się placze swoimi łzami, tam o dystansie do roli nie może być mowy. W monodramie człowiek sprzedaje serce i duszę.

— Jaki pan jest prywatnie, przy założeniu, że ludzie odpowiadają szczerze tylko na tyle, na ile sami tego chcą?

— Wszystkie cechy dobre i złe mam starannie wymieszane. Na ogół odbierany jestem jako ponurak. Być może nie potrafię być duszą towarzysystą, ale w zamian potrafię słuchać innych i odbierać rzeczy dowcipne, stąd bierze się mój pociąg do komedii. Poza tym jestem sentymentalny, romantyczny. W kinie na niektórych filmach ryczę jak bóbr. Bardzo się wstydzę tej słabości.

— Czym jest dla pana aktorstwo?

— Koniecznością...

— Przecież jest tyle innych zawodów?

— U schyłku życia zmieniać zawód? To już byłaby przesada.

— Mógł pan podjąć te decyzje wcześniej, skoro pan tego nie uczynił, to co takiego fascynującego jest w aktorstwie?

— Rywalizacja... Na scenie toczy się walka o to, kto się będzie bardziej podobał publiczności. Jeżeli ta rywalizacja będzie prowadzona w sposób szlachetny i czysty zawodowo, to już samo w sobie, to zmaganie staje się sztuką, nawet poza fabułą prezentowaną na deskach. I to jest bardzo ciekawe: jak rozmaici ludzie walczą o tę palmę pierwszeństwa.

— Zaczął pan sam reżyserować sztuki, czyby aktorstwo panu nie wystarczało?

— Reżyserowanie związane jest z wiekiem. Mam świadomość, że nie jestem odkrywczy w tym stwierdzeniu. Wielu moich kolegów mówiło już to samo, ale powtórzę za nimi: przychodzi taki okres w życiu aktora, kiedy następuje potrzeba podzielenia się tym, czego się człowiek nauczył. Będę kontynuował to zajęcie. Przekonałem się, że aktorzy chętnie współpracują ze mną i korzystają na tym.

— Czy łatwo jest reżyserować i grać w tym samym przedstawieniu?

— W moim bogatym doświadczeniu zauważyłem, że jestem jedynym reżyserem, który nie przeszkadza aktorowi. Ja dokładnie wiem, jak mam grać... Nie ma nic gorszego niż uparty i zły reżyser.

— Ciągłe pan podkreśla swój dojrzały wiek. Czy lęka się pan starości?

— Uporałem się już z tym problemem, ale 10 lat temu odczuwałem stany lękowe. Dla mężczyzny bardzo niebezpieczny jest wiek przejściowy między wiekiem dojrzałym a starością. Jeżeli ktoś się temu podda, to już koniec. Staram się tak układać swoje życie, żeby być na właściwym miejscu. Pomaga mi w tym maksyma życiowa, którą zapożyczyłem z „Maskarady” Jarosława Iwaszkiewicza: „Trzeba żyć tak, jakby się miało żyć wiecznie”. Otaczam się młodymi przyjaciółmi. Ludzie z mojego rocznika na ogół są starcami, z którymi nie mam wspólnego języka.

Rozmawiała: IWONA NIEMIEC-ADAMSKA

GDĄŃSK: W stoczni uważają, że jest to decyzja polityczna.

Klamka zapadła

ANDRZEJ GĘBAROWSKI

Klamka zapadła, trzeba — powiada — skupić się teraz nad tym, co realne, czyli możliwe do osiągnięcia. Realne są dwa cele główne:

— Musimy obronić pracowników. Nie mogą na tej „przeziadce” stracić. Są to ludzie bardzo ciężkiej pracy, za finanse stoczni nie oni odpowiadają, dlaczego mają cierpieć za nie swoje winy? Musimy też walczyć o to, by nie zmarnować ogromnego majątku przedsiębiorstwa, maszyn, hal i urządzeń, które są warte miliardy.

2.

Przewodniczący Kościelski pracuje w stoczni od 37 lat. Jest niewysoki, drobny, trzyma się prosto, gestykuluje. Zaczynał od młodszego konstruktora, awansował po szczeblach kariery do starszego projektanta. Pamięta czasy prosperity z lat 60, dobre początki minioniej dekady i lata późniejsze, stopniowo coraz gorsze, z coraz chudszy portfelem zamówień. Nigdy jednak nie myślał, że do-czeka czasów, gdy stocznia będzie likwidowana. Na sama myśl o tym nie potrafi ukryć emocji. Opowiada nerwowo, w jaką sieć finansowych powiązań i zależności wpłata jest stocznia, oraz — na przemian — wygłasza tyrały przeciwko dziennikarzom, którzy informują nie tak, i nie o tym, o czym powinni. Gdyby zechcieli, tematy by się na pewno znalazły: na przykład spór zbiorowy, jaki związek wytoczył nie tak dawno rządowi premiera Zbigniewa Messnera. Spór dotyczył warunków finansowania stoczni. W tym właśnie — podkreśla przewodniczący — w tych niezaleźnych od stoczni warunkach należy szukać przyczyn deficytu.

Budowa dużego statku jest inwestycja, która wymaga od roku do kilku lat pracy i od kilku do kilkunastu miliardów złotych. W przeciwieństwie do prac przy wznoszeniu np. obiektów przemysłowych, stocznia nie otrzymuje funduszy w miarę postępów budowy. Zapłata wpływa dopiero po zwodowaniu statku. Do stoczniowej kasy nie trafiają również dewizowe zaliczki, płacone na porządek budowy przez zachodnich kontrahentów. U bogie w dolarach państwo wyciąga po nie od razu rękę, a stocznia — powtarza — otrzymuje całą zapłatę po zwodowaniu, w złotychkach, przeliczonych po oficjalnym kursie.

Jak z powyższego wynika, kondycja finansowa stoczni zależy w istocie mierze od tego, na jakich warunkach przyznawane są kredyty bankowe (bo z czego, jeśli nie z kredytów finansować budowę statków skoro stocznia posiada tylko niewielkie fundusze własne?) oraz od tego, na ile korzystnie i realnie (w stosunku do kosztów wytwarzania) „us-

ze ostrożność w pożyczaniu, którą nazywa „trudnym pieniądzem”. W stoczni nazywają to skapstwem dowodząc, że NBP kredytyje ich zapasy na poziomie średnich zapasów z roku 1983. Nie uwzględnia więc zupełnie ponad 4-krotność (w latach 1983-87) wzrostu cen zaopatrzeniowych. Stąd już proste wnioski: nastąpiła — zwłaszcza w ostatnich latach — skokowa obniżka wysokości przyznawanego przez bank kredytu, co gwałtownie powiększyło trudności płatnicze stoczni.

Nakreślone jedynie grubą kreską warunki finansowania przedsiębiorstwa nie wyczerpują jego kłopotów, bo — jak zapewne czytelnik zauważył — nie powiedziano tu jeszcze wcale o spadku światłotych cen na statki, o światłowej dekonstrukturze, która sprawiła, że obecnie wykorzystane jest zaledwie 60 procent potencjału Stoczni Gdańskiej. O tym wszystkim wiadomo w Trójmieście dobrze, lecz nie porusza się tego właśnie problemu najgłośniej, traktując go za oczywiste tło dla spraw, dziejących się jakby bliżej, a przez to bardziej bolesnych, tym bardziej, że od nich można by się uwolnić, a od światłowej dekonstrukcji — na razie nie. Tak przynajmniej uważa przewodniczący Henryk Kościelski, który ze spraw bliższych, wybijających się z tła, wymienia również nieudaną transakcję z promami dla armatora szwedzkiego.

Jest to — podnoszony również często, jak kwestia przeliczeń dewizowych — dowód na potwierdzenie wysuwanej przez stoczniovcw tezy, iż za kiepski stan finansów odpowiada nie wyłącznie stocznia, lecz także, a może nawet głównie, decydenci z wyższego szczebla, ustalający zasady polityki finansowej dla przemysłu okretowego, narzucający przy tym do realizacji niekompetentne decyzje.

Skandal z promami rozpoczął się w 1979 r., gdy władze resortowe zmusiły stoczniovcw wpiąć do wyposażenia, a wreszcie do zbudowania od podstaw dwóch jednostek promowych, które ze względu na skomplikowaną konstrukcję i krótkie terminy nie rokowały powodzenia w realizacji. Mówiąc bez ogródek, podejrzewano od razu dość kiepski interes. Okazał się fatalny. Pierwszy prom oddano do użytku dopiero w minionym roku, z paroletnim opóźnieniem. Drugiego po zerwaniu przez armatora kontraktu wcale nie zwodowano, pozostawiając kadłub, który do dziś straszy w stoczni. Łączne straty wynikające z zaniechania produkcji drugiego promu sięgnęły kwoty 2,3 mld zł.

Miliardy te pogorszyły znacznie i tak już trudną sytuację stoczni. W potowie obecnego roku była ona wyjątkowo niekorzystna. Tak się bowiem zło-

Teatralna ballada

Elektryk John z teatrem w Filadelfii przyjaźnił się, jak człowiek z własnym cieniem. Pracował tam. Był bogiem oświecenia, lecz bardzo chciał aktorem zostać wielkim. Przez całe życie do jednej roli zagrzewał myśli rozmarzonych westchnień: Hamleta zagrać na scenicznych deskach, lecz nikt mu tego nigdy nie zezwolił. I skończył John. Przekazał w testamentie, jak bukiet kwiatów swoją czaszkę scenie. Aktorskie nie spełniło się marzenie, lecz zdradził w monologu gestem księcia. Być albo nie być. Oto jest powiastka. Na sali teatralnej w Filadelfii on jako Vorick teraz brawa dzieli z Hamletem rozziarnionym po połowie.

Zaduszki bluesowe

Wszystkich, którzy „czują bluesa” Łódzki Dom Kultury zaprosił 9 listopada na „Zaduszki bluesowe” do własnej, trochę dusznej, bo pozbawionej okien i klimatyzacji, Sali Kolumnowej. Fanów przyszło sporo, a że wielu od razu zapaliło sobie w sali papieroska (robili to potem w czasie występu także muzycy), atmosfera zapanowała rzeczywicie niepowtarzalna. Spowodowała ona, iż niektórzy spośród słuchaczy za najodpowiedniejszy strój uznali szybko podkoszulki. A przecież sama muzyka nie od razu rozgrzewała.

Pabianiczanie Zbigniew Niedzielski miał — jak to sam określił — „jeden ze swoich debiutów” w grze na gitarze nie elektrycznej, lecz akustycznej, na której sobie akompaniował. Głos tego „bluesboya” jest dość wysoki, o barwie niezbyt ekspresyjnej. W próbkach wokalnego improwizowania (po podaniu bluesowego tematu) nie dostrzegano się inwencji. Śpiew był monotony na skutek powtarzania tych samych zwrotów melodycznych i niemal obsesyjnego eksponowania I i V stopnia skali.

Grupa „Trans” ze Zduńskiej Woli (3 gitary, perkusja i prawie niesłyszalne, na skutek niesfaworyzowanego nagłośnienia, vocal i fortepian) to zespół początkujący, dysponujący niewielkimi jeszcze umiejętnościami. Lubuje się w długich sekwencjach opartych na jednym akordzie, co nie ma wiele wspólnego z bluesową formą. Nie potrafi też „ujarzmiać” elektrycznego sprzętu, wykazującą się ciąglą tendencją do sprzężeń i gwizdów.

Interesująco natomiast wypadła „Nočna Zmiana Bluesa” z Torunia. Gra tegoż kwartetu (amplifikowane skrzypce, kontrabas, gitara i harmonijka ustna) jest sprawna, urozmaicona i dynamiczna. Filarem zespołu wydaje się śpiewający i stylowo swingujący na nastrojonej na blue notes harmonijce — Sławomir Wierchowski. Obok starych bluesów chicagowskich „Nočna Zmiana” zaprezentowała piosenki i ballady (np. liryczna „Georgia On My Mind” Carmichaela).

Na zakończenie wystąpiła młodzieżka, krakowska formacja „Dekiel” (2 saksofony, trąbka, puzon, harmonijka, syntezator, gitary, perkusja). Ową ansambl wzoruje się trochę na „Young Power”, ale do własnego stylu na razie nie doszedł. W traktowanej elastycznie obsadzie instrumentalnej oscyluje w swych produkcjach pomiędzy swoobodnymi pod względem formy utworami rockowymi a jazzowymi. Typowych bluesów było jednak jak na lekarstwo.

W ogóle, dobrego blues-feelingu czuło się, jak na taką imprezę, trochę za mało.

JANUSZ JANYST

JAK TAK DAŁEJ BĘDĄ
EMIGROWAĆ, TO NIE
BĘDEMY MIELI KIM
RZĄDZIĆ



Rys. Sławomir Luczyński

Poezja Kazimierza Śladowskiego rodzi się z zachwytu nad Naturą. Poeta nieustannie łowi w otaczającym świecie jej pogłosy i odgłosy. Dostrzega w każdej cząstce rzeczywistości jej niezbywalne piętno. Na wzór Natury dąży też do harmonii, pragnie oddać w słowach uczucie pełni i radości, jakie rodzi się w nim w momentach zespoleń ze światem zwierząt, roślin, owadów i dalekich przestrzeni. Śladowski jest niezwykle wyczulony na zmysłowe powaby

Pokora

Natury — zdumiewa go chropowatość kory i tajemniczość cienia, pragnie zgłębić tajniki ludzkiego płodu, który jeszcze nie jest w pełni człowiekiem, a już wyzwolił miłość, wreszcie fascynuje się zjawiskiem ciszy i grozy błękitu. Poeta sytuuje Naturę jakby na dwóch poziomach swoich wierszy. Stają się one teatrum Natury poszarpanej, groźnej i często tragicznej, ale też i płaszczyzna metafizyczna pełna jest naturalnych odniesień. Właśnie odniesień, gdyż autor zdaje się wszystko o czym mówi do doskonałości naturalnego świata odnosić. Poezja, jaka rodzi się w miejscu przecięcia tych dwu struktur, jakby pomiędzy narracją a metaforą, ma wiele subtelnej piękna, może oczarować i wzruszać. Bo jest to liryczna głębią wewnętrzną przemian, głębokich

wyborów moralnych — twórcą jakby konstruuje w wierszach swoje życie, poprzez odzwierciedlanie świata pragnie najpełniej zrozumieć i stworzyć samego siebie. Pragnie naśladować piękno i ostentacyjny kształt każdej naturalnej rzeczy, a przy tym nie zatracić swojej osobowości, swej innej-wrażliwości. Poezja staje się zatem czymś na kształt mszy, gdzie poeta jest głównym celebransem, tym, co zaklina i ma odwagę prosić: Już dwie sygnaturki trzepoczą na

ludzkiej egzystencji, podają wąską ścieżkę do lasu rozmawiać z samym sobą i wsłuchiwać się w dźwięki muzyki: „Las się zaczyna akordeonem / A każdy klawisz fruwą w galeziach / Zielone palce zielone dłonie / I zarzys srebrnego kołnierza / Jest jeszcze szal powiewający / I coś w rodzaju czapki — kokyski / A niżej buty złote jak słońce / A w środku szyszakowe guziki”.

Wiersze Śladowskiego wiele mają z ducha ludowej piosenki, ale nie tej rubasznej, dowcipnej, raczej przypominają smutne, wieczorne pieśni pasteryz nawołujących się i dodających sobie otuchy na poloninach. Ta poezja rzeczywistą krzepką dodaje sił, mimo wszystkich przeciwności potwierdza głęboki sens istnienia, sens zjednoczenia z naturą, z kosmosem każdym drzewem i owadem. Tutaj nawet śmierć ma inne znaczenie, jakby staje się końcowym akordem symfonii połączenia. Ale nie powinno to dziwić, wszak w myśli regul jakimś kieruje się poeta. Śmierć jest naturalnie wkomponowana w całość dzieła stworzenia i obecna jest w każdej chwili istnienia. Nie powinna zatem przerażać. Poezja Kazimierza Śladowskiego, tak pełna pokory, wiary i dobroci jest świadectwem mądrego i spełnionego życia... Kazimierz Śladowski, W starej bramie, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa, 1987, s. 91, zł 150.

DARIUSZ TOMASZ LEBIODA

cofnięto zezwolenie na praktykę, nabył to przeważnie z powodu zwyczajnej aplikowania swoim pacjentom zastrzyków z mieszaniną amfidaminy. W związku z tym autorzy utrzymują, że nie można wykluczyć, iż niezwykle energia prezydenta, zwłaszcza w czasie wiedeńskiego spotkania z Nikitą Chruszczowem w 1961 r. pochodziła nie tylko z naturalnych zasobów organizmu prezydenta.

Innymi zgłota obszarami, lecz także oglądanymi jak gdyby za parawan, zajęli się dwaj autorzy w RFN — H. Hammer i I. Wahle-Homann. Postawili sobie za cel dowiedzenie się, jak bezrobotni w ich kraju ustosunkowali się do zachodniomiejscowego państwa. Hans Hammer, który jest naczelnym redaktorem miesięcznika związkowego „Gewerkschaftliche Monatshefte” uważa, że trudno o tym sądzić na podstawie oficjalnych danych statystycznych czy wypowiedzi polityków, socjologów, którzy wiele rzeczy uciekają. Dla związków zawodowych interesujące było ustalenie nastrojów psychologicznych wśród bezrobotnych. Przeprowadzono więc sondaż wśród bezrobotnych i na tej podstawie sformułowano wniosek: masowe bezrobocie, będące stałym czynnikiem życia społecznego-gospodarczego RFN, obala iluzję o „kwitnącym i troszczącym się o wszystkich obywateli państwie”, wytrwale i przez długi czas lansowane przez burżuazyjne środki masowego przekazu. „Taki rozwój wydarzeń — podkreśla się w przedmowie książki — nie tylko stwarza niebezpieczeństwo dla demokracji, lecz także zawiera groźbę eskalacji politycznej. Przekonujemy się o tym kierując wzrok w przeszłość, na tragiczny rozdział w historii niemieckiej. Przekonujemy o tym również to co dzieje się obecnie”. Podkreślają skutki bezrobocia dla zdrowia i pomysłowości ludzi autorzy utrzymują, że w warunkach takiego kryzysu niemożliwy jest dalszy wzrost przestępczości — zwłaszcza wśród młodzieży — narkomanii, alkoholizmu, chorób psychicznych, samobójstw, śmiertelności, wypadków roszad rodzin, depresji apatii (H. Hammer i I. Wahle-Homann „Auf den Schrott gehen? Arbeitslose zwischen Resignation und Selbstfindung” — Wyd. Bund-Verlag, Kolonia, 1987 r.)

Oprac. MAREK BRUK

PESTKI DYNI

Wyobraźni moja, tak bardzo ziemską, tak tylko ludzką — dzięki ci, że jesteś właśnie taka.

Komputer można nafaszerować praktycznie wszystkim, co ludziom jest wiadome i ten mózg, za cholera, nie pęknie; jego pojemność zależy od jego konstruktorów. Taki mózg może malować obrazy, pisać wiersze, powieści, komponować muzykę. Ale jego wyobraźnia jest ludzka, jest wyobraźnią maszyny, która wie wszystko. Człowiek nie wie wszystkiego a zatem zasób jego doświadczeń, w stosunku do ogólnego doświadczenia ludzkości, jest fragmentaryczny i stanowi tylko jego kapitał, którym — oczywiście jeśli potrafi — może się dzielić z innymi. Dlatego maszyna nie stworzy arcydzieła — a człowiek stworzył ich wiele. Różnica między „wyobraźnią” komputera a moją jest taka, jak między linią prostą nakreśloną „pod linie”, a prostą narysowaną wolną ręką, swobodną dłonią. Tamta jest nudna, choć idealnie prosta, moja zaś fascynująca, bo z lekka koława krzywa, bo ręka mi w pewnym momencie zdradzała pod wpływem jakiegoś, nieznanego mnie samemu, impulsu.

Wyobraźnia pojedynczego człowieka jest jak treningowy worek bokserki wypchany tym, co człowiek widział, wie, czego się nauczył, co przeżył, co kochał, czego nienawidził, co zagarnął chwile pod siebie, co łapczywie pożarł i co wyrzucił. Worek ów wisi czasem na nici cienkiej, jak przedło pajęczę; albo na linie stalowej, grubej jak konar dębowy. I w ten treningowy worek tłucze zawodnik, a jest nim nie co innego, jak system psychiczny człowieka; tłucze na okrągło, z przerwaniami, zjadając, leniwie, nie tłucze wcale... Zawodnik czasem jest wagi ciężkiej, kiedy indziej mniej niż półtorkowej... Zdarza się, że zawodnik odniesie kontuzję, że worek zerwie się, że się rozpruje, bywa, że od początku jest pusty i o waleniu nie ma mowy. Natura bywa wspaniała, ale bywa też czasem strasznie brakorobem. Najlepiej jest, gdy się zdarzy zawieszenie stalowe i bokser wagi superciężkiej. Wtedy świat dostaje takie go na przykład Leonarda, Michała Anioła, Picassę... Zdarza się to rzadko, starzy ludzie mówią, że coraz rzadziej...

Samotny włoski żeglarz, Fabrizio Cremonini, przed paru laty wypłynął z Fiumicino z zamiarem opłynięcia kuli ziemskiej bez zawijania do portów. Zakończył swoją wyprawę u wybrzeży Korsyki. Jego 6-metrowy jacht „Paluro” spłynął na skutek przewrócenia się lampy naftowej w kabinie. Mogę sobie wyobrazić, co czuł Cremonini, gdy spotkało go to, przed czym drżeli żeglarze wszystkich czasów. Mógł użyć przecież lampy na baterie, na Bóg wie co. Bezpiecznej On popłynął mając lampę naftową na pokładzie. To nie była głupota, brak doświadczenia błąd w sztuce. To wyobraźnia. Ludzka, ułomna, ograniczona, ale jakże wspaniała wyobraźnia. Z tego typu wyobraźni rodzą się dzieła sztuki i czyny szalone, co zresztą stanowi jedno, bowiem sztuka jest szaleństwem. Szaleństwem jest to odwieczne pragnienie do przekroczenia własnej, człowieczej kondycji tak w sferze duchowej jak i fizycznej — powiada André Malraux. Sztuka to ciągle dążenie do doskonałości i nigdy tej doskonałości nieosiąganie...

Wyobraźnio moja, dobrze, że jesteś tylko ludzka.

ANDRZEJ GRUN

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata

DZIECKO SZCZĘŚCIA

Tak określa świat Leonarda Bernsteina. „To wieczne cudowne dziecko — pisze „Newsweek” — wreszcie dorosło. W lipcu, ku zdziwieniu wszystkich, w tym także siebie samego, ukończył 70 lat. „Jego kariera była spektakularna od samego początku. W 1943 roku Bernstein zadebiutował nieoczekiwanie z Nowojorską Orkiestrą Symfoniczną. Bez prób i przygotowań, ten 25-letni, nieznanym bliżej publiczności dyrygent, przejął batutę z rąk chorującego wówczas Bruno Waltera i poprowadził trudny program transmitowany na żywo przez radio na cały kraj. Jego występ był tak wielkim sukcesem, że następnego ranka poświęcono Bernsteinowi tyle samo miejsca na pierwszej stronie, co amerykańskiej marynarce wojennej, która zatopila właśnie siedem japońskich okrętów.

W ciągu następnych 13 miesięcy odbyły się premiery jego I symfonii („Jeremiah”), baletu „Fancy Free” i musicalu, „On the Town” na Broadwayu, potem „West Side Story”. „Powszechnie uważa się dziś Bernsteina za jednego z największych dyrygentów na świecie. Jego akrobatyczne wyczyny na podium stały się już legendarną, a podeszłe wiek wcale go pod tym

względem nie utemperował. Bernstein bierze w ramiona wszystkich, którzy znajdują się w jego zasięgu. Bywa wylewny, ale nigdy nie jest w tym nieszczerzy... mówi to, co myśli, chętnie też wypowiada się na tematy polityczne, jest też łatwym celem dla swoich krytyków... znany jest z tego, że nigdy specjalnie kontrowersji nie unikał. W lecie tego roku, dyrygując w Związku Radzieckim powiedział: „Zdecydowanie więcej podziwu mam dla pana Gorbaczowa niż dla George’a Busha”. W ub.r. ukazała się drukiem plotkarska biografia pióra Joan Peyser, która opisuje rzekome homoseksualne przygody Bernsteina. Środowisko muzyczne przyjęło ją na ogół nieprzychylnie, zarzucając autorce pogon za sensacją i zło intencje.

Bernstein jest wdowcem i ma troje dorosłych dzieci, z którymi jest w nadzwyczaj bliskich stosunkach... Jest rzeczą naturalną, że Bernstein wzbudza zazdrość, a on sam przyznaje się do pewnej dozy młodzieńczej arogancji... Pokażna część jego muzyki, w tym „Kadis” i „Dybuk” ma swoje źródło w jego religii...

NICHOLSON REŻYSEREM?

— Tylko po to, żeby zademon-

strować własny gust, inny niż w Hollywood. Tu mówi się tylko o opowiadaniu historii na ekranie. Ale proszę sobie przypomnieć sławne zdanie Godarda: „Oczywiście, film powinien mieć początek, środek i koniec — ale niekoniecznie w tej kolejności”. Ja należą do pokolenia Godarda. Niedawno jadłem obiad ze swym starym przyjacielem, Bernardo Bertoluccim. Nie padło ani słowo na temat wpływów czy dystrybucji, po prostu mówiliśmy o tym jak się robi ładne filmy. I na tym polega różnica. Zrozumiałem to, kiedy pierwszy raz pojechałem do Europy ze swoimi filmami. Mówiło się o wszystkim, o czym nikt nie mówił w Ameryce. O znaczeniu chwili w życiu człowieka, o kulturowych implikacjach przeżycia ekranowego. To było jak eliksir My, Amerykanie, wstydziły się wszystkiego, co poetyckie, co dotyczy estetyki i uczuć (Jack Nicholson znany z filmów: „Lot nad kukułczym gniazdem”, „Czułe słowa”, „Lśnienie”, „Honor Priz-zik” dla pisma „Style”).

UCZYĆ SIĘ ZARABIANIA PIENIĘDZY

— Republiki związkowe, republikańskie związki twórcze, rady

terenowe uzyskują prawo nawiązywania bezpośrednich kontaktów z pominięciem organów centralnych — oświadczył minister kultury ZSRR dla „Sowietskoy Kultury”, Wasilij Zacharow. Minister poinformował, że w ZSRR zwiększa się liczba festiwali międzynarodowych. Przewiduje się organizowanie festiwali — teatralnego, cyrkowego, sztuk plastycznych, młodych talentów. W grudniu br. odbędzie się pierwszy festiwal młodzieżowej twórczości krajów socjalistycznych. Częściej festiwale międzynarodowe odbywać się będą w stolicach republik związkowych, głównych miastach krajów i obwodów, na Syberii i Dalekim Wschodzie. Dotychczas organizowano je głównie w Moskwie i Leningradzie.

— Nie należy sądzić, że dążymy do uczynienia z wymiany kulturalnej z zagranicą przedsięwzięcia handlowego — dodał Wasilij Zacharow. — Nigdy nie dopuszczamy do tego, aby proces ten postępowo ze szkoda dla potrzeb duchowych ludzi radzieckich. Jednocześnie należy uczyć się zarabiania pieniędzy, aby nie czerpać środków wyłącznie z budżetu państwa. Dawno nadszedł czas, by współpracować na zasadach równości z partnerami zagranicznymi, zwłaszcza z krajami kapitalistycznymi...

do jednego z powstających wtedy obozów dla więźniów politycznych w kazachstańskim Ekibastuzie. Tam pracował jako kamieniarz i odlewnik, co z kolei literacko przetworzył w opowieści „Jeden dzień Iwana Denisowicza”.

Po odbyciu wyroku został skazany na „wieczny pobyt” w Koktereku w południowym Kazachstanie. I te doświadczenia znajdują odzwierciedlenie w przyszłych powieściach, przede wszystkim w „Oddziale chorych na raka” (Solżenitsyn przeżył leczenie i operację guza o charakterze rakowym). Zsyłka trwała do czerwca 1936 roku. Wtedy pisarz wraca do europejskiej części ZSRR, najpierw do odwołu Włodzimierzowskiego (opowiadanie „Zagroda Matrony”), a potem do Riazania pracując cały czas jako nauczyciel matematyki (utwór „Dla dobra sprawy”).

Kolegium Wojskowe Sądu Najwyższego ZSRR na posiedzeniu w dniu 6 lutego 1937 r. rehabilitowało Aleksandra Solżenitsyna i całkowicie uwolniło od zarzutów mu w przeszłości „przestępstw”. A trzeba dodać — co zresztą podkreśla akt rehabilitacyjny, że pisarz za swoje czyny wojenne, jeszcze przed aresztowaniem — co oczywiste — został odznaczony orderem Wojny Ojczyźnianej II stopnia i Czerwonej Gwiazdy.

Chruszczowska odwrócił zdawała się sprząć planom i zamierzeniom pisarskim Solżenitsyna. Debiutował w roku 1962 opowieścią „Jeden dzień Iwana Denisowicza” w 11 numerze miesięcznika „Nowy Mir”. Zanim to się stało redaktor naczelny czasopisma, wpływowi i wybitny poeta Aleksander Twardowski musiał stoczyć prawdziwy bój o zezwolenie na druk. Ostatecznie osobista zgoda Nikity Chruszczowa zadecydowała o pozytywnym skutku. Opowieść tę jednomyślnie uznano za sensacyjną rewelację prozy radzieckiej. Wydano ją w następnym roku z przedmową Twardowskiego w wydawnictwie „Sowietskij Pisatel” w nakładzie stu-

znaczne — chodziło o zablokowanie druku powieści w ZSRR) wychodził niemal równocześnie w Mediolanie, Londynie i Paryżu (wszystkie wydania po rosyjsku) „Oddział chorych na raka”. Zaraz potem ukazują się przekłady w kilkunastu krajach od Brazylii po Japonię (także w Jugosławii). Wkrótce też wyszła na Zachodzie następna powieść „W kręgu pierwszym”: wydania rosyjskie we Frankfurcie, Belgradzie, Nowym Jorku i Paryżu. Przekłady zaczęły pojawiać się w kilkanaście miesięcy po publikacji oryginału.

4 listopada 1969 roku na posiedzeniu z udziałem pisarza rzański oddział Związku Pisarzy ZSRR postanowił wykluczyć Solżenitsyna ze składu swoich członków. Następnego dnia podobną decyzję podjął Sekretariat Związku Republiki Rosyjskiej.

Pod koniec tego roku Solżenitsyn ukończył kolejną powieść „Sierpień 1914”, która daje początek wielkiej epopei obejmującej historię Rosji od wybuchu I wojny po lata powojenne. Miejska już w tym czasie w dachy Roztropowicza pod Moskwą. W prasie zachodniej ukazują się „przebiegi” o rychłym wyjeździe pisarza z ZSRR. Pisarz jednak nie reaguje na te sugestie i nie zwraca się do władz o wydanie paszportu. Już wiadomo, że kandydatura Solżenitsyna pojawia się w rozmaitych enuncjach zachodnich na temat najbliższego laureata Nagrody Nobla. Owcześnie władze ZSRR postanawiają wzmocnić wysiłki dyplomatyczne, aby do nagrody nie dopuścić. Jednak w październiku 1970 roku wszystkie agencje światowe donoszą, że laureatem został Aleksander Solżenitsyn za „siłę etyczną, za jaką kontynuuje odwieczne tradycje literatury rosyjskiej”.

I znów Solżenitsyn nie wystąpił o paszport: zdecydował, że do Sztokholmu nie pojedzie obawiając się — na podstawie kampanii prasowej — iż nie będzie mógł wrócić. Wystąpił natomiast list do Słusowa z następującymi propozycjami: w ciągu ośmiu tygodni do uroczystości rozdania nagród wydrukować „Oddział chorych na raka”, a także ostatnią powieść „Sierpień

wiciel Ministerstwa Spraw Zagranicznych RFN z honorami przewoził pisarza do willi Heinricha Bölla. Jeszcze w tym roku odbyła się spóźniona ceremonia wręczenia literackiej Nagrody Nobla.

Już podczas pobytu Solżenitsyna w Szwajcarii (w Zürichbergu) wychodzi w Paryżu II tom „Archipelagu Gulag” (cz. III i IV), tom wspomnień opisujący okres pisarskich zmagani z władzą w latach 1956-1974 zatytułowany „Bodalsja tielonok z dubom” (Paryż 1973) oraz wybór rozdziałów z trzech powieści „Sierpień 1914”, „Październik 1916”, „Marzec 1917” pod tytułem „Lenin w Zürichu” (Paryż 1975).

Obecnie pisarz przebywa w Stanach Zjednoczonych — by tak rzec — w izolacji z wyboru kontynuując swoją twórczość. Na decyzję wyjazdu za Ocean i ucieczkę przed środkami masowego przekazu mogły mieć wpływ europejskie doświadczenia Solżenitsyna po wydaleniu z ZSRR bo trzeba powiedzieć — zgodnie z faktami — iż wykorzystywano z premedytacją jego los i biografię na wszystkie sposoby nie zawsze licząc się z tym, co miał do powiedzenia. Sam miałem okazję się o tym naocznie przekonać. Oto telewizja francuska emitowała audycję z udziałem Solżenitsyna, podczas której widzowie mogli dzwonić i bezpośrednio zadawać pytania pisarzowi. Nie literatura jednak interesowała pytających — odnosi się to również do dziennikarzy zgromadzonych w studio. Nie znano jego utworów, a pytania obracały się w kręgu spraw politycznych. Aż jeden z widzów wprost zapytał — „czy pan nie wie, że za tydzień będą wybory i cała ta heca jest po to, by uprawiać w zakłopotanie potencjalnych wyborców komunistycznych?”. Dodatkową irytację pisarza wywołała projekcja, w trakcie audycji, norweskiego filmu, adaptacji „Jednego dnia Iwana Denisowicza” (reż. Caspar Wrede; w roli głównej Tom Courtenay), który tak miał się do obozowej rzeczywistości oryginału jak pieśń do oka. Liczne wypowiedzi laureata literackiej Nagrody Nobla nie zmieniły jednak o-

Jak się produkuje geniuszy

Radziecka „pieriestrojka” dotarła wreszcie do literatury, a właściwie na literacki Parnas, gdzie znakomicie prosperowali promienni z kręgu „rządów dusz”. W odróżnieniu od warunków polskich, w ZSRR ludzie sprawujący funkcje w Związku Pisarzy są etatowymi pracownikami otrzymującymi odpowiednie wynagrodzenie. Niektórzy z tych funkcji uczynili swoiste pontyfikaty, a co za tym idzie, zdobyli pełnię władzy, jeśli chodzi o promocję książek, ich druk i honoraria. Doszło do tego, że przestano się zupełnie liczyć z potrzebami czytelników, natomiast wydawano, czy tego ktoś chciał, czy nie, książki autorów nie najwyższego lotu, za to będących u władzy. Po prostu decydowano, kto jest geniuszem, a kto szeregowym pracownikiem pióra.

Znakomitą publicystykę na ten temat zamieścił w swoim 43 numerze „Ogoniok” opatrzoną tytułem: „Wojna obywatelska w literaturze albo o tym, jak pomóc czytelnikowi Lwa Nikolajewicza”. Lew Nikolajewicz, to Lew Tolstoj. O co chodzi?

Chodzi o to, że pewna grupa pisarzy była wydawana w języku rosyjskim (a wydawano ich książki także w republikach, to w ZSRR drukuje się książki w 78 językach) niekiedy 75 a nawet 115 razy, natomiast innych 12—35 razy i to zaledwie w przedziale lat 1981—1988. Dodajmy do tego nakłady i od razu posypią się liczby sześciocyfrowe. I co ciekawe: pisarzy o światowej sławie, o wielkich nazwiskach wydawano raczej skromnie. Np. książki Borysa Pasternaka wyszły w tym okresie 7 razy (nakład 740 tys. egz.), natomiast powieść „Gorący śnieg” Jurija Bondariewa aż 38 razy w nakładzie 8 mln egz.! Dlaczego tak się działo? Dlatego, że Pasternak nie żyje, a Bondariew nie tylko żyje, ale jest kadrowym pracownikiem Związku Pisarzy ZSRR oraz byłym członkiem kolegiów redakcyjnych różnych wydawnictw. Dodajmy, że Bondariew w tym samym czasie drukował swoje książki w dziesięciu innych miastach ZSRR i obraz staje się nie tyle jasny, co tragiczny.

Czytelnik nagle dziwi się, że z całej bogatej i wielkiej literatury rosyjskiej i radzieckiej największymi pisarzami są J. Bondariew, G. Markow, M. Aleksiejew, A. Iwanow... Daleko w tyle zostali Mandelsztam, Pasternak, Gumilow, Szukszyn, Bułhakow, Kawierin, Iskander, Platonow, Zoszenko, Rybakow...

Czytając tekst wspomnianego publicystyki wprost nie chce się wierzyć, że można było bezkarnie dokonywać tak niezwykłych manipulacji, że „inżynierowie dusz ludzkich” zapomnieli o tak ważnych rzeczach jak sumienie i przyzwołość. Jednak zapomnieli. Wspomniany „Gorący śnieg” J. Bondariewa miał po dwa wydania w latach 1970, 1974, 1975, 1976, 1977, 1978, 1980, 1981, 1984, 1988, natomiast po trzy wydania w 1982, 1983, 1985, a pięć razy powieść wydano w 1986 r.

Trudno dziś ocenić, jaką stratę poniosła literatura radziecka w wyniku działalności ludzi zajmujących eksponowane stanowiska w Związku Pisarzy ZSRR. Dla pełnej ilustracji przytoczę jeszcze przypadek Michaila Aleksiejewa, sekretarza Związku Pisarzy ZSRR, Bohatera Pracy Socjalistycznej, laureata wszystkich możliwych nagród, redaktora naczelnego miesięcznika „Moskwa”. W sumie miał on 190 wydań swoich „dzieł” — niektóre książki miały po 5, inne po 20 wznowień, nie mówiąc o najpopularniejszym wydaniu, jakim jest w ZSRR „Roman — Gazeta”. Oczywiście były też „dzieła wybrane” oraz „dzieła zebrane” w 6 tomach.

Były odpowiedzialny pracownik Państwowego Komitetu Wydawniczego (Goskomizdat) J. Idaszkin napisał, że poza wszelką krytyką i wszelkimi ograniczeniami wynikającymi z braku papieru, znajdowali się przede wszystkim sekretarze Związku Pisarzy ZSRR i związków poszczególnych republik, redaktorzy naczelni czasopism, dyrektorzy wydawnictw oraz zastępcy redaktorów naczelnych. Taka obowiązywała hierarchia. Natomiast „zwykły” autor na swoją książkę czekał od 3 do 10 lat. Otrzymywał przy tym niski nakład i nędzne honorarium. Kiedy oddawał maszynopis wydawcy, czytało go wprawdzie 2—3 recenzentów, potem pisał o niej notkę któryś z członków rady redakcyjnej, później końcową ocenę robił redaktor, po czym maszynopis trafiał do kierownika działu. Na samym końcu rzecz oceniał dyrektor wydawnictwa lub jego zastępca. Ale to nie wszystko. Gotowy do wydania maszynopis wędrował do Głównego Urzędu ds. Literatury i Wydawnictw. Ileż to niebezpieczeństw czyhało na drodze! Nieraz wystarczyła jedna uwaga i książka nigdy się nie ukazywała. Nie dotyczyło to oczywiście autorów z Parnasu. Tu obowiązywała zasada: ja ci wydam książkę, ty o mnie napiszesz entuzjastyczną recenzję, ja ci załatwię mieszkanie lub pomogę przy wyjeździe za granicę, a ty moją książkę przepchniesz przez wszystkie komisje... Stąd setki i tysiące panegirycznych recenzji o książkach M. Aleksiejewa, J. Bondariewa czy G. Markowa, że nie wspomnę o monografiach i opracowaniach, których o każdym z nich urosło po kilka. Jeden z krytyków tak się zapędził w lizusostwie, że wieś, gdzie urodził się M. Aleksiejew nazwał drugą Jasną Polana.

Tak w ZSRR przez parę dziesięcioleci produkowano geniuszy. Myślę, że gdyby przepatrzyć nasze, polskie podwórko, kto wie jakie rewelacje zostałyby odkryte.

„Pieriestrojka” dotarła na radziecki Parnas. A co, jeśli się okaże, że na jego szczycie jak dawniej zasiadają Puszkini, Tolstoj, Dostojewski, Czechow, Bułhakow, natomiast nie ma pisarzy — urzędników, którzy przez lata zalewali literaturę radziecką swoimi „dziełami”?

Opracował: IWA

Tragedia i wzlot Aleksandra Solżenitsyna

tysięcznym oraz w „Roman-Gazietie” w ilości 700 tysięcy egzemplarzy! „Jeden dzień” uzyskał natychmiastowy rozgłos na całym świecie: tłumaczono go w Bułgarii, na Węgrzech, w Wielkiej Brytanii (dwukrotnie), w obu państwach niemieckich, w Skandynawii, Izraelu, Indiach, USA, Chile, na Tajwanie i w Japonii itd., itd., czyli wszędzie. W Polsce opowieść drukowała — zawsze w pierwszym szeregu — „Polityka” w numerach 48—52 z roku 1962 i w pięciu pierwszych tygodniach roku następnego.

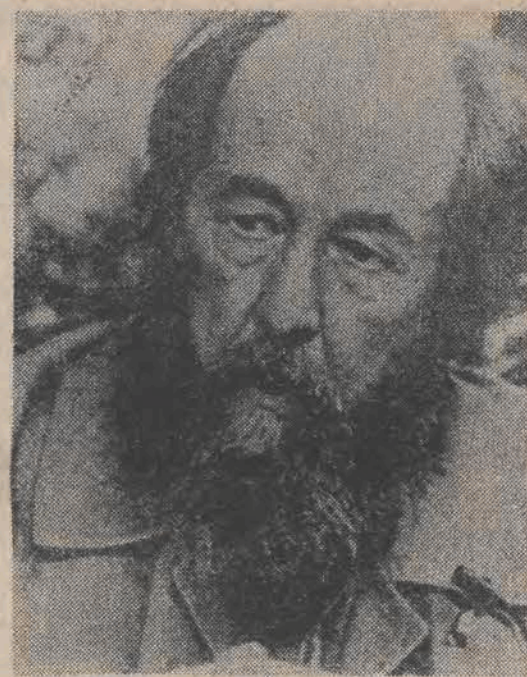
Początkowo — jak powiedziałem opinia krytyki w ZSRR była zgodna pochwalna. Potem zaczęły się ukazywać recenzje podważające wartości utworu (opisał te polemiki B. Łakszin w artykule na łamach „Nowego Mira” nr 1/1964 pt.: „Iwan Denisowicz — jego przyjaciele i przeciwnicy”).

Na początku 1964 roku „Literaturnaja Gazeta” poinformowała, że „Nowy Mir” i Centralne Państwowe Archiwum Literatury wysunęły kandydaturę Solżenitsyna do Nagrody Leninowskiej w dziedzinie literatury. Propozycja wraz z sześcioma innymi przeszła do drugiego etapu dyskusji Komitetu Nagrody (por. „Literaturnaja Gazeta” z 20.II.1964). Jednak mimo wielu starań Twardowskiego i innych pisarzy m.in. S. Marszaka) nagrodę ostatecznie otrzymał O. Gonczar za socrealistyczną powieść pt. „Tronka”.

Do tego czasu „Nowy Mir” drukował jeszcze inne opowiadania Solżenitsyna: „Zdarzenia na stacji Kreczetowska” (przekład polski w zbiorze „Słoneczna dolina”, PIW 1964), „Zagroda Matrony” (maj 1967). Ten gest pisarza wywołał natychmiastową reakcję: list został szeroko rozpowszechniony z jednoznacznie negatywnymi komentarzami, publikowała go także jako sensacyjną polityczną prasę zachodnią, ponieważ dotyczył spraw ogólniejszych: cenzury i praw pisarza w ZSRR. We wrześniu tego samego roku odbyło się posiedzenie Sekretariatu Związku Pisarzy Radzieckich, na którym poddano ostrej krytyce działania Solżenitsyna. Posiedzenie to nie przyniosło — bo nie mogło przynieść w tamtych latach — żadnych rozwiązań: pisarz obecnie na posiedzeniu odmówił propozycji Sekretariatu, aby przeciwstawić się — jak określono — antyradzieckiej kampanii w prasie zachodniej. Przedmiotem posiedzenia była także dyskusja nad utworami Solżenitsyna, także nad tymi, które zostały zarekwirowane wraz z archiwum autora podczas rewizji w mieszkaniu jednego z jego znajomych.

Pisze Helena Czukowska w cytowanym na wstępie artykule: „11 września 1965 roku, w mieszkaniu osób, którym Solżenitsyn powierzył przechowywanie swoich rękopisów skonfiskowano jego powieść „W kręgu pierwszym” oraz wiersze i sztuki napisane jeszcze w obozie. Ta pierwsza konfiskata dała początek nagonce na Solżenitsyna (...) wystawiła go na burzę niewstannych, oszczerstw, pogroźek i zniewag. A co najważniejsze, zagroziła drogę do publikacji jego utworów na ziemi ojczystej”.

Tak więc w roku 1968 na podstawie maszynopisu, który nikt nie wiedział jak znalazł się na Zachodzie (domniemania i fakty o jakich wspomina Solżenitsyn we wspomnieniowej książce „Bodalsja tielonok z dubom” są jednakowoż jedno-



1914”. Odpowiedzi nie było. A na uroczystościach noblowskich 10 grudnia 1970 roku przeczytano tylko list laureata.

Następne miesiące to dalsze potyczki pisarza z władzami: listy (krążą w samizdacie) do ministra bezpieczeństwa Jurija Andropowa i do Aleksieja Kosygina z protestami na bezprawne rewizje. Trwała też korespondencja z Komitetem Noblowskim na temat sposobów wręczenia nagrody. Nie doszło do tego w Ambasadzie Szwecji ani w prywatnym mieszkaniu laureata, co sam zapropomował (rozesał zaproszenia do przyjaciół, a także do ówczesnego ministra kultury Furcewej).

W grudniu 1971 roku umiera na chorobę na raka Aleksander Twardowski, mecenas Solżenitsyna do ostatnich dni. Pisarz na wiadomość o śmierci tej wybitnej postaci literatury radzieckiej publikuje w samizdacie list zaczynający się od słów „jest wiele sposobów, aby zabić poetę” (przedstawia fakty, które jego zdaniem przyspieszyły śmierć autora „Iwana Tiorikina”). Wynikają też kłopoty z zezwoleniem na pobyt w Moskwie, które dają powód do kolejnych pism i wystąpień. W czasie leningradzkiej rewizji zarekwirowano „Archipelag Gulag”. Tu znów odwołam się do tekstu Heleny Czukowskiej:

„Czara cierpliwości kierownictwa tamtych lat przepłynęła się, kiedy w grudniu 1973 na Zachodzie ukazał się pierwszy tom „Archipelagu” (po rosyjsku w wydawnictwie YMCA-PRESS w Paryżu — dopisek mój G.G.). Należy powiedzieć, iż Solżenitsyn nie w pełni dobrowolnie zgodził się na opublikowanie za granicą tego najdroższego swemu sercu, ukrywano go przez pewien czas utworem, o którym wiedzieli tylko kilku jego najbliższych przyjaciół. Zmusił go do tego kroku okoliczności. Rzecz w tym, że w sierpniu 1973 roku skonfiskowano jeden z początkowych wariantów książki. Później w niewyjaśnionych okolicznościach zginęła Jelizaweta Denisowna Woronianska, stara samotna mieszkanka Leningradu, która przez wiele lat pomagała Solżenitsynowi jako maszynistka. Publikacja „Archipelagu” na Zachodzie stanowiła odpowiedź Solżenitsyna na konfiskację jego rękopisu i śmierć jego pomocnicy. Ukazanie się „Archipelagu” wstrząsnęło naszą prasą. Przez dwa miesiące demaskujące autora groźne artykuły redakcyjne, pełne oburzenia listy obywateli, którzy nie przeczytali nawet tej książki (...) nie schodziły z łamów gazet”.

13 lutego 1974 roku Solżenitsyn został aresztowany i w ciągu 24 godzin po ogłoszeniu mu decyzji o pozbawieniu obywatelstwa wydany z ZSRR do Frankfurtu nad Menem. Na lotnisku czekali liczni korespondenci, a przedsta-

brazu, w jakim chciały go widzieć gazety i telewizja: nie pisarza, wybitnego artystę, ale skrzywdzonego przez reżym bezpieczeństwa.

Skupiłem się w tym tekście (który powstał na podstawie autobiografii z „Rocznika Fundacji Nobla” z r. 1971 i tomu „Bodalsja tielonok z dubom”, na rekonstrukcji biografii pisarza z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, iż czytelnik polski nie miał dotąd okazji poznać podstawowych faktów z życia Aleksandra Solżenitsyna. A po drugie, że to właśnie dramatyczne doświadczenia życia stały się w jego twórczości głównym źródłem inspiracji i fabularyzowanych kreacji.

Na dotychczasowe dzieło pisarskie Aleksandra Solżenitsyna składają się jakby trzy warstwy. Pierwszą tworzą opowiadania i powieści, w których — jak powiedziałem — została literacko przetworzona biografia autora, a przede wszystkim jego przeżycia więziennoo-bozowe. W powyższym tekście czytelnicy znajdą w nawiasach sugestie o autobiograficznym charakterze takich tytułów jak „W kręgu pierwszym”, „Oddział chorych na raka”, „Jeden dzień Iwana Denisowicza”, „Zagroda Matrony” itd. W swoim czasie odsłaniały przed czytelnikami mroczny i tragiczny świat całego pokolenia w czasach stalinowskich.

Wartwą drugą, quasi-esetystyczną, quasi-historyczną tworzy czteroczęściowy cykl „Archipelag Gulag”, który według autora jest „próbą analizy literackiej” zbrodni stalinowskich. Przedstawiane obecnie w prasie radzieckiej jakby dopełniają tekst Solżenitsyna, który tak zapowiadał ów cykl:

„Ze ścisłym sercem całe lata powstrzymywałem się od publikacji tej książki, dawno już gotowej: poczucie odpowiedzialności wobec żywych przeważało nad poczuciem obowiązku wobec umarłych”.

Wartwą trzecią, to monumentalnie i po tołstojowsku zakrojony cykl historyczny, na który składają się węzłowe wydarzenia w Rosji w latach I wojny światowej i czasach Rewolucji Październikowej. Znam ten cykl tylko fragmentarycznie (Węzeł I czyli powieść „Sierpień 1914” oraz rozdziały z części II i III zatytułowane „Październik 1916” i „Marzec 1917”) i nie jestem w stanie powiedzieć jak dalece zaawansowane są prace nad całością. Tak czy inaczej nazwisko Lwa Tolstojego padło tu nie bez przyczyny. Cykl ów wydaje się bowiem wyraźnym nawiązaniem do metody pisarskiej autora „Wojny i pokoju” tak w epickim rozmachu, konstrukcji kompozycyjnej, jak i w kształtowaniu głównych bohaterów oraz w przenikaniu się kreacyjnej fikcji z planem prezentacji postaci i wydarzeń historycznych.

Na koniec jeszcze raz odwołam się do artykułu Heleny Czukowskiej, która pisze:

„Sztuka należy do narodu — oto hasło, które widzimy od dzieciństwa i które zapadło nam głęboko w oczy. Losy naszych najlepszych pisarzy, artystów, uczonych uporczywie domagają się wprowadzenia do świadomości pokoleń jeszcze jednego hasła: Twórcy prawdziwej sztuki (i nauki) to wielka wartość każdego cywilizowanego narodu” (wszystkie cytaty z tego artykułu na podstawie przekładu w „Forum” z 18 sierpnia 1988 r.).

Na pełniejszą analizę i prezentację twórczości Aleksandra Isajewicza Solżenitsyna poczekajmy do czasu, kiedy jego książki przekroczą bariery powszechnej dostępności, także w naszym kraju.

GRZEGORZ GAZDA

P.S. W Polsce, w roku 1977 ukazała się w przekładzie Natalii Rieszetowskiej, pierwszej żony Aleksandra Solżenitsyna, pt.: „Solżenitsyn — realia i mistyfikacje”, w której autorka, miejscami raczej obiektywnie, próbuje po swojemu przedstawić lata życia z pisarzem. W sumie jednak tę książkę należy uznać za dość dwuznaczny sposób dyskredytacji, przede wszystkim etycznej byłego męża. Na Zachodzie wspomnienia Rieszetowskiej upowszechniała agencja „Nowosti”.

G. G.

Antek Muszkatulowicz przyszedł do mnie pewnego dnia bardzo podniecony. Zdziwiło mnie to, ponieważ zawsze umiał trzymać się w pozycji „cool”, cokolwiek by się zdarzyło.

— Odkryłem kapusta — powiedział bez długich wstępów.

Teraz ja byłem „cool”. Nie nowina. Kapusie są wszędzie. Co dopiero w SPK, w domu dla uchodźców, czekających na azyl mieszkaniowy, bez żadnej konkretnej nadziei. Życie we mgle produkcyjne donosiło, życie bez nadziei to inkubator kapusów.

Wiadomo, że niejedyn łął do Merly z nowinami, dotyczącymi życia kolegów — przypadkowych kolegów, może lepiej: przymusowych kolegów, a więc nie kolegów wcale, tylko wrogów. Pewnie. Przymusowy pobyt w zamknięciu z jakimś facetem, który nas wcale nie obchodzi, budzi więcej nienawiści niż przyjaźni.

Przyjaźni nieska! Dawno już o czymś takim zapomniałem. Dorosli mężczyźni nie zaprzyjaźniają się, najwyżej zawierają przymierze, pakt o nieagresji. I tak jest dobrze. Ale pamiętam przyjaźni z okresu dojrzewania, jeszcze głupią, szczenięcą, przez to niebezpieczną. Na przykład był taki Zygmunt L., którego ojciec w 1949 roku dostał karę śmierci za przynależność do niewłaściwego ruchu oporu. Jedynym świadkiem na jego procesie, świadkiem podstawionym, najemnikiem katów, był niejaki Kielbasa, mieszkający w jednym z podłózkowych miasteczek. Kiedy Zygmunt opowiadał mi historię swojego ojca, na tyle dokładnie, na ile mógł, ja znałem piętnastoletni pętlak, z przyjaźnią zobowiązałem się wykonać wyrok na tym Kielbasie. Przypadkowo we własnej komórce na węgiel dogrzebałem się do pudełka, zawierającego pięć sztuk amunicji do pistoletu, a może do jakiegoś innego rodzaju broni, nie wiem. Wydawało nam się, że Zygmunt, że teraz już fraszka odeszła, znaleźć pistolet, w ostateczności można go zabrać milicjantowi. Jak zabrać? Same plany napadu złożyłyby się na gruby tom, tom oskarżenia.

Aż pewnego dnia Zygmunt przyniósł do szkoły colta, prawdziwego, autentycznego colta! Z nabojami cały bebenek! Nie chciał za Boga powiedzieć, skąd go ma. Miał, to wszystko. Dobry konspirator. Ale kiepski przyjaciel. Ja bym mu powiedział. Dla mnie przyjaźni ważniejsza niż konspiracja, przynajmniej wtedy tak było, a może taka cecha zostaje człowiekowi na całe życie? Czy przyjaźni to nie najwyższy, najsłabszy rodzaj konspiracji?

Dostałem colta i miałem jechać do pewnego miasteczka, żeby zabić Kielbasę. Ach, gdyby ten człowiek miał jakieś porządne, ludzkie nazwisko! Ale Kielbasa? Brzmienie tego nazwiska kojarzyło się z niestychaną pospolitością, z szarym brudnym życiem prowincjonalnym, odbierało miemu zamierzonymu aktowi całą egzotykę. „Zabił Kielbasę”, powiedzą w szkole, napiszą w gazetach... „Kara śmierci za zabicie Kielbasy!” — wyobrażałem sobie takie nagłówki w gazetach i ogarniał mnie dreszcz obrzydzenia do samego siebie. Kielbasa jest do zjadania, nie do zabijania. Owszem, żeby zrobić Kielbasę, trzeba wprerw zabić świnię, i mój Kielbasa niewątpliwie był świnią, ale w nazwnictwie taśma posunęła go dalej, był już skończonym mięsnym produktem, Kielbasą.

Ala kłó w oko. Zebrałem się w sobie i dalej szukać tego Kielbasy. Myślałem, że taki będzie tylko jeden. Gdzie tam! Miasteczko pełne było tych Kielbas. Wprawdzie już mi się w mózgu zakodowała nienawiść do każdego Kielbasy, przez sam fakt, że nosi takie brzemię na sobie ale nie mogłem przecież strzelać do niewinnego. Chodziło o właściwego Kielbasę, o nieznanym imieniu, aha, podobno nosił zielony lodonowy płaszcz do kostek i piśniowy, brązowy kapelus — co, kiedy w nocy, gdy wpadnięmy z bronią do jego mieszkania, na pewno będzie w gaciach, i jak go poznamy? Sprawdzić szafę, czy nie wisi ten płaszcz?

Miałem zał do Zygmunta, że nie powiedział mi, skąd wziął rewolwer, a on zaczął mieć zał do mnie że słabo szukam Kielbasy, że naumyślnie odlewam wykonanie wyroku. W końcu zwróciłem broń przyjacielowi, przez miesiąc nie widywaliśmy się — zmienił w tym czasie szkołę — a potem przybiegł do mnie któregoś dnia i obwieścił, że stracił cnotę z własną wychowawczynią gdzieś na wycieczce do Wieliczki, czy coś takiego.

Było to wydarzenie na miarę trzęsienia ziemi albo objawienia z płonącego krzaka. Zygmunt już miał kobietę! A ja wciąż męczyłem się z własną ręką, do której coraz bardziej zaczynałem tracić szacunek. Krosty na mojej mordzie domagały się jak najszybszej akcji — twarz Zygmunta wyglądała się z każdym dniem coraz bardziej. Ten facio stał się moim guru, dołem, nauczycielem życia. Trzymaliśmy się przez kilka następnych miesięcy razem. Chodziliśmy na dziewczyny... Były to wspaniałe dni tygodnie, miesiące. W końcu, mimo że byłem krociaty, że nie miałem porządnego ubrania — a kiedyś na ubranie strasznie się zwracało uwagę! — dorwałem fajną babkę. Bingo! Zrobiła ze mnie mężczyznę, thank you so much, Halina, I'll always remember you, sweetie.

Ojciec Zygmunta wyszedł z kłicia po Październiku siwy, z grucizką, siedział całymi dniami w domu. Ale raz tylko widziałem go, kiedy puszczono mnie na przepustkę z Wojskowego Korpusu Górniczego. Umarł wkrótce potem.

Czy Antek Muszkatulowicz mógłby stać się moim przyjacielem — tu, w Brukseli, kiedy ciągniem ostatkiem sił psychicznych, kiedy spodziewamy się, że odrzucą nasze podania o azyl i wyładujemy w Polsce, wystawieni na śmiech zawiśniętów, którzy sciagnęliby człowieka za nogi na samo dno piekła dla zrehabilitowania własnej nieudolności i braku odwagi?

W takiej sytuacji zawarliśmy niepisane przymierze — najwłaściwsza forma współistnienia. I oto do mnie właśnie przychodzi Antek z wieścią, że odkrył kapusia.

— Znam go? — pytam.

— Nie. Przyjechał już po twoim wyprawdzeniu się z SPK. Młody facet, z młutką. Kilka razy dawał na medycynę, ale bez powodzenia. Tłumaczy to przyczynami politycznymi. Na tej podstawie stara się o azyl. Opowiada

wszystkim, że jego marzeniem i celem jest skonczenie studiów medycznych w Belgii, i że jeżeli mu to uniemożliwią, to się zabije.

— Jakże masz na niego dowody?

— Ciągłe przetrzącają go z pokoju do pokoju. Mieszka tydzień albo dwa z jednym facetem, potem przenoszą go do innego. Teraz wyładował u mnie.

— To o niczym nie świadczy.

— Stary! Merlo wzywa na rozmowy tych, z którymi Emil mieszkał. Do komisarza wpływają donosy na tych gości. Ostatnio na przykład Merlo pyta mnie, skąd mam sweter. Mówię, że z pracy, a on na to, że już dawno nie pracuję, że ktoś twierdzi, że otrzymuję forsy od ambasady polskiej, dlatego stać mnie na ubranie, i na dobre jedzenie.

— Jedzenie?!

— Ta szynka, wiesz... Jego to w oczy kłuje, sukinkota.

Antek wymyślił numer z szynką już dawno, i wciąż na ten numer pracował. W domu towarowym „Sarma-Lux” przy avenue Louise jest znakomity dział spożywczy, w porze południowej paniusie kupują tam drogie zarcie. Kultura, opakowania wspaniałe, ceny nieziemskie. Antek odkrył, że w stoisku z wędlinami leży na ladzie ogromna sterta skrawków szynki, rozmaite obrzynki i dupki, i sprzedawczynie zawsze dają ćwierć kilo, albo i więcej, jakiejś eleganckiej paniusi, która robi spore zakupy, za darmo dla pieska.

Szynka dla pieska! Antek z tym swoim zezum rozbieżnym, lewe oko zagląda do ucha, w grubych okularach na drucie, wysoki, gnaciasty, z nastrożonymi jak szcotka brudnymi włosami, idzie wprost do stoiska, uśmiecha się i prosi o szynkę dla psa. Kiedy się uśmiecha, to widać wielkie szczyrby po zębach, na samym przodzie. Reszta zębów w kolorze koszul nazistowskich. Ekspedientka, dobrze umalowana pani w średnim wieku, zadbana jak one wszystkie tutaj, patrzy na bandytę i nie wierzy oczom: przecież taki, gdyby miał psa, to by go sam zjadł!

najbogatszego człowieka Brukseli. Znaczą, mocno znudzoną, co mu tam dobra materialnie. Kapuś nie mógł tego znieść.

— Słuchaj — powiada do mnie Antek — obliczywałem mi azyl w październiku, teraz mamy grudzień, jeśli mnie wzywają, to tylko po to, żebym się tłumaczył, skąd mam na życie, i o tej szynce była mowa... Jestem pewien, że to robota Emila. Dogadałem się z chłopakami. Każdy ma jakiś dowód na niego, fakty się zgadzają. Jeśli był świadkiem byle czego, to zaraz o tym donosi, nie ma wątpliwości. Nawet kupił sobie maszynę i stuka jednym palcem te swoje cholerne raporty. Oddaje naszemu Merle albo posyła wprost do Komitetu do Spraw Uchodźców. Na jedno wychodzi.

— Co macie zamiar z nim zrobić?

— Wzruszył ramionami.

— Jak to co? Napierdoliłmy nógusa. Znaczą, taki mieliśmy zamiar. Ale...

— Ale co?

— Wtedy wezmą poważnie wszystkie zarzuty. Nie chcemy przecież go zabić, a jak nie zabijemy, to powie, kto go nasunął. I z azylu nic, jeszcze nas zamkną. Trzeba coś wymyślić. Dlatego przyszedłem do ciebie.

Patrzałem na Antka, ale myślałem byłem daleko — mianowicie w odcinach literatury szpiegowskiej, której się naczyciałem. Prymitywna ona była, ta polska literatura na tak skomplikowane tematy, ale zawsze pewne pomysły mogły się nasunąć...

Przyszedł mi na myśl Michel. Michel to był właściwie Michał, ale że urodzony w Belgii... Mówił bardzo dobrze po polsku, rodzice dopilnowali. Był to wspaniały okaz — podnosił ciężary, przyjaźnił się z Redingiem, wówczas jednym z najlepszych ciężarowców świata wagi ciężkiej. Trenował na Université Libre, wciągał mnie tam i od trzech miesięcy przychodziłem co drugi dzień na treningi, oczywiście nie miałem zamiaru zostać ciężarowcem, ale robiłem to, co się prawidłowo nazywa „body building”, a bezsensownie kulturystyką. Na jedno wychodzi, po trzech miesiącach wyciskałem na

was z Warszawy. Ubierajcie się, jedziemy. Samochód czeka na dole.

Wtedy Emil zemdlął. Po prostu, stracił przytomność. Jak kobieta na filmie. Michel dał mu dwa razy w pysk. Tamten ocknął się, ale widząc było, że najchętniej uciekliby znów w zemdlenie.

— Poruczniku, przynieście wody — powiedział Michel.

Kiedy Emil usłyszał to „poruczniku”, jego system nie wytrzymał. Wypuścił z siebie wszystko, co miał. Ział się i zesrał jednocześnie. Jego cienka różowa piżama... Bo Michel na początku odrzucił z niego koldrę. Nie było rady, Michel zerwał się z łóżka, oddalił pod ścianę. Smród był zbyt mocny, żeby dalej ciągnąć naszą grę.

Michel jednak nie należał do takich, co łatwo rezygnują. Złapał pościel z łóżka Antka i narzucił na Emila. Narzucił na niego nawet materac. Ja otworzyłem okno.

— Zabierzemy was następnym razem — powiedział Michel z całkowitą obojętnością. — Teraz tylko mała formalność.

Wyjął z kieszeni kopertę, z niej kartkę wypisaną na maszynie. I pstryknął długopisem.

— Podpiszcie to.

— Nieee — wyjął Emil.

— Macie w Polsce brata, ojca, narzeczoną.

Chyba im źle nie życzyście. Wypadki chodzą po ludziach. Ciężarówka wpadła na chodnik. Podpiszcie?

— Tak, oczywiście, cokolwiek pan chce... Tylko... Czy naprawdę mnie zabieracie? Czy nie mógłbym tutaj... Choć jeszcze trochę...

— Bierzemy to pod uwagę. Będzie to zależało od waszej postawy, rozumiecie. Chcemy wiedzieć wszystko, o wszystkich. Wasze raporty, które dotąd składać po tej stronie, najpierw będą przechodzić przez nasze ręce. Jeżeli zrobicie, co chcemy, włos wam z głowy nie spadnie. Możecie, że was tu na studiach umieścimy. My tu mamy nasze możliwości, rozumiecie... ski. Więc jak?

— Przysięgam! Proszę pana... Obywatelu...

— Obywatelu majorze — powiedział Michel.

— Obywatelu majorze — wyjął z szacunkiem Emil.

Wystawione spod betonu drżącą ręką podpisał kartkę, wcale jej nie czytając. Było mu wszystko jedno. Pewnie wydawało mu się, że to kieszmarany sen z którego się zaraz obudzi. Jednakże, kiedy wyszliśmy, na pewno uwierzył, że to była rzeczywistość. Musiał przecież pójść do łazienki, wykąpać się, no i zrobić coś z pościelą.

Minęły trzy tygodnie. Co drugi dzień Michel albo Muszkatulowicz wyciągał ze skrytki za telefonem ściennym w korytarzu koperty z raportami. Czytaliśmy je razem, po czym Emil dostawał sygnał — dzwonił się do niego, pani Wróblek prosiła go do telefonu — że może śłać ten materiał do Merly lub do Komitetu do Spraw Uchodźców. Sugerowaliśmy mu, żeby niektóre osoby oskarżał wręcz o uprawianie szpiegostwa, o planowanie dużych przerzutów narkotyków z Polski do zachodniej Europy — dochody miały być przeznaczone na finansowanie struktury wywiadu — i temu podobne bzdury. On pisał, myśmy robili kopie materiałów na kserokopie, i czekaliśmy na odpowiedni moment.

Nasi chłopcy zostali wezwani na rozmowę — ale tym razem już nie przez Komisarza, ani przez Merle, tylko przez cywilnych funkcjonariuszy Securité. Wzięto ich ostro w obroty. Szczególnie Antka Muszkatulowicza, na którego kazaliśmy pisać Emilowi najwięcej głupstw.

— Przyznam się do wszystkiego — powiedział Antek na przesłuchaniu — jeżeli powiecie mi, kto na mnie donosi.

— To niemożliwe — padła odpowiedź.

— W takim razie ja wam powiem.

Następnego dnia Antek wziął z sobą na przesłuchanie kopie wszystkich materiałów, wyprodukowanych przez podwójnego kapusia. Wziął także kartkę, którą kapuś podpisał. Oto treść tej kartki:

„Ja, niżej podpisany Emil...ski, oświadczam, że jestem komunistą, nienawidzę kapitalizmu oraz NATO jestem długoletnim agentem wywiadu Paktu Warszawskiego oraz UB, i oferuję moje usługi wszystkim siłom postępowym na świecie, niezależnie od maści. Dla władz belgijskich pracuję pod przykryciem, ponieważ mnie szantażują, że nie dostanę się na studia, jeżeli nie będę donosił na kolegów. Donoszę więc na nich same głupstwa, ale prawdę daję tylko na stronę komunistyczną. Prawda jest taka, że pan Merlo, przedstawiciel Polish-American Relief Committee, oraz Wysoki Komisarz do Spraw Uchodźców przy ONZ, monsieur Ukull, są agentami komunistycznymi i pobierają ogromne sumy za swoją działalność. Oświadczam, że wystosowuję w celu uzyskania stałej pracy w siłach Bezpieczeństwa Belgijskiego lub Amerykańskiego, wszystko jedno. Emil „ski”.

— Teraz proszę mnie oficjalnie przeprosić — powiedział Antek. — I właściwie, panowie, moglibyście mi postawić obiad z butelką wina. Rzecz niestychana. Dwaj agenci wzięli Antka na obiad! Podczas obiadu ryczeli ze śmiechu. Dali się nabrać wariatowi, a wydawało im się, że Emil to sensowny chłopak...

Muszkatulowicz i kilku innych, najbardziej przez Emila obciążanych, dostali azyl po tygodniu. Trzeba było jak najszybciej uciszyć, zmyć ten cholerny blamaż. Gdyby się prasa dowiedziała...

Emilowi wyjawiono całą prawdę, pokazano mu kompromitujące oświadczenie, które podpisał. Poradono mu, żeby dla własnego dobra wrócił tam, skąd przyjechał.

Nie było wyjścia. Emil wrócił do kraju. Po blisko dwudziestu latach spotykałem jego nazwisko w prasie polskiej. Został dziennikarzem Miernym, to prawda, ale na maszynie pewno pisał znacznie szybciej niż kiedyś, w Brukseli, przy rue Jourdan.

C.D.N.

Poskromienie donosiciela



Ale Antek ma coś w sobie. Zimna bezczelność połączona z niemożliwym do określenia wdziękiem. Sprawia wrażenie, jakby znajdował się w „sytuacji przejściowej”. Że te dziury w zębach, te krzywe okulary i brak mydła to wynik absolutnego nieporozumienia, które za chwilę zostanie wyjaśnione. I to właśnie przy pomocy ostrawek wyzniki.

Ekspedientka działa jak w hipnozie. Pakuje szynkę do eleganckiego pudełeczka.

— Więcej proszę — podrzuca obojętnie Antek — ja mam bardzo duże go psa.

— Jak to pies? — ona pyta.

— Skrzyżowanie bernardyna z buldogiem. Obronny, ale o złotym sercu. Uwielbia szynkę.

Pudełko waży ponad pół kilograma. Zostaje pięknie opakowane, sznurowadła z pętelką, kokardka, brakuje tylko flaszki piwa na dokładkę.

— Au revoir, madame — powiada Antek. — Do jutra. Życzę pani przyjemnego wieczoru.

Od tej pory przychodził do szynki codziennie. Panie za ładą zmieniały się, ale generalnie były w tym samym typie. Jedną poprosiła, by Antek przyszedł kiedyś z psem, chciały go koniecznie zobaczyć. Wyjaśnił, że Rex choruje. Odmawia przyjmowania pokarmu — oprócz szynki właśnie.

Kiedy wracał do pokoju z szynką, bagietką i winem, a tym tylko się odżywał, miał minę

ławce sto dwadzieścia, przysiadłem ze sztan-gą o wadze sto sześćdziesiąt. Michel jednak miał do mnie stosunek ojcowski w tej dziedzinie, ponieważ ciskał ponad dwieście obojętnie, a kuczał z jeszcze większym ciężarem, zresztą robił to wszystko w kombinacjach, przez tyle godzin, tak że na pewno przerzucił w ciągu treningu równowagę kilku wagonów z węglem. O tym właśnie potworze pomyślałem, patrząc na zatroskaną twarz Antka.

I oto, co się zdarzyło:

Następnego wieczoru, bardzo późno, kiedy Emil już zasnął po odbębnieniu kolejnego donosu, Antek wyszedł z pokoju, zostawiając drzwi otwarte. Michel wszedł do ciemnego pokoju, ja za nim. Zapaliłem światło. Michel usiadł na łóżku Emila. Facio spał, leżąc na wznak, chrapał lekko. Michel położył swoją ciężką dłoń na jego ustach, po kilku sekundach ciało śpiącego zaczęło drgać, dusił się, wlerzgał nogami, jęł. Donosił się przebudził, nieprzytomnie rozwarł oczy wlepione w twarz Michela.

Michel popuścił, Emil tyknął powietrzem z zachłystem. Nie można opisać strachu, malującego się na jego twarzy. Rzadko się widzi taki strach.

— Wy jesteście Emil...ski — powiedział zimno Michel.

— Ttt... tak.

— Słuchajcie dobrze. Mnie przystało tu po



Foto: Wojciech Glinka

„Niepokonani”, czyli „Do Kielc na szmielec”

— rozmowa z MARKIEM DRAŻEWSKIM, reżyserem filmowym.

— Jest pan laureatem X Festiwalu Filmów Społeczno-Politycznych w Łodzi. Pański film „Niepokonani”, owiane legendą, zdobył I nagrodę. Jego realizacja towarzyszyła dość dramatycznej chwili. Dlaczego wydarzenia z 1956 r.?

— Odpowiedź anegdota, która jest prawdziwa. W dzieciństwie czytałem regularnie tygodnik dla młodzieży „Piłsudczyk”. Pewnego razu ogłoszono w nim konkurs. Redakcja zwróciła się do czytelników z pytaniem: „Co byś zrobił, gdybyś miał czapkę niewidkę?” Wziąłem udział w tej zabawie i napisałem, że gdybym miał czapkę niewidkę, to pojechałbym do Budapesztu i wszyskko co bym tam zobaczył, opisałbym dla „Piłsudczyka”, żeby tygodnik mógł napisać dzieciom, jak tam jest naprawdę... Po paru dniach odwiedziło mojego ojca dwóch mężczyzn. Długo rozmawiali w zamkniętym pokoju, a kiedy wyszli, ojciec był bardzo zdenerwowany. Chciał mnie zabić, ale uciekłem na klatkę schodową. Kategorie zabronił mi pisać i kłócił się z listami do gazet i przez wiele dni nie rozmawiał ze mną. Nie bardzo mogłem zrozumieć jego reakcję, tym bardziej, że chciałem dowiedzieć się tylko prawdziwej Meliki w mojej głowie wywołał niefortunny list Engelsa do Marksa, który przeczytałem w księgarni mieszczącej się pod moim domem. Engels źle się w nim wyrażał o Polakach. Po przeczytaniu — zgłupiałem, to on tak bardzo nas nie lubi? Choć wielu rzeczy nie mogłem pojąć do czasu, ale w mnie ciekawość co się właściwie dzieje dookoła. Te ciekawość podsycało tajemnicze zniknięcie ojca mojego kolegi z ławy szkolnej i chyba te zdarzenia zacięły na moim sposobie widzenia otaczającej rzeczywistości. Cagle nurtowało mnie pytanie: a jak to jest naprawdę? Moje filmy są jakby prywatnym śledztwem w sprawach, których sam nie mogę ogarnąć rozumem. Przecież ja niczego nie wiem więcej! Poprzez zbieranie materiałów źródłowych, zestawianie faktów, zaledwie próbuję się dowiedzieć, to co mnie samego nur-

tuje. Poznańskie wydarzenia z 1956 r. długo były owiane złą milicją, chciałem rozwiązać ten rebus.

— I w 1981 r. złożył pan w Studiu im. Karola Irzykowskiego propozycję zrealizowania reportażu z odsłonięcia pomnika poświęconego pamięci poległym w tragicznym dniu 23 czerwca 1956 r. w Poznaniu?

— Tak. Koledzy ze „Studia” przyjęli moją propozycję. Znalazłem kamerę, 1500 m taśmy szesnastomilimetrowej i pojechałem do Poznania. Tam na miejscu spotkałem uczestników wypadków poznańskich. Takiej szansy się nie przepuszcza. Zebrałem około 60 godzin różnych relacji naocznych świadków z obu stron barykady. Opracowania tego materiału podjęła się Ania Czekanowicz i dzięki jej pomocy udało mi się dotrzeć do sedna. Natomiast przytomność umysłu mojego operatora Jacka Siwickiego i jego profesjonalne umiejętności

pozwoliły na zdobycie dużej części materiału obrazowego wtedy, gdy drzwi pewnej instytucji otworzyły się na chwilę... Pozostało jeszcze porozmawiać z ówczesnymi decydentami, aby przekaz był obiektywny, ale niestety... Zaden z tych, którzy mieli wpływ na wydarzenia dziejące się w owym czasie w Poznaniu, nie chciał o tym mówić przed kamerą, mimo proponowanych komfortowych warunków. Realizacja „Niepokonanych” trwała trzy lata, więc ponawiałem swoje zaproszenie przed kamerą, bezskutecznie. Ostatecznie zebrałem 3500 m materiałów z wielu źródeł, często były to podarunki od osób prywatnych, za co im jeszcze raz dziękuję.

— Czy może pan wyjaśnić, dlaczego już przed zgraniem „Niepokonanych” film został potraktowany jak odpady wytwórniane i wywieziono go na śmietnik?

— Najpierw wyjaśnienie — aby wyrzucić skrawek taśmy filmowej, winien on być opisany: co zawiera? Decyzja w tej sprawie podejmowana jest kolejno: przez reżysera, montażystę filmu, kierownika wydziału udźwiękowienia i montażu oraz szefa produkcji wytwórni. Ta nieco skomplikowana procedura uzasadniona jest tym, że produkcja filmu jest wyjątkiem bardzo drogiej i każdy kawałek taśmy — to są pieniądze... A teraz jak było. Pewnego kwietnia 1983 r. tuż po Wielkanocy, z zamkniętej szafy za korytarzem w WFD zniknęły 84 pudełka, zawierające zmontowany, przygotowany do zgrania film oraz tzw. ujęcia, które nie zostały wykorzystane w filmie — „odrzuty” i dowiedziałem się, że zostały wyrzucone na wysypisko śmieci w Kielcach. Ukulo się powiedzenie: Do Kielc — na szmielec. Dlaczego? Sam chciałem się dowiedzieć, jak to się stało?

— „Niepokonani” okazali się niepokonani, pan wygrał swój film ze śmietnika. Czy udało się odzyskać całość?

— Niestety. Ale najważniejsze, że wydobylem taśmę z nagraniem dźwięku, choć niekompletnie. Nastał miastem u siebie. Po przeko-

niowaniu zasłałem jeszcze raz z moją montażystką Małgosią Rodowicz, która cały czas podtrzymywała mnie na duchu, do montażu. To wszystko oczywiście trwało w czasie. Już (!) w marcu 1984 r. otrzymałem pierwszą kopię korekcyjną. W czerwcu gotowe były kopie pokazowe, zaś w lipcu odbyła się kolaudacja.

— I z miejsca film powędrował na półkę. Dlaczego?

— Czas był nie sprzyjający do jego wyświetlania.

— Wiele pańskich filmów miało kłopoty z rozpowszechnianiem. Pozwól sobie przytoczyć tylko niektóre tytuły: „Piekarnia mechaniczna — Arkabus i spółka”, „Indolencja”, „Program”, „Jeszcze czekam — jeszcze czeka”...

— Daleki jestem od ocen. Moim zawodem jest robienie filmów, zaś do cenzorów należy zatrzymywanie kłopotliwych obrazów. Pewnie mają swoją argumentację. W moim odczuciu siła oddziaływania obrazu filmowego jest przeceniana.

— Jakże jest dzisiaj pana samopoczucie, gdy otrzymał pan I nagrodę za film tak długo zakazany?

— Po raz trzeci różni ludzie zadają mi dzisiaj to pytanie. To nie jest mój dyktando. Dla mnie nie ma w tym nic frapejącego. Jest to uhonorowanie ogromnego wkładu pracy moich przyjaciół, którzy wraz ze mną ten film zrealizowali. Festiwal był jedną z niewielu okazji, gdzie film mógł się spotkać z publicznością. Mimo że decyzja Urzędu Kinematografii film jest skierowany do szerokiego rozpowszechnienia, boją się, że nieprędko będzie można go zobaczyć w kinach. Producent — Studio im. K. Irzykowskiego nie ma skąd wziąć pieniędzy na przekopiowanie „Niepokonanych” na taśmę 35-milimetrową. W tej chwili film istnieje w jednej kopii... Jak wielkim jestem optymistą może świadczyć fakt umieszczenia już w roku 1983, w końcowych napisach planu: Rozpowszechnianie: Centrala Rozpowszechniania Filmów w Warszawie. Już wtedy uważałem, że niewpuszczenie takiego filmu na ekran, to jest związany sabotaż polityczny wobec własnego narodu, zabranie dialogu o którym się wtedy tak wiele mówiło. To wszystko, co mam do powiedzenia.

— Dziękuję za rozmowę.

IWONA NIEMIEC-ADAMSKA

A może do kina?



Fakty ♦ Plotki ♦ Anegdotki

▲ 26 listopada w Berlinie Zachodnim wręczono po raz pierwszy Europejskie Nagrody Filmowe — European Film Award, odpowiedniki Akademii Film Award, czyli amerykańskich Oscarów. Tak więc nagrody, o które zabiegał Volker Hassemer, senator do spraw kulturalnych Berlina Zachodniego stały się faktem. W Komitecie organizacyjnym zasiada także przedstawiciel Polski — Jerzy Kawalerowicz zaś wśród siedmioosobowego jury złożonego z szanowanych osobistości światowego kina, zasiadają zaproszony Krzysztof Zanussi. Obok wielu wybitnych dzieł filmowych z całej Europy do nagrody kandyduje „Krótki film o zabijaniu” Krzysztofa Kieślowskiego. Nagrodą be-

dzie 50-centymetrowej wysokości rzeźba autorstwa prof. Markusa Lüperta o nazwie „Młody geniusz broniący wolności”. Obok tej nagrody przyznana zostanie także Nagroda Specjalna dla „szczególnie zasłużonych dla kultury europejskiej artystów kina”. Wśród kandydatów m.in. Ingmar Bergman i Andrzej Wajda.

▲ W warszawskiej Wytwórni Filmów Dokumentalnych i Fabularnych Zbigniew Kowalewski realizuje pełnometrażowy film o Violetcie Villas, jej życiu prywatnym i publicznym — poczynając od dzieciństwa aż do ślubu z Tadeuszem Kowalczykiem.



Masz temat dla reportera?
Coś cię drażni, niepokoi,
szlag cię trafia — podnieś
słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Na Twój telefon czekają redaktorzy:

17 listopada — JERZY KWIECIŃSKI — godzina 10—15

24 listopada — PAWEŁ TOMASZEWSKI — godzina 10—15

SPRAWOZDANIE Z DYŻURU REPORTERSKIEGO Z 10 LISTOPADA 1988 R.

Pierwszy telefon i od razu wystrzałowy. Dostawca. Pan Roman Kalinowski proponuje, aby, cytując: „dworzec PKS w Bełchatowie wystrzelać”. A powody tak radykalnych propozycji są następujące: co drugi kurs do Łodzi i do Piotrkowa jest spóźniony. Panowie dyspozytorzy uznali, że 15 min. spóźnienia przynależą do przepisów i tak informują podróżnych. W innych kierunkach nie jest aż tak źle, bo tam się jeździ po świnki i kaszankę i gdyby pan kierowca się spóźnił, to — rzecz jasna — nie otrzymałby wcale lub w innym wymiarze wymienionych wiktuałów. Poza tym, na dworcu w Bełchatowie, jako chyba jedynym w naszym kraju pobiera się dziesięciopięciową opłatę za pisuar.

O 11.55 zadzwonił pan Tadeusz Mileczarek z ul. Sienkiewicza 2 i zapostulował aby ul. Wschodnią (w Łodzi) nazwać Piłsudskiego. Poza tym opisał stan kamienicy, w której mieszka, krótko i barwnie: „to jest skandal, jak Żyd właściciel zostawił, tak jest do dziś”. Nie dodał.

12.04. Pan Wacław Dobrynin porusza bardzo ważny i niełatwy problem: pan minister Wilczek zamyka duże zakłady, dlatego nie zamyka się widzowskich azbestów (o nich pisałem w „Odgłosach”), gdy w strefie obowiązującej jako chroniona — a wynosi ona 1,5 km — są

szkoły i przedszkola. A co dodaje pikanterii całej tej skandalicznej sprawie: tuż obok jest fabryka leków — i to jakich? — nasercowych rzecz jasna, które nasycą się tymi wyziewami azbestowymi, a toż to rakotwórcze!!!

Pan Dobrynin przedstawił jeszcze inne postulaty, z nie wszystkimi się zgadzamy, ale gwoździ sprawiedliwości społecznej i demokratycznej gwarancji przedstawiania różnych punktów widzenia je prezentujemy:

— zlikwidować III program Polskiego Radia

— osobom nietrzeźwym nie płać za ich leczenie

— nie płać paniom żadnych pieniędzy od drugiego dziecka (tu musimy przyznać, iż nigdy byśmy nie wpadli na taki pomysł i nie spodziewaliśmy się podobnej propozycji — skąd tyle złości panie Wacławie?)

— nie powinno się dawać rozwodów ludziom, którzy mają dzieci niepełnoletnie, niepełnosprawne... Wszyscy wiemy, co się z tym kryje.

Uff, widzą Państwo, że dużo tych poważnych problemów jak na jedną dziennikarską lepetynę. Poszedłem więc na herbatkę. Nasza uroczysta (kto nie wierzy, niech sprawdzi) pani Bogusia robi znakomita.

13.03. Dzwoni pani Barbara Markiewicz: szlag ją trafia z powodu stypendiów. Jej córka, a ma dwie, Iza dostaje 10.800

zł, gdy jedyne dziecko taksówkarza i kierowniczkę (choć nie wiemy czym kieruje w odróżnieniu od męża) otrzymuje 13 tys. zł.

13.07. Pani Teresa Zielińska pyta dlaczego likwiduje się Muzeum Literatury. Pani jest emerytowaną nauczycielką, nie dziwnego, że ten problem ją interesuje.

13.12. Z Warszawy dzwoni pani Barbara Lewandowska. Cieszymy się z pytania, jakie zadaje. Pyta Pani dlaczego nie można kupić „Odgłosów” w Warszawie. Twierdzi, że w stołecznej jest głód wiedzy o Łodzi. Nie dziwny się, ponieważ Warszawa składa się z dużej części z łódzian. Poza Jerzym Waldorem.

13.18. Pani Violetta Kowal prosi, w imieniu lokatorów bl. 404 os. Radogoszcz Wschód, aby nie zostawić suchej nitki na ADM. Robię to z przyjemnością. A pani o to prosi dlatego: przez 1,5 roku nie mają ludzie ciepłej wody. Za co płać pieniądze. Ja bym ich, to co proponował pan z telefonu pierwszego.

13.32. Pani ze wsi Goleśze nie może w swojej miejscowości kupić prasy. Do Piotrkowa lub Tomaszowa (bo mieszka pomiędzy) jest 20 km. Gdyby nie radio i TV, nie wiedziałaby co się dzieje na świecie.

13.40. Pan Rutkowski zgłasza roszczenie na kołnier: zarządzeniem ministra obniżono cenę nawozów sztucznych. No a jak to się ma do rzeczywistości? Superfosfat w workach jest przywalony workami innego nawozu, oczywiście droższego, i nie sprzedaje się go, póki ten z góry nie będzie upłynięty. A Superfosfat potrzebny (to inny gatunek) nie może być na razie sprzedawany, bo nie dotarli jeszcze rachunki. Ludzie w kolejce stoją i klną na socjalizm, a nie na konkretnego mafiosa.

Dziękuję Państwu za telefon i zapraszam na następną spotkanie.

MAREK KOPROWSKI

30 lat filmu — legendy

„Popiół i diament” miał premierę 3 października 1958 r., a więc trzydzieści lat temu. Film — legenda, o którym René Clair powiedział, że jest jednym z największych wydarzeń w kinematografii światowej. Dzieło, które wykreowało swych twórców: Jerzego Andrzejewskiego, Zbigniewa Cybulskiego i Andrzeja Wajdę.

Wiele innych pamiątek związanych z filmem zaprezentowano na wystawie z okazji rocznicy premiery, a zatytułowanej „Popiół i diament — Andrzejewski, Cybulski, Wajda”. Na otwarciu wystawy pojawili się dwaj żyjący spośród czterech wymienionych twórców. Reżyser przyjechał wojskowym Wilys'em (jak w pierwszych scenach filmu) w towarzystwie dyrektora Muzeum Kinematografii Antoniego Szrama i zastępcy Mieczysława Kuźmickiego. Tam, oprócz tłumy studentów i starszej publiczności, czekał biały koń. Wajda nie przejechał na niego gdyż odległość od krawężnika do mikrofonu równała się mniej więcej długości konia. Wystawę urządzono w pomieszczeniach galerii Szkoły Filmowej przy ul. Piotrkowskiej, a firmowało ją znakomicie działające Muzeum Kinematografii.

Kilka godzin przed otwarciem wystawy odbyło się spotkanie z Andrzejem Wajdą w ka-



Foto: Grzegorz Gałasiński

wiarni Centrum Informacji Kulturalnej „W Piwnicy” przy ul. Ludwika Zamenhofa, miejscu coraz atrakcyjniejszych propozycji artystycznych. Młodzież, która szczególnie wypełniła salę, czekała cierpliwie ponad godzinę na reżysera, który jechał do Łodzi z Warszawy. Zanim zarzucano Wajdę pytaniami, czekała nań niespodzianka. Oto, po raz pierwszy publicznie, aktorzy łódzcy (Ryszard Mróz, Bogdan Graczyk i Dymitr Holówko) przeczytali fragmenty książki pt. „Opowieści Filmówki”, według historii Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej im. Leona Schillera w Łodzi, napisanej przez Krzysztofa Krubskiego, Marka Markiewicza, Marka Millera, Waldemara Wiśniewskiego i Zofię Turowską. Jest to kolejna, ważna publikacja łódzkiej Pracowni Reportażu, która kieruje Marek Miller. Książka ta opowiada historię Filmówki ustami jej najwybitniejszych absolwentów i profesorów, a my jesteśmy pierwsi, którzy informują Czytelników o jej powstaniu. Radzę już zacząć się na tę publikację, będzie to bowiem bez wątpienia bestseller czytelnicy. Z góry jednak szkoda, że nakład nie będzie zbyt wielki.

Zapytany, jakich swoich filmów się wstydzi (bo powiedział parę minut wcześniej, że są takie), odpowiedział ze śmiechem: „O, do takich wspaniałych nie dojdzie”. Czy wśród młodych reżyserów widzi pan swego następcę? — tak brzmiało inne pytanie. Jest kilku bardzo zdolnych młodych reżyserów. Są oni lepsi niż my, kiedyś zaczynali. Jednak zdecydowanie najzdolniejsza jest Agnieszka Holland — odpowiedział Wajda. Późno, oczywiście, pytanie o plany artystyczne. Może będzie to praca nad filmem o doktorze Korczaku, według scenariusza Agnieszki Holland, na pewno zaś wywiedzie do Tokio, gdzie będzie reżyserować sztukę na dwie osoby pt. „Nastazia Filibowna” — ostatnie sceny „Idioty” Dostojewskiego, gdzie jeden aktor będzie grał dwie role: męzczyznę i kobietę.

A później już tylko kwiaty i autografy.

MAREK KOPROWSKI



• polemiki • listy • opinie • polemiki • listy • opinie •

REKOMENDACJA

Rekomenduję osobom zainteresowanym przeszłością Łodzi nowe czasopismo „Rocznik Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego w Łodzi”, którego pierwszy tom za 1987 r. opuścił niedawno prasy drukarskie. Dobrze się stało, że Muzeum — ważna placówka aktywnie uczestnicząca w edukacji historycznej społeczeństwa Łodzi — zdecydowała się na uchylenie tajników organizacji stałych i czasowych wystaw organizowanych w jego murach oraz na publikację wyników badań nad przeszłością miasta. Dzięki bogatym zbiorom (ponad 5000 archiwaliów, 8000 materiałów ikonograficznych i blisko 2500 eksponatów muzealnych) organizowane są tak interesujące wystawy jak np. stała ekspozycja „Ruch robotniczy 1821—1907” czy wystawy czasowe, częściowo zadokumentowane w „Roczniku”, ciesząca się dużą frekwencją wystawa „Polski Orzeł Wojskowy” czy „Łódzkie tramwaje w okresie okupacji hitlerowskiej”.

W dziale „Studia i materiały” przedstawiono kilka rozpraw, napisanych przez pracowników Muzeum, np. R. Iwanickiego „Kwestia narodowa w programach polskich socjalistów do 1903 r. — próba systematyki”, H. Mikulę i B. Natarskiej „Działalność byłych organizacji młodzieżowych”, H. Bilińskie „Młodzieżowy wycieczny program”. W dwóch artykułach (K. A. Czernielewskiego i A. Kasperskiego) autorzy przedstawili metody pracy współczesnego muzealnictwa, w której coraz bardziej dochodzą do głosu różnorodne środki audiowizualne, programy „światła i dźwięku”, umiejętność wykorzystania barwy dla celów wystawienniczych. Dziwi oddzielenie tych dwu pokrewnych sobie artykułów siedmioma tekstami poświęconymi zgoła innej problematyce; domniemywać można, że ostatni artykuł zgłoszony został do druku już w trakcie procesu wydawniczego.

Na wstępie do „Rocznika” wspomniano o znajdujących się w stadium organizacji nowych oddziałach Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego: Muzeum Ruchu Młodzieżowego i Muzeum Wojskowego Łodzi i Polski Środkowej, których przedsięwzięcia są już sygnalizowane w treści „Rocznika”.

Niewielki, zaledwie 300 egz. liczący, nakład czasopisma ograniczy zapewne zasięg jego oddziaływania, niemniej jednak nadzieję, że „Rocznik” znajdzie należne sobie miejsce na mapie kulturalnej naszego miasta.

ANDRZEJ KEMPA

STAŁEM POD POŚREDNIKIEM

Postanowiłem! W poniedziałek idę pod „pośredniak”. Zwolniłem się z jednej pracy, mam 3 miesiące na znalezienie następnej, popracuję w tym czasie dorywczo. Nieraz już obijało mi się o uszy, że na pracach dorywczych spod „pośredniaka” można nieźle wyżyć.

Tremę mam już w niedzielę wieczorem. Nigdy pod „pośredniakiem” nie stałem. Na wszelki wypadek przygotowałem stare spodnie, koszulę, buty wyciągnięte z komórek, bo a nuż trafi się od razu „fucha”?

Poniedziałek. Obudziłem się już o 4.30. Poćnerwowanie daje jednak o sobie znać. Pod „pośredniakiem” jestem ok. godziny 7.00. Z daleka widzę już pierwsze grupki stojących. W sumie jest około 30 osób. Większość stoi w grupkach 3—4 osobowych, widać znają się, pozostali pojedynczo. Kilku z ciekawością na mnie spojrzano. Czyżbym wyglądał na faceta poszukującego pracowników? Nie! Zrażony jednak, podchodzę pod płot, stawiam na ziemi teczkę, zapalam papierosa i w nonszalanckiej postawie z ręką w kieszeni ustawiam się w jednej linii z pojedynczo stojącymi. Jestem już jednym z nich.

Wiek facetów różny. Najmłodszy wygląda na 20 lat (później przyglądnę do niego pseudo „małolat”), najstarszy gdzieś 55. Wiele ubranych w bardzo stare, nieraz kilkunastoletnie ubrania. Widać, że zarobionych pieniędzy nie wydają na poprawę swojego wyglądu. Niektóre twarze nie ogolone, na wielu widać ślady kilkudniowych libacji. Ludzi ciągle przybývá.

Dochodzi 7.30. Chętnych do pracy „staczej” jest już ok. pięćdziesięciu. Z poszczególnych grupek dobiegają mnie szczerki rozmów. Wszystkie dotyczą sobotnio-niedzielnich przeżyć. Nie spodziewanie cały ten zgłęb zawiąza w powietrzu. Większość udaje się w kierunku ulicy A. Struga, niektórzy prawie biegną. Zatrzymują się i zwracają kołem otaczając stojącego częściowo na chodniku „Poloneza”.

Krótką rozmowa z siedzącym w samochodzie facetem, mała przepychanka i dwóch z uśmiechem szczęścia wsiada. Pozostali wracają na swoje miejsca i szum monotonna rozmów powraca. Dociera do mnie, że tych dwóch „zapalało się” do rozdawania worków z wapnem. Po 1000 zł za tonę. Podobne sytuacje powtarzają się co kilka minut.

Kilkanaście minut po ósmej obserwuję dziwne zjawisko. Z poszczególnych grupek „urywa” się po jednym lub dwóch facetów, za kilka minut wracają, zabierają ze sobą pozostałych, wszyscy udają się w kierunku ul. Zielonej i za następnych parę minut w komplecie wracają. Niektórzy na wyraźnym „rauszu”. Co jest? Sądząc po walce, jaką toczy się o miejsce w samochodzie wszyscy groźnym nieśmierzdzą; a tu naraż mają na wódkę, i to po zawyżonych cenach. Jak się później dowiedziałem nie była to wódka, lecz tak zwane „wynalazki” albo „fikołki”. Czyli inaczej wyciąg z rumianku o nazwie „azulan”, inny wyciąg „herbogastrin” albo zwykłe krople żołądkowe. Można to kupić w aptekach, 100-gramowa buteleczka kosztuje 20—30 zł. Podobno facetowi, który systematycznie pije „wynalazki” 2 buteleczki wystarczą, żeby wejść na duże „obroty”, 3 to „gleba”.

Czeszotliwość podjeżdżających samochodów jakby spadała. Zauważyłem jednak, że wielu potrzebujących pracowników parkuje za „pośredniakiem” i przychodzi pieszko poszukiwać chętnych. Przypalam następny papierosa i obserwuję dalej. Część „staczej” dyskutuje dalej, część spaceruje w tę i z powrotem, grupki zwolenników „wynalazków” w ciągłym ruchu. Kilku jest już kompletnie pijanych.

Naraz wszystko zamiera. Pod „pośredniak” podjeżdża lśniący nowocześnie „Nissan Sunny”. Kilku ludzi doświadczenie biegnie żeby być pierwszymi przy tej bramie szczęścia. W połowie drogi zatrzymuje ich głos lysego „stacza”.

— Dokąd k...wa biegniecie! Samochód mu przewróćcie! Jak nie macie na chleb, to wam dam!

„Lysego” najwraźniej usiłuje trzymać porządek. Ale jak tu nie biec, skoro w kieszeni nie ma na suchą bułkę, kac straszliwy i czas ucieka? Facet jednak zatrzymują się. Widać boją się „lysego”. Podchodzą tni, krótka rozmowa, trzech odjeżdża. Dochodzi już dziesiąta. Jeden od „wynalazków” leży pod płotem do nieprzytomności pijany. Na szczęście jakiś kumpel podnosi go i prawie niesie w kierunku ul. Zielonej.

Naraz zupełnie niespodziewanie zauważyłem, że stoję sam! No może niezupełnie. Oprócz mnie jeszcze 7—8 pojedynczych postaci. Reszta zniknęła. Za sekundę sprawa się wyjaśnia. Pod „pośredniakiem” przechodzi 3-osobowy patrol milicyjny. Ci, co zniknęli, musieli być „trefni”. Po przejściu patrolu bracia „staczej” wraca szybko do okolicznych bram na swoje stanowiska.

Dochodzi godzina 12. Staczej coraz mniej. Część po prostu zrezygnowała, bo doszła do wniosku, że nikt już nie przyjedzie, część to była tak pijana, że nie nadawała się do żadnej pracy. Pozostało nas około 20 osób. Postanawiam stać do 13. Wypalam kolejnego papierosa, gdy nagle staje przede mną modnie ubrany ok. 50-letni jegomość.

— Pan szuka pracy? — pyta uprzejmym tonem.

— Owszem, proszę pana — odpowiadam również grzecznie. No i znalazłem tego dnia pracę, która trwała w sumie go-

dzinę. Za wniesienie na drugie piętro 20 worków z gipsem dostałem 2 tysiące zł. Dobry początek!

Od następnego dnia zacząłem regularnie udawać się pod „pośredniak”. Pracowałem różnie. W pojedynkę i w większych grupkach, w zależności od zapotrzebowania i „zapalania się”. Nieraz było i tak, że przez cały dzień nie znalazłem żadnego pracodawcy. Mało było takich dni, ale zdarzały się. W każdym razie za dnie, które pracowałem średnia dziówka wyniosła ok. 3.200 zł. Przez 23 dni robocze (tyle pracowałem) zarobiłem 73.100 zł. W jakim społecznym łódzkim zakładzie pracy tyle zarobisz?

Prawie miesięczne „byłowanie” pod pośredniakiem umożliwiło mi odpowiedź na 3 interesujące chyba wszystkich pytania.

1. Jakiego roboty można „zapać” pod „pośredniakiem”? Bardzo różne. Od łapania kogutów (był taki klient), poprzez najróżniejsze prace porządkowe i ogrodniczo-sadownicze, za i rozdawnictwo do pomocników i fachowców wszelkich zawodów budowlanych. Rodzynkami są szybkie „fuchy” przeprowadzkowe, gdzie oprócz godziwego zarobku można dostać sporego kielicha.

2. Jak płacą pod „pośredniakiem”? Nie licząc przypadków skrajnych (bardzo niskich propozycji) zdecydowanie odrzucających przez „staczej” można powiedzieć, że stawki kształtują się od 200 złotych do 8 tysięcy.

3. Kto stoi pod pośredniakiem? Krąży opinia, że głównie wszelakiego typu lumpy i typy spod ciemnej gwiazdy. Jest to prawda częściowa. Stanowią oni grupę nie większą niż kilka procent ogółu stojących. Ale są grupą najgłośniejszą i to oni kształtują opinię o pozostałych. Zdecydowana większość to zwykłe lekkoduchy, ludzie, którzy nie chcą być na stałe związani z żadnym pracodawcą, lubią pracować, kiedy chcą i są w większości bez konkretnych zawodów. Niestety, 80 proc. wszystkich stojących, to alkoholicy, z czego co najmniej 50 proc. to amatorzy „wynalazków”. Bardzo ciężko, nieraz zarobione pieniądze są błyskawicznie przepiętane, stąd w wielu przypadkach te prawie zerowe, kilkunastoletnie ubrania. Wreszcie na palcach można policzyć ludzi, którzy normalnie pracują, a w wolnych chwilach przychodzą pod „pośredniak” po prostu dorobić. Czynią to w czasie urlopów albo kiedy pracują na trzecią zmianę.

R.R.

ŚMIERTELNA KĄPIEL DZIADKA

List, opublikowany w 46 numerze „Odgłosów”, a napisany przez sąsiadów zmarłego Dziadka nadszedł z dużym opóźnieniem — ponad miesiąc po ukazaniu się artykułu, co wydaje mi się sprawą nieco dziwną. Bez względu jednak na powód — zarzuty zawarte w liście zasługują na wyjaśnienie.

Przed wszystkim pragnę stwierdzić, że z całym szacunkiem odnoszę do ludzi, którzy, widząc cudze nieszczęście, starają się pomóc — nie mając ani prawnego, ani nawet moralnego obowiązku udzielania takiej pomocy. Zasługują na uznanie tym bardziej, że świadczą taką pomoc — jak sąsiedzi Dziadka — nie oczekując żadnych korzyści osobistych, trudno bowiem za taką korzyść uznać 3000 zł wynagrodzenia, wypłacane jednej z nich.

A teraz do konkretów: nazwiska osób udzielających mi informacji w tej sprawie nie ujawnię, nie zostalam bowiem do tego upoważniona, tym niemniej nie należy wątpić w ich rzetelność. Kto — z urzędu — i w jaki sposób próbował udzielić Dziadkowi pomocy, jakie były efekty tej działalności — można sprawdzić, istnieją bowiem dotyczące tej sprawy dokumenty urzędowe. Wynika z nich jasno, że Dziadek pomocy sobie nie życzył, w każdym razie tak, jak proponowali mu powołane do opieki nad starcami, samotnymi ludźmi instytucje.

Prawda jest, że w artykule nie zostało wymienione PCK, jako jedna z instytucji, opiekujących się Dziadkiem, i to, jak wynika z listu, z najlepszym skutkiem. Jest to wynik mojego nieodpatrzenia — informacje zbierałem w innych instytucjach, których przedstawiciele, co zrozumiale, mówili przede wszystkim o własnej roli w tej sprawie.

Czy informacje o warunkach, w jakich żył Dziadek, zawarte w artykule są nieprawdziwe? Ależ nie! Czy „złotego skarbu” w jego szafie nie było? Był! Rozbieżności między moim tekstem a listem dotyczą jedynie daty jego odkrycia, co nie zmienia faktu, że Dziadek, po splenieniu zasobów, wcale nie musiał żyć w nędzy.

O przewoźniku Dziadka do szpitala zadecydował lekarz, a nie sąsiedzi. — Oczywiście. Sąsiedzi nie są uprawnieni do takich decyzji, na szczęście.

I wreszcie sprawa, jak sądzić, najważniejsza: czy Dziadek żyłby jeszcze, gdyby nie energiczne interwencje sąsiadów i wynikiłoby z tego, większe niż w wielu innych przypadkach zainteresowanie instytucji PCK, PKPS, Ośrodka Opiekuna Społecznego? Mimo długiego, jak sądzę zastanawiania się nad tekstem listu, sąsiedzi podpisani pod nim nie zwrócili uwagi na taki drobny, jak znak zapytania. Może by był — a może i nie, może umarby wcześniej, głodny i w brudnym barłogu. Przypnę, że sformułowanie „Dziadek... przypłacił życiem swoją niezależność” jest dość kategoryczne, służyło mi jednakże nie — jak imputują autorzy listu — do oskarżenia życiowych sąsiadów — a jedynie do bardziej wyraźnego podkreślenia tego, co chciałem w artykule powiedzieć: każdy ma prawo do decydowania o sobie, nawet, jeśli inni uznają, że powinienem żyć inaczej, a zwłaszcza — każdy powinien mieć prawo do godnego umierania. Godnego — w tym przypadku oznacza: na własnym, brudnym barłogu, a nie w szpitalu, mimo iż tam łóżko jest czyste, a trzy ciepłe posiłki dziennie zagwarantowane.

Nadal uważam, że wokół sprawy Dziadka powstało za wiele szumu. Chcę wierzyć, że wynikało to nie z czegoś innego, jak tylko z dobrych intencji sąsiadów, z chęci przyścia z pomocą staremu człowiekowi. Pozostaje mimo to przy swoim zdaniu, że są przypadki, kiedy lepiej pozostawić sprawę własnemu biegowi, pozwalając spokojnie i właśnie godnie umrzeć temu, komu za wszelką cenę chcemy pomóc. Dlatego słowa „przepraszam” nie będzie. Nie będzie również — w każdym razie z mojej inicjatywy — żadnych konfrontacji ani dalszych wyjaśnień, a jeśli autorzy listu czują się nieusatysfakcjonowani, mogą skorzystać z przysługujących wszystkim obywatelom uprawnień i zwrócić się o satysfakcję do sądu.

TERESA JERZYKOWSKA

OD REDAKCJI: W naszej pracy staramy się kierować „Prawem prasowym” i dlatego zgodnie z jego art. 32 pkt. 6, który głosi, że „tekst sprostowania nie może być komentowany w tym samym numerze; nie odnosi się to do odpowiedzi”, list grupy Czytelników potraktowaliśmy jako odpowiedź i wydrukowaliśmy bez ustosunkowania się do niego autorki. Odpowiedź Teresy Jerzykowskiej drukujemy dopiero w następnym numerze — czyli obecnie.

To samo „Prawo prasowe” chroni informatorów przed ich ujawnieniem, jeśli tego sobie nie życzą. Art. 12 pkt. 1 stwierdza, że „Dziennikarz jest obowiązany (... 2) chronić (... 3) interesy działających w dobrej wierze informatorów i innych osób, które kierując się dobrem społecznym okazują mu zaufanie”. Zatem Teresa Jerzykowska ma prawo nie ujawniać nazwisk swoich informatorów.

TRZY PYTANIA DO WYDAWNICTWA ŁÓDZKIEGO

Z uwagi na to, że zależy mi na publicznym charakterze tej wypowiedzi — pozwalam sobie prosić o ewentualne wydruko-

wanie trzech pytań pod adresem Wydawnictwa Łódzkiego. Oto one:

1) czy wydawnictwo w ostatnim okresie miało wiele pozycji chybionych, do których musiało dołożyć, jeśli tak — to dlaczego?

2) jak się ma wartość (koszt) towaru, którym bądź co bądź jest w tym przypadku książka, do jego ceny?

3) jak się stało, że za 191 stron druku „Moich pierwszych bojów” J. Piłsudskiego — wydanie I, 1988 r., oprawa kartonowa, jak sądzę bez honorariów autorskich — ustalono cenę 7,50 zł?

Myślę, że sensu i celu tych pytań nie muszą rozwijać. Chyba, żeby wszystko przyrównywać do urzędowej ceny gorzalki, to i tak jest tanio.

W. AFELT

OD REDAKCJI: Prośbę spełniamy, ale nie wydaje się nam, aby tak sformułowane pytania do czegośkolwiek prowadziły. Sytuacja książki w Polsce nadal jest nienormalna. Czy ewentualna odpowiedź Wydawnictwa Łódzkiego ją zmieni? Tym niemniej chętnie udostępnimy łamy, chociaż naszym zdaniem na ten temat powiedziano już wystarczająco dużo. Czas nadszedł na odpowiednie decyzje.

JESZCZE RAZ O LWOWSKIEJ NEKROPOLII

Chciałbym dorzucić kilka informacji do artykułu „Smutek Lwowskiej Nekropolii”, jaki ukazał się niedawno w „Odgłosach”.

Cmentarz we Lwowie odwiedziłem w 1984 r. oprowadzany przez przemiego prof. Grajewskiego, społecznego przewodnika polskich turystów, niegdyś harcerza, obrońcę Lwowa z 1918 i 1920 roku. Cmentarz Orlat Lwowskich znajduje się już za właściwym murem starego Cmentarza Łyczakowskiego, na stoku wzgórza opadającego malowniczo w kierunku miasta. Na szczycie, to nie jest prawda, że nie ma już żołnierskich grobów. Są one ukryte pod metrową warstwą piachu. Miejscami piach został rozmyty i rozjeżdżony i odsłania fragmenty obramowań grobowych. Zasypanie piachem stwarza na szczęście, wbrew intencjom wykonawców, możliwość częściowej choćby restauracji Narodowej Nekropolii.

Do kaplicy znajdującej się za mauzoleum — obecnie zakładem kamieniarskim autor nie mógł się dostać. Nie dziwię się. Mieści ona ubikację kierownika zakładu! — Bez komentarza.

W roku 1984 główna kolumnada postrzelana czołgowymi pociskami i z pozrywanymi tablicami nadal jeszcze stała. Jeśli jej już nie ma — to strata niezmierna. Za kolumnadą, na skraju skarpy, leży najcieplej jeszcze zachowany rząd grobów Orlat Lwowskich zmarłych w latach późniejszych.

Nie wiem, ilu Polaków to jeszcze pamięta, ale cmentarz ten oraz Plac Saski w Warszawie były w roku 1938 widownią największych chęba w naszych dziejach uroczystości pogrzebowych i patriotycznych. To właśnie lwowski cmentarz Orlat łosowania wybrany został jako miejsce, z którego ciało poległego przeniesiono do Grobu Nieznanego Żołnierza w Warszawie. Zjęcia z przedwojennej prasy przechowywane pieczołowicie przez prof. Grajewskiego uświadomiły mi, jak ogromną skalę miały te uroczystości zarówno we Lwowie, jak i w Warszawie.

Gruba granitowa płyta, którą położono na lwowskim cmentarzu z tej okazji, znajduje się obecnie bardzo blisko głównej bramy na grobie rosyjskiego lekarza. Na czołowej ścianie płyty, od strony głowy, widać jeszcze ślady po odcraconych literach: „Nieznany Żołnierz”.

JACEK MARKOWSKI

PS. Prof. Grajewski — jeśli jeszcze żyje — czeka zawsze na polskich turystów w katedrze, pod chórem, co godziny 11.

WYDZIAŁ KOMUNIKACJI WYJAŚNIA

W odpowiedzi na przesłany materiał krytyczny zawierający uwagi dotyczące ograniczenia prędkości na ul. Kasprzaka (odc. Gan-iego — Powstańców Wielkopolskich, Urząd Miasta Łodzi — Wydział Komunikacji wyjaśnia co następuje:

— Projektowana i wykonana pod koniec lat pięćdziesiątych jako ulica osiedlowa ulica Kasprzaka stała się jedną z wielu arterii o dużym znaczeniu komunikacyjnym łączącym dwie dzielnice naszego miasta (Polesie z Bałutami). Istniejące parametry jezdni ograniczają przepustowość ulicy z jednej strony, zaś konieczność obsługi komunikacyjnej tego rejonu składających się głównie z osiedli mieszkaniowych oraz placówek handlowo-usługowych nie pozwala na wycofanie (całkowite) pojazdów ciężkich (autobusów MPK, pojazdów zaopatrzonych lub ograniczonej dostępności tego rejonu (np. w określonych godzinach).

— Jak dowodzi praktyka poprawa przepustowości można uzyskać również przez podwyższenie prędkości, co jednak może po- ciągnąć za sobą pogorszenie bezpieczeństwa ruchu.

— Sytuacja taka wymaga więc posunięć kompromisowych w zakresie organizacji ruchu (działania modernizacyjne tej drogi przy istniejącej zabudowie są w chwili obecnej niemożliwe). Z tego też względu tut. Wydział jako zarządzający ruchem na drogach publicznych wprowadził na ul. Kasprzaka (odc. Srebrzyńska — Lutomska) zakaz wyprzedzania.

Wprowadzenie ograniczenia prędkości (za wyjątkiem rejonu przystanków w rejonie skrzyżowania z ul. Drewnowską) jest niecelowe. Dodać tu należy, że nadmierne ograniczenie prędkości (a więc i płynność ruchu) powoduje naruszenie rygorów ustanowionych dla jego bezpieczeństwa. Dzieje się tak wtedy, gdy ograniczenie zaczyna przeczyć społecznemu pożytkowi lokomocji drogowej. Kierowca napotykać znaki pozbawione uzasadnienia traci zaufanie do znaków sytuacyjnie umotywowanych i przestaje traktować je serio. Powstaje wówczas zagrożenie bezpieczeństwa ruchu.

— Dzięki temu, że nadesłane uwagi liczymy na dalszą owocną współpracę w zakresie usprawnienia ruchu na terenie naszego miasta.

mgr inż. HENRYK WILK

TELEFON 36-77-70

W odpowiedzi na wasze pismo z dnia 1988-08-30 dotyczące nieczynnych punktów w okolicach ulic Nowotki i Źródłowej RSW „Prasa-Książka-Ruch” oddział Śródmieście w Łodzi ul. Zamenhofa 10 informuje, że punkt nr 19 przy ul. Nowotki 93 jest nieczynny ze względu na chorobę sprzedawcy (przewidziany termin otwarcia 1988-10-10), natomiast punkt nr 20 przy ul. Nowotki 84 nieczynny jest z powodu braku obsady.

Czynimy wszelkie starania zmierzające do szybkiego uruchomienia nieczynnych punktów, niemniej poważnie znana sytuacja na rynku pracy nie sprzyja w rozwiązywaniu tegoż problemu, również niekorzystnego dla nas jak dla naszych klientów

ZDZISŁAW BUBAK

REALIZATORZY „KOPCIUSZKA”

Pożny, jak zawsze, choćliki drukarski nabił w poprzednim numerze sporo zamieszania w metryczce do recenzji z baletu „Kopciuszek” w Teatrze Wielkim, żeniąc przez pomysł dwóch panów dożgonnym wzięciem małżeńskim. Właściwe brzmienie spisu realizatorów przedstawienia jest następujące. Choreograf — Irina Fokina, kierownictwo muzyczne — Aleksander Tracz, scenografia — Xymena Zaniewska-Chwedeck, Mariusz Chwedeck.

Zainteresowanych i Publiczność przepraszamy.



CZY WIESZ, ŻE KAŻDY Z NAS, CHOĆBY NIEUMYŚLNIE, MOŻE STAĆ SIĘ SPRAWCĄ SZKODY LUB BYĆ ZA NIA ODPOWIEDZIALNYM?

Oto przykłady:

- właściciel działki, którego pies dotkliwie pogryzł dziecko
- właściciel nieruchomości przed którego posesją, na obłożonym chodniku przechodzień przewrócił się, doznając obrażeń ciała
- rodzice dziecka, które porysowało ostrym narzędziem karoserię samochodu stojącego przed blokiem
- lekarz, który popełnił błąd w sztuce lekarskiej
- pielęgniarka, która nieodpowiednio wysterylizowanymi narzędziami spowodowała infekcję u pacjenta
- nauczyciel, który nie wypełnił obowiązku nadzoru nad uczniami w czasie wycieczki, w wyniku czego jedno z dzieci uległo wypadkowi.

W TAKICH I WIELU INNYCH PRZYPADKACH POSZKODOWANI MOGĄ ZADAĆ NIEJEDNOKROTNIE BARDZO WYSOKICH ODSZKODOWAŃ.

W KŁOPOTACH MOŻE POMÓC PZU PROPUKUJĄC zawarcie umowy UBEZPIECZENIA ODPOWIEDZIALNOŚCI CYWILNEJ.

W ramach tego ubezpieczenia PZU:

- przyjmuje załatwienie roszczeń poszkodowanych
- wypłaca odszkodowania
- ponosi koszty ewentualnych procesów sądowych
- zapewnia pomoc i doradztwo prawne

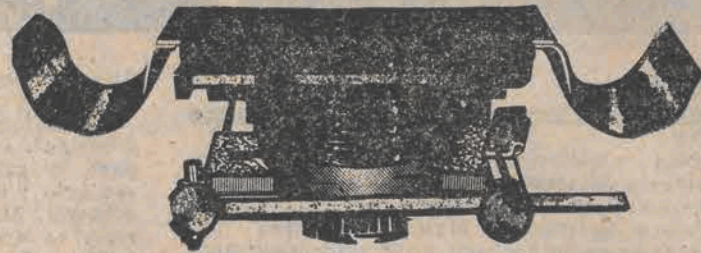
Ubezpieczenie OC jest skierowane do jednostek gospodarki społecznej i nieuspołecznionej oraz osób fizycznych a w szczególności: właścicieli nieruchomości, sklepów i warsztatów, lekarzy, weterynarzy, nauczycieli, instruktorów oraz stowarzyszeń, związków i organizacji wyznaniowych.

UBEZPIECZENIE OC TO NISKIE SKŁADKI I WYSOKIE ODSZKODOWANIA.

Szczegółowych informacji udzielają i ubezpieczenia przyjmują inspektoraty, oddziały oraz pośrednicy PZU.

2950/K

UWAGA FOTOAMATORZY!



OTRZYMASZ BEZPŁATNIE FILM KOLOROWY,

jeżeli

z Twojego negatywu wywołanego u nas wykonamy co najmniej 20 dobrych zdjęć!

- Wywoływanie filmów ORWO, AGFA, KODAK i innych w urządzeniach najlepszych firm światowych,
- Odbitki barwne robione wyłącznie w automatach AGFA i GRETAG na papierach polskich i zagranicznych,
- Odbitki ze slajdów wykonywane techniką specjalną na papierze odwracalnym.

**STUDIO FOTOGRAFICZNE AFP
ZAPRASZA!**

adres: 03-318 Warszawa, ul. Ogińskiego 5a, tel. 11-50-95.

00-545 Warszawa, ul. Marszałkowska 72,

tel. 28-32-29.

Prace można również nadsyłać pocztą.

2506/K

UBEZPIECZA NOWOCZESNYCH

**W „WESCIE”
ZAWSZE ZYSKASZ I ZAOSZCZĘDZISZ**

**PRZEDSTAWICIELSTWO
SPÓŁDZIELCZEGO ZAKŁADU
UBEZPIECZEŃ „WESTA”
w Łodzi**

**UPRZEJMIE
INFORMUJĘ**

że jego pośrednicy są upoważnieni do zawierania umów ubezpieczeń także na warunkach odpowiedzialności identycznej jak ogłoszone w Dzienniku Urzędowym Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej „Monitor Polski” przez prezesa Państwowego Zakładu Ubezpieczeń, ale według innych znacznie niższych składek.

„WESTA” PROPONUJE

poza tym inne rodzaje ubezpieczeń majątkowych i osobowych np.

- ubezpieczenie kredytów,
- ubezpieczenie kosztów leczenia i renty,
- ubezpieczenie następstw błędów w leczeniu,
- ubezpieczenia młodzieży,
- ubezpieczenia pracowników w sektorze niepaństwowym,
- ubezpieczenia gospodarcze,
- ubezpieczenia niekonwencjonalne np. nóg sportowca, głosu śpiewaka, włosów aktorki, rąk pianisty lub chirurga oraz inne formy ubezpieczeń nie znanych dotąd w naszym kraju.

Nie zwlekaj z ubezpieczeniem

WESTA I PZU CZEKAJĄ NA CIEBIE

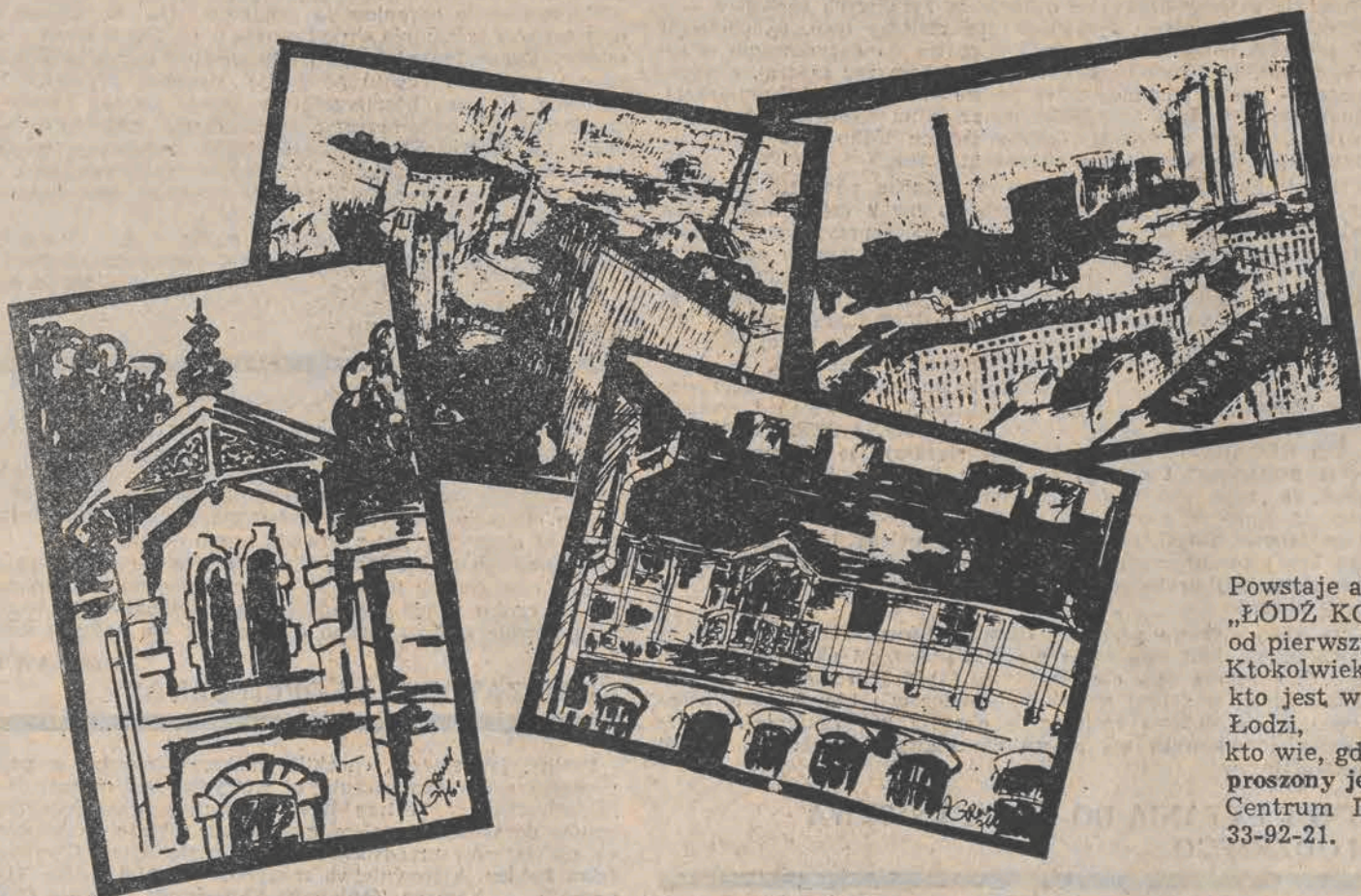
— Ty wybierasz!

NASZE ADRESY:

- Sieradz, ul. Wyzwolenia 2, tel. 715-68.
- Rawa Mazowiecka, ul. Polna 8, tel. 44-26.
- Bełchatów, oś. Tysiąclecia, bl. 7, m. 54, tel. 48-69-05.
- Łódź, ul. Nowotki 8, tel. 32-56-61.

3183/K

Polisa ubezpieczeniowa to także towar



UWAGA! — UWAGA!

Powstaje album malarski o naszym mieście

„ŁÓDŹ KOLOROWA”,

od pierwszych obrazów po dzieła współczesne.

Ktokolwiek z artystów profesjonalnych malował Łódź, kto jest w posiadaniu obrazów przedstawiających pejzaż Łodzi,

kto wie, gdzie takie obrazy się znajdują —

proszony jest o informacje pod adresem:

Centrum Informacji Kulturalnej, ul. Zamenhofa 1/5, tel. 33-92-21.

3182/K

Pisałem swego czasu, że miałem kłopoty z ciepłą wodą. Jeden z moich sąsiadów powiedział, że bym nie wydziwiał, bo w końcu miałem wodę zimną i mogłem ją sobie do woli podgrzewać. I miał rację. 1 listopada 1988 roku w godzinach bardzo rannych, gdy jeszcze większość ludzi śmacznie śpi, jakieś licho podkuśliło mnie, abym poszedł do łazienki. Wyszedłem człowiekiem odmie-nionym. Moja wiedza o otaczającym świecie była bowiem więk-sza od tej, z którą wszedłem do łazienki. Wiedziałem, że nie ma wody i w kranach syczy.

Za chwilę zadzwoniła sąsiadka Olesia K., która mieszka w dru-giej części bloku i zapytała, czy u nas też nie ma wody.

— Ani zimnej, ani ciepłej — odpowiedziała lepsza połowa na-szej społecznej minikomórki. — Ten kretyn — to o mnie — po-laził do łazienki i przyniósł tę straszną wieść. Pospalałbym dłużej w nieświadomości, a tak złał mnie traf.

To była prawda. A gdy złał ją trafia, lepiej zejść jej z dro-gi. Co zresztą zrobiłem. Mnie takie wiadomości wcale nie prze-szkadzają spać. Obie panie natomiast, każda w swoim mieszkaniu, wzięły się za telefonowanie. Obdzwończyły wszystkie pogotowia od gazowego po elektryczne z wodociagowym włącznie i dowiedziały się, że w żadnym nie zgłoszono naszej awarii.

— Coż to może być? — szeptało do słuchawki zlagiem tra-fione moje szczęście.

— Pewnie jakiś cwaniak robi fuchę — zahuczało basem w słuchawce telefonicznej. Ta koncepcja nawet mi odpowiadała. Logicznie rozumując, to właśnie była najlepsza pora. Żeby w całym bloku włączyć wodę i coś szybko zreperować. Nim lu-dzie wstaną i zaczną się myć, woda wróci do kranów. Ale ta koncepcja upadła po kolejnym telefonie Olesia K. Okazało się bowiem, że w szóstej klatce schodowej, licząc od naszej, a w drugiej, licząc od klatki Olesia K., jakiś „jolep” wyjechał i cze-gos nie dokreślił. Woda leci i „gospodarz domu” zakreślił wodę w całym bloku.

Kto nie korzysta z dobrodziejstw wodociągów i kanalizacji, ten nie wie, że reparacja wodociągu na zewnątrz bloku zajmuje się inne pogotowie, a wewnątrz inne. To inne pogotowie miało pełne ręce roboty i pojechało tam, gdzie woda leci. My byliśmy w tej szczęśliwej sytuacji — dla pogotowia — że u nas nie nie leciało, więc pogotowie nie miało po co do nas jechać.

Zimna woda

— Po to — tłumaczyła żona — aby zakreślić wodę w tym pio-nie, w którym jest awaria i włączyć w pozostałej części.

Ktoś po drugiej stronie nie mógł tego pojąć. Okazało się, że do tej prostej czynności potrzebny jest „gospodarz domu”, bo jak on potwierdzi, że tak trzeba, to może przyjechać. Nie wiem, kto i kogo w końcu przekonał, w każdym razie około 11 zaczęło lecieć z kranu, co stwierdziłem przypadkowo i szybko nałapałem wody do wiadra. Chciałem jeszcze nałapać do wann, ale już je zabrakło. Trzymając wiadro pod kranem zaśmiewałem się ze swej głupoty, bo teraz łapie wodę, skoro już wróciła do kranu. Ale moja głupota okazała się niebawem mądrością.

Ludzie mają taki zwyczaj, że jak odkręca kran i nie ma w nim wody, to zostawiają „dkrecony, aby wiedzieć, kiedy woda będzie leciała. Zapominają o tym i pędzą do kościoła — bo to było święto — lub do pracy, szkoły, po zakupy. Gdy rzeczywiście włączy wodę, to leci ona już nie tam, gdzie była awaria, ale w kilku innych mieszkaniach i znów trzeba zakreślać wodę w całym bloku.

— Ale bywa jeszcze gorzej. Po pierwsze — zawory dla całych pionów bywają w piwnicach. Klucze od piwnic mają gospodarze tych piwnic. Ich też często nie ma w domu, gdy w obo-jęnie przecieka. Po drugie — zawory nie są latami konserwowane. Jak nikt ich nie rusza, to trzymają się jakoś, jak ktoś je ruszy, to pękają i koniec. Po trzecie — niektóre są już zepsute, że nie nimi się nie zakreśli. Jedyny ratunek — zakreślić wodę w całym bloku. I po ponoc jest możliwe zawsze. Ale buję się, że przy dalszym postępie korozji rur dojdziemy do takiego momen-tu, że w razie awarii w jednym mieszkaniu trzeba będzie zakre-scać wodę na całej ulicy.

Zimna woda, ile cię trzeba cenić ten tylko się dowie. Kto cie stracił! Myśmymy w naszym bloku dowiedzieli się o tym i już wemy, jak trzeba cenić wodę, i bardzo prosimy, aby już na nie doświadczać. Bardzo ciężko jest bez wody. Ech! Ale cierpliwości w milczeniu, w pokorze, ciesząc się jedynie na myśl, że na-za-jutrz skoro świt ekipy radosnych hydraulików popędzą do awarii i w mię ją usuną. No, bo inaczej...

Skoro świt żona zadzwoniła do brygady remontowo-budowlanej, ale oni nawet grzecznie wysłuchali jej żale, współczuli i powiedzieli, że trzeba najpierw zadzwonić do administracji. A administracja dziś akurat pracuje od... 10. Hydraulicy też przy-chodzą na... 10.

O godzinie 10.10 okazało się, że administracja już wie o awarii i hydraulicy właśnie wychodzą. Tym razem zadzwoniła Dorota K., która wróciła wieczorem z podróży i nie wiedziała, dlaczego nie ma wody w mieszkaniu. Gdy się dowiedziała, to nawet się ucieszyła, że już dzielni hydraulicy ruszyli do... pracy. Panie uzgodniły jednak między sobą, że Dorota K. zadzwoni za jakiś czas do administracji i zorientuje się w postępie prac. Dorota K. zadzwoniła do nas o 11.10 i powtórzyła to, co już wiedzieliśmy: hydraulicy właśnie wyszli. Ile razy można wycho-dzić? Później nadeszła wiadomość, że mają klucz. Od czego i do czego, do dziś nie wiem. Później, że są kłopoty. Siedziałem brudny, zły, głodny i kłamałem na czym świat stoi. Około 11.50 coś zabulgotało w kranach. Polała się woda. Napuściłem jej trochę do wanny, do wiadra i... już do czajnika nie starczyło. Ale ob-mycie i twarz i ręce można było. Po godzinie 12 woda powróciła i została z nami. Och, jak dobrze mieć choć zimną wodę. Proszę jednak ciepłej nie wylać! Bez głupich kawałów.

Gdy ktoś mi mawia, że lokatorzy powinni dbać o porządek, sami wyznaczyć dyżury, sprzątać schody i tak dalej, to gotowym kąsać wyć i drapać. Wilk we mnie wstępuje. Lokator powinien — owszem — dbać o wspólne dobro nie niszczyć go, nie śmieć i tak dalej. Ale gdy zdarzają się awarie, to do ich usuwania potrzebni są specjaliści. A ci znów...

Na klatkach schodowych zainstalowano takie zmyślane urza-dzenie, które samo wyciąga światło. Zapalasz na dole, wejdiesz na górę, a światło cyk! i jest już zgaszone i to urządzenie prze-stało działać, bo włącznik się popsuł. Lampy na schodach paliły się dzień i noc. Zaczęło się to gdzieś miesiąc temu. Po jakimś czasie zameldowaliśmy o tym administracji. Wysłuchali i powie-dzieli, że dobrze, zreperują. Nie zreperowali. Zarówki już się poprzepalały pozostałe palą się nadal dzień i noc. Był zresztą elektryk zmyślane urządzenie, które samo gasiło elektryczność włącznik.

— Dlaczego? — pytam — przecież tylko ten włącznik na do-le jest zepsuty.

— Wiem — odpowiedział niezbyt uprzejmie — ale nie mam na wymianę.

Otoż to. Spieramy się zacięcie o to, czy zamknięto stocznę słusznie, czy niesłusznie. No i dobrze. Ale żeby tak w wolnej chwili od tych sporów wziąć się za drobną wytwórczość i przy-wrócić ją na tyle do życia aby zapasowych zaworów, wyłączni-ków różnej maści i innych drobiazgów było pod dostatkiem. Bo wielki przemysł buduje wielkie rzeczy, a człowiek do tego, aby wszystko wokół niego funkcjonowało potrzebuje tysie-cie drobiazgów, których nikt nie produkuje, a kiedyś produkował. I komu to przeszkadzało?

ZENON POROWATY

NR 47 (1599), 20 LISTOPADA 1988 R.

1

Pod prąd

Wstęp do SLN!

Tocząca się obecnie dyskusja nad projektem ustawy o stowarzyszeniach zdaje się świad-czyć, że idzie wreszcie ku lep-szemu i już niedługo wszyscy obywatele naszego pięknego kraju będą mieli możliwość zrzeszać się także wedle własnej woli i potrzeby, nie zaś tylko — woli i potrzeby władz, które z natury rzeczy zawsze popierają posłusznych i pokor-nych, zaś na wszystkich innych patrzą co najmniej podejrzli-wie. Żywią też głęboką nadzieję, iż dyskusja ta, przez niektórych nazywana szeroką społeczną konsultacją, przyczy-ni się do przyjęcia przez Sejm ustawy w takim kształcie i brzmieniu, by nie trzeba jej było za rok lub dwa nowelizo-wać, co najprawdopodobniej czeka kilka przyjętych ostatni-mi laty ustaw. Czas już bo-wiem najwyższy zaprzestać ta-tania starych portek, które roz-łaziła się w palcach. Pora u-szyć nowe: solidne i na miarę.

Pisząc to, mamy przy tym na myśli nie tylko tak zwany interes ogólnospołeczny, czy — jak kto woli — racie wyższe-go rzędu, ale również — ko-rzyści, jakie ustawa o stowa-rzyszeniach przyniesie może bezpośrednio mnie, kilkorgu moim znajomym, a także, być może, innym osobom, które myślą i czują podobnie. Rzecz w tym, że wspólnie ze znajo-mymi mam zamiar już wkrót-ce założyć Stowarzyszenie Lu-dzi Normalnych, działające — najogólniej mówiąc — na ni-wie normalizacji naszego co-dziennego życia, jako że nor-malne przecież to ono od dawna już nie jest.

Respektując prawa i obo-wiązki obywatelskie zawarte w Konstytucji PRL, stowarzysze-nie nasze grupowałoby tych lu-dzi, którzy mimo długoletniej presji warunków i otoczenia, często za cenę wielu wyrze-czeń, przykrości albo osamot-nienia, potrafią jeszcze nor-malnie myśleć i żyć. Co to oznacza — określi precyzyjnie opracowywany właśnie statut. Niemniej dla orientacji i — co tu kryć — reklamy, pragnę od razu wyjaśnić, iż członkami stowarzyszenia będą mogli zo-stać osoby, które między inny-mi:

nie kradną prywatnego ani społecznego mienia; nie oszu-kują organów administracji państwowej w celu uzyskania korzyści materialnych bądź prestiżowych; nie wykorzystują zajmowanego stanowiska do poprawiania standardu życia swego i najbliższej rodziny; nie spekulują na giełdzie sa-mochodowej ani jakiegokolwiek innej; nie handluje na wy-cieczkach zagranicznych; nie wydają więcej niż zarabiają; nie budują sobie własnoręcz-nie domów, jeśli nie są mura-rzami; nie wstępują do partii, aby awansować i nie wystę-pują, aby przypodobać się o-pozycji; nie dają i nie przy-jmują łapówek; nie rozdają się, aby zachować w rodzinie drugie mieszkanie; nie tamia-danego publicznie słowa; nie starają się niczego w sklepie załatwić, lecz kupić; nie szu-kają „dojść”; nie dopisują się do cudzych wynalazków; nie wystawiają sami sobie wniosków o przyznanie odzna-czeń państwowych; nie proszą rodziny za granicą o przysła-nie im w prezencie magneto-widu ze względu na „trudną sytuację w kraju”; nie pracu-ją dodatkowo na fikcyjnych pół-i czterechciatach, a przy tym wszystkim nie przepijają całej pensji z żalu, że nie u-rodził się w jakimś innym kraju.

Na razie jest nas, kandyda-tów na członków-założycieli, siedmioro. Sześciu mężczyzn i, niestety, tylko jedna kobieta. Zdajemy sobie sprawę, że liczb-a ta może okazać się za ma-lą, aby SLN zostało zarejestro-wane i zaczęło legalnie dzia-łać. Wierzymy jednak, że w kraju znajdzie się jeszcze choć kilkanaście osób w wieku po-wyżej osiemnastu lat, które spełniać będą przedstawione powyżej kryteria, a przy tym zechcą dołączyć do naszego grona.

Czekamy na zgłoszenia.

JÓZEF RETMAN

2

Lewym okiem

Przed wielką widownią

Zdumiewający wynalazek te-lewizji sprawił, że w kraju naszego widzenia znalazła się niewyobrażalna do niedawna ilość krajobrazów, ludzi, spraw i sytuacji. Chcę zwłaszcza zwrócić uwagę na nieprzebraną liczbę ludzi w przeogromnej masie sytuacji, jakich dawniej nigdy byśmy na własne oczy oglądać nie mogli. Zbankruto-wany działacz amerykański wchodził na mównicę na jakimś tam zebraniu, filmowanym i nadawanym przez telewizję, strzelał sobie na oczach zebranych w skroni, widzi to milio-ny ludzi na całym świecie. Jacopetti ustawia sobie przed obiektywem scenę rozstrzelania zakładnika murzyńskiego; w czasie jednej z ostatnich rewolu-cji w Meksyku filmowcy pla-cą przywódcy oddziału powstań-czego, żeby przystąpił do bit-wy dopiero w pełnym świetle dnia, by zdjęcia wypadły lep-piej. Myślę, że reżyser nie ka-zał powtarzać tej bitwy po raz drugi, nawet jeśli zdjęcia nie były dobre.

Nadajemy na żywo przemó-wienia posłów z parlamentu, nie reżyserowane mowy pogrze-bowe nad otwartymi mogiłami, przestępcę spowiadającego się w konfesjonale. W tych wypad-kach także nie można prosić o powtórzenie sceny. Poseł nie powtórzy swojej mowy, prze-stępca nie zacznie od począt-ku się spowiadać, ale przecież oni wiedzą, że są obserwowani przez obiektyw, a za jego po-srednictwem — przez miliony lub setki milionów oczu. Oni o tym wiedzą i to nie może nie wpływać na ich zachowa-nie, wyraz ich twarzy i na sło-wa, które mówią. Kandydaci na prezydentów Stanów Zjed-noczonych, w czasie całej kam-panii wyborczej, wiedzą o tym doskonale, że są aktorami gra-jącymi swe role przed olbrzymią widownią.

Nie wystarczy już być poli-tykiem, działaczem, mężem sta-nu — trzeba być jeszcze dobrym aktorem telewizyjnym. Trzeba się po trosze miadryć do pu-bliczności, trzeba po prostu za-chowywać się pod publiczke. Zawsze i wszędzie, kiedy włą-cza się teleobiektyw.

Myślę, ile mów parlamentar-nych wyglądałoby zupełnie ina-czej, ile posłanek nie czesałoby się u fryzjerów przed sesją sejmową. Myślę też, że bardzo wiele osób, chcąc podobać się publiczności, przedobrze, zgry-wa się, że gra swoją rolę, sta-je się swą własną karykaturą.

Człowiek może stać się praw-dziwym dopiero w samotności, a samotności ani sfotografować, ani sfilmować w żaden sposób nie można. Można ją czasem podsłuchać, ale to już będzie sprowadzone tylko do jednego wymiaru samotności: do dźwię-ku. Takie podsłuchane dźwięki można powielić i przekazać przez radio, ale nie dosłyszmy jeszcze do tego, żeby bez wie-dzy podsłuchiwanego upow-szechnić na wielką skalę jego najbardziej prywatną intym-ność. Nie dosłyszmy ze wzglę-dów moralnych, obyczajowych. Same natomiast techniczne względy nie pozwalają nam, jak dotychczas, podglądać czło-wieka bez jego wiedzy, upow-szechniać to, co czyni w mniema-niu, że jest samotny.

Co prawda słyszałem już o owym wynalazku wprowadza-nym na razie na użytek kry-minalistyczny. Mianowicie można człowiekowi wszczepić lub też wytatuować mu na skórze jakieś mikroskopijne znaczniki, pigułki czy igielki, naładowane radioaktywnie i potem, przy pomocy odpowiednich apar-atów, śledzić tego człowieka, gdziekolwiek by się tylko zna-lazł. Wszędzie i zawsze jest obserwowany, śledzony, rejestr-owany. Zbędnym staje się meldowanie w milicji, milicja i tak, w każdej chwili wie, gdzie jest i co robi podopiecz-ny osobnik. Strach pomyśleć, że wynalazek ten może być i — chyba niestety będzie — u-doskonalany i stosowany coraz powszechniej. Dyskrekcja stanie się wówczas pojęciem histo-rycznym — intymność będzie pustym dźwiękiem, a samot-ność przestanie w ogóle być przyrodzonym prawem myśla-cego homo sapiens.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

3

Sport

Powiało optymizmem

1.

Węgrów uważamy za naszych bratanków. Cieszymy się, kiedy oni zapożyczają coś od nas lub kiedy ich doświadczenia mogą się nam przydać. I oto nadarza się wspaniała okazja, aby nau-czyć się czegoś dobrego od na-szych przyjaciół — Węgrów. Postanowili oni bowiem, że zro-bią wreszcie porządek z kup-czeniem meczami.

Węgierskie wróble — podobnie jak polskie — ćwierkały na węgierskich dachach, że wyniki meczów ustala się z góry i ta-kie „przewidywanie” drogo ko-sztuje jedną ze stron, jak każ-de wrócenie z czegośkolwiek. Różnica tylko w tym, że wyniku meczu nie zgadywano, a usta-lano. Z tego powodu Węgier-ski Związek Piłki Nożnej uz-nał wyniki wiosennej rundy li-gowych rozgrywek za nieofi-cjalne i zwrócił się do Central-nej Ludowej Komisji Kontroli z wnioskiem o zbadanie sprawy. Centralni kontrolerzy musieli jednak... zrezygnować, gdyż nie potrafili złamać piłkarskiej zмовы.

Do dzieła wzięła się wówczas gazeta „Nepsport”, która zwró-ciła się do swoich czytelników z prośbą, aby telefonowali i podawali fakty dowody, domy-sły na temat przekupstwa kwitującego w węgierskim pi-lkarstwie. Ale — nikt nie za-dzwonił.

Wtedy sprawę oddano... po-licji. Policja wszczęła dochod-zenie i już przeszło 30 piłka-rzy, działaczy trenerów zna-lazło się w areszcie. Teraz bada wszystkie wyniki meczów nie tylko z 1988 roku, ale i z lat poprzednich. Zapowiada się wielka afera!

Gdy czytam o sukcesach węgierskiej policji, to zastanawiam się, czy coś takiego udałoby się u nas? No, bo my mamy kluby wojskowe, milicyjne, stocz-niowe, hutnicze, górnicze, a każ-dy z nich powiązany jest z ja-kimś — jak to się uczenie mó-wi — lobby. A może jednak i u nas znajdują się odważni? Po-wiało jakby cokolwiek optymiz-mem, tyle że z daleka...

2.

Optymizmem powiało też z Seulu, gdzie uparcie tropiono doping i z Ottawy, gdzie ob-radował Światowy Stary Kon-gres Antydopingowy Sportu W Ottawie określono nie tylko to, czego brać nie wolno, ale i karv, jakie, za branie muszą spaść na zawodnika i jego o-biekunów. Ale najważniejsze jest to, że tam postanowiono, iż badania będzie się prowadzić nie tylko po zawodach, ale i przed, w czasie treningu rów-nież. Okazuje się, że nauka no-siada już wszelkie niezbędne metody do tego, aby ustalić kto i co bierze, i to bez naj-mniejszych wątpliwości.

Tu muszę z satysfakcją przy-pomnieć, że nie wierzyłam w bajkę o barszczyku, krokciecie i siłach nieczystych, które chciały skompromitować pol-skiego hokeistę w Calgary. Okazuje się — w wyniku badań przeprowadzonych w Instytu-cie Sportu w Warszawie — że ów młodzian był „zdrowo na-szpikowany” i to nie doustnie, ale przy pomocy strzykawki. Zresztą naukowcy z Instytutu Sportu w Warszawie posiadają również aparaturę i metody, aby ustalić, kto i co bierze. I mają pełną na to dokumenta-cję, tak że dla nich sportowcy pracujący na „koksie” nie są tajemnicą.

— Ale tu powiew optymizmu się kończy, gdyż oni badają, piszą raporty, wysyłają je komu trzeba i wszystko toczy się na-dal, jak się toczyło. A na na-ukowców z Instytutu Sportu w Warszawie wywierany jest nacisk, aby nie mówili tego, co wiedzą. Atleci chcieli ich na-wet „pobić, aby wycofali się z ogłaszania tego, co odkryli w ich organizmach. Szkoleniowcy lekkoatletów, między innymi Ho-norat Wiśniewski i Romuald Rezini zostali zwolnieni z pra-cy, choć z pożytkiem współpra-cowali z Instytutem Sportu w wykrywaniu doping. Czy to tylko przypadek?

3.

Powiało optymizmem z ostat-nich występów poznańskiego Lecha, zabrzańskiego Górnik i z Włoch; gdzie z reprezentacją ligi włoskiej grała reprezen-tacja ligi polskiej. Wprawdzie Lech i Górnik odpadli, a re-prezentacja ligi tylko zramiso-wała, ale mecze dało się oglą-dać z pewną satysfakcją i bez wyrażania brzydkich wyso-rod adresem trenera i piłkarzy. Słabutki to optymizm ale może coś się z tego urodzi?

Nie wiem tylko, co zrobią te-raz sportowe władze, gdy po la-godnym potraktowaniu syna marnotrawnego ŁKS — Grzego-rza Wielką podobną historię „wyciął” Andrzej Rudy. Znik-nął z hotelu we Włoszech. Mo-że mafia sycylijska go porwa-ła i teraz będzie żądała od PZPN wysokiego okupu? Ale raczej w to wątpię.

4.

Nie zachłysnijmy się tylko tym lekkim powiewem optymizmu.

5.

ŁKS z okazji ukończenia 80 lat i krakowskiemu „Tempu” z o-kazji ukończenia 40 lat najlepsze życzenia sukcesów!

BOGDA MADEJ

ODGŁOSY 15

Przecząco kręciła głową, gdyż czymś niemożliwym było zapłodnić kapłankę. Nie ukrywała przed nim, ani przed sobą, że chociaż go nienawidziła, że go zniszczył kraj Ludzi Skrzydlatych, to przecież ona go pożałała, ponieważ jest tak piękny i silny. Pragnęła go też ostrzec, że wkrótce zginie, choć będzie długowiecznym. Nie wiedziała tego na pewno, gdyż jej proroczy sen był niejasny. Nie znajdując słów właściwych dla wyrażenia prośby — milczała. Długowieczność nie oznaczała bowiem nieśmiertelności; zginęło wielu Skrzydlatych, którym dano długowieczność. Niekiedy marzyła, że staje się żoną Piastuna i najwyższą kapłanką przy boku Piastuna, a on jak prawdziwy olbrzym rzuca na inne kraje cień swej potęgi. Zaraz jednak odrzucała to marzenie; bo proroczo mówiło o jego zgubie. Śmiała się cicho, gdy nocami na osobności pokazywał jej swoją sztukę czarów i „seidr”, albowiem wydawały się one jej tylko nieudolnymi sztuczkami. A przecież i on posiadał jakąś dziwną moc. Pewnego razu dał jej do wypicia słodkawo-gorzki napój i poczuła do niego miłość. Tej nocy leżała obok niego obnażona aż do pasa, wzięła jego dłoń i położyła ją na swoim łonie. Szepnęła:

— Weź mnie, panie, gdyż cierpię z pożądania.

Wtedy on okazał swoją siłę. Wstał i powiedział:

— Wezmę cię tak, jak mówi twoja sztuka czarów. Kiedy zostanie długowiecznym.

I odszedł w ciemność nocy, nie bojąc się nietoperzy. A wówczas jeszcze bardziej go pokochała, pojmując, że nie wolno lekceważyć jego sztuki czarów; ona nie umiała rozbudzić w nim miłości.

Obóz Czestocha zobaczyli na prawym brzegu rzeki Warty — kilkadziesiąt namiotów dla żołnierzy, ogrodzenia dla koni i wołów, dziesiątki półziemianek pokrytych dachem z żerdzi i trzciny. Na Warcie zbudowano most prowadzący w głąb bagnistej doliny zamkniętej z drugiej strony przez wapienną górę zwaną Jasną. Po moście wozy zaprzężone w woły dzień i noc dostarczały wapienne gazy, które zrzucano na bagno aż utworzyło się na nim twarde podłoże dla przyszłych wałów obronnych.

Ucieszyła Czestocha wielka ilość wołów i wołów oraz niewolników z rodzinami, jakie mu przywiódł Piastun. Rozkazał niewolnikom przystąpić natychmiast do budowy półziemianek dla siebie i rodzin, przerwał nawet wznoszenie warowni i polecił innym niewolnikom a nawet tarczownikom i żołnierzom, aby gromadzili siano i żywność na zimę. Eponia przepowiadała nadejście szybkiej i surowej zimy. Polecił też Czestocha, żeby obóz ogrodzono palisadą, zabezpieczając go przed napadami podczas zimy.

Oddziały Karaka przestały niepokoić Czestocha. Opowiadano, że książę Visulan wpiął się w spory wewnętrzny w państwie Wielkiej Morawy. Co raz rzadziej też staczano potyczki z włóczącymi się po okolicy niedobitkami armii Ludzi Skrzydlatych. Nie dalej jak onegdaj tarczownicy i Lestkowie Czestocha rozbili kilkuniosobową grupę Ludzi Skrzydlatych, odbierając im jeńca, jakiegoś dziwnego człowieka. Miał on na sobie bogate szaty, zachowywał się dumnie jak ktoś znaczny. Na wieść, że lada chwila przybył ma do Czestocha sam Dago Pan i Piastun, nie chciał odpowiadać na żadne pytania, oświadczył tylko, że jedynie z Piastunem będzie rozmawiał.

Rozstawiono dla Dagona i Eponii duże białe namioty. Zaraz też rozkazał Piastun, aby przyprowadzono do niego owego człowieka.

Tak oto przed Dagonem stanął młody mężczyzna rosnący postawą w drogocenne koleczudze, jedwabnej koszuli, z pasem nabijanym złotymi ćwiekami, w spodniach welnianych i wpuszczonych w buty z czerwonej habitońskiej skóry. Przyniesiono też jego pończochy — hełm z pawimi piórami, miecz z rekołeciami wysadzany drogiemi kamieniami, płaszcz podszyty bobrowymi skórami oraz sakiewkę ze złotymi solidami. Z rzeczy tych obrałowali go Ludzie Skrzydlati, przekonawszy ich, że żołnierze Czestocha przynieśli je do obozu nad Wartą.

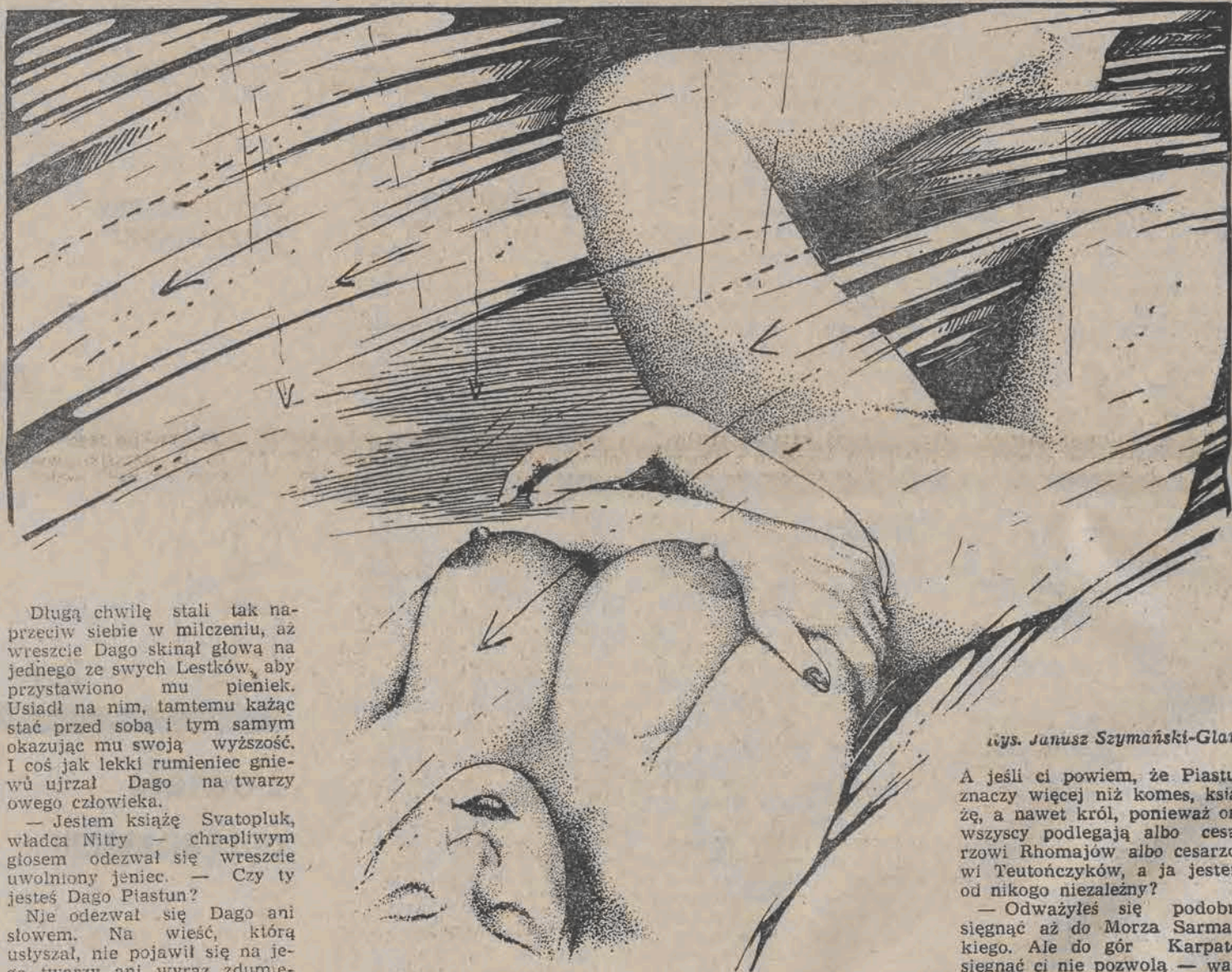
Obcy — w milczeniu, bez żadnej jednak uniżoności — skłonił się Piastunowi, poznając go po Świętej Andali na szale, białych włosach, pozbli-

cany pancerzu i białym płaszczu spletanym na ramieniu błyszczącą od klejnotów zapinką. Milczącym gestem nakazał Dago Lestkom, aby zwrócili jeńcowi jego hełm, płaszcz oraz drogocenny miecz. Nie pytał kim jest obcy, tylko przyglądał mu się uważnie. Nie chciał się odzywać jako pierwszy, ponieważ uważał, że to uwłacza jego godności. Uwolniony jeńca powinien sam powiedzieć kim jest i skąd pochodzi.

Lecz tamten nie nawykł chyba do zginania karku. Mowa ciała tego człowieka utwierdziła Dagona w przekonaniu, że ma przed sobą kogoś nawykłego raczej do zadawania pytań niż do odpowiedzi na pytania. Przyjął hełm i miecz oraz płaszcz jako coś oczywistego i wsparły na mieczu popatrzył dumnie na Dagona, który uważnie obserwował jego młodzieńczą, pełną pychy twarz, długie zwisające włosy i mocno zarosnięte, nie ogolone od kilku dni policzki.

ZBIGNIEW NIENACKI

Dagome iudex



rys. Janusz Szymański-Glane

Długą chwilę stali tak naprzeciw siebie w milczeniu, aż wreszcie Dago skinął głową na jednego ze swych Lestków, aby przystawiono mu pieniek. Usiadł na nim, tamtemu każąc stać przed sobą i tym samym okazując mu swoją wyższość. I coś jak lekki rumieniec gniewu ujrzał Dago na twarzy owego człowieka.

— Jestem książę Svatopluk, władca Nitry — chrapliwym głosem odezwał się wreszcie uwolniony jeńca. — Czy ty jesteś Dago Piastun?

Nie odezwał się Dago ani słowem. Na wieść, którą usłyszał, nie pojawił się na jego twarzy ani wyraz zdumienia, ani szacunku czy podziwu. Sztuka rządzenia ludźmi nakazywała władcy utrzymywanie twarzy w wyrazie nieprzeniknionym.

— Dziękuję ci, panie, że dałeś mi wolność. Teraz chcę od ciebie dobrego konia — ponownie odezwał się tamten.

Dopiero teraz skinął Dago, aby obcemu postawiono pieniek do siedzenia. Jeśli bowiem było prawdą, że miał przed sobą jednego z władców najpotężniejszego państwa w tych stronach, owej Wielkiej Morawy, czas było okazać mu trochę szacunku.

— Skąd wiesz, że dałem ci wolność — rzekł Piastun.

— Zwrócono mi broń.

— To nie nie znaczy. Miecz jest częścią stroju wojownika. Zrabowali ci go Ludzie Skrzydlati, więc zwróciłem ci to, co wzięli rabusie. Ale to nie jest wolność. Nie powiedziałeś mi bowiem, co robi władca Nitry tu, na granicy z państwem Visulan i czemu napadali na ciebie Ludzie Skrzydlati. Czy nie jesteś bowiem synowcem księcia Rostislava, pana Wielkiej Morawy i czy nie płaci Karak trybutu twojemu stryjowi? Skrzydlati podlegają zaś Karakowi. Nie wiem też, dlaczego miałbym cię obdarowywać wolnością, skoro Wielką Morawę i mnie dzieli państwo Visulan.

— Czy nie jesteś, panie, bratem i przyjacielem margrabie-

go Karolmana? — zapytał Svatopluk.

— To prawda. Jest mi on i bratem i przyjacielem.

— Zbuntowałem się przeciw niegodziwości mojego stryja, Rostislava, i do Karolmana chciałem uciec, aby go prosić o opiekę i pomoc. Rostislav wysłał jednak za mną pogoń i obsadził granicę z Bawarami, więc ścigany jak wściekły pies, przekroczyłem góry Karpatus i znalazłem się w kraju Visulan. Tutaj jednak także dosięgła mnie zemsta mego stryja. Aby zasłużyć się mu, książę Karak wysłał za mną pogoń. Uciekleś więc do ciebie, panie, chcąc z twoją pomocą dostać się do Karolmana. Lecz schwytał mnie Ludzie Skrzydlati już na granicy z twoim państwem. Potrzebuję konia i kilku żołnierzy dla ochrony, ponieważ po drodze wybito wszystkich moich wojowników.

Zaklaskł w dłonie Dago Piastun, rozkazując wnieść do namiotu stół oraz jadło i napi-

ojca. A szukam pomocy tam, gdzie ją mogę znaleźć.

— Czy myślisz, że margrabia Karolman da ci tę wolność jak na talerzu? Wejdź z tobą do twojego kraju, ale już w nim pozostanie. Tak bowiem czyni każdy.

— Wielu jest bitnych ludzi w Wielkiej Morawie. Trzeba im tylko właściwego władcy. Nie na próżno mówią o Morawie, że jest „Wielką”.

Zamyślił się Dago Piastun, ponieważ w Svatopluku odczuwał tę samą żądzę władzy co w sobie. I naprawdę nie wiedział: pomóc mu, czy uciąć głowę.

— Budujesz twierdzę, panie — stwierdził Svatopluk. — A to znaczy, że chcesz tu pozostać na zawsze. Czy nie boisz się gniewu i potęgi Karaka? Jesteś pewien, że uczynisz dobrze zajmując Kraj Skrzydlatych?

— Chcesz mnie uczyć sztuki rządzenia? — zapytał Dago.

— Ludzie Skrzydlati płacili

niesz noża w plecy od Mardów, którzy siedzą nad Pontem.

Svatopluk wzruszył niechętnie ramionami. Jego gest wyrażał lekceważenie.

— Do Dowiny i Nitry dochodziły nas wieści o tobie, panie. Mówiono, że nienawidzisz książąt i królów, ogłosiłeś się jakowymś Piastunem. Udało ci się zaprowadzić porządek w dawnym państwie Popiołowoskich, zdobyłeś kraj Ludzi Długowłosych i Skrzydlatych. Rośniesz w potęgę. Jak długo ci na to pozwoli mój stryj, Rostislav? Uczyni mnie wolnym i odprowadź do Karolmana, a ofiaruję ci przyjaciół.

Powiedział Dago:

— Nikomu nie płacę trybutu i nikomu nie podlegam. Wielka Morawa opłaca się Teutonom, aby zachować swoją wolność. Jeśli ci pomoże Karolman, będziesz jemu podlegał. Czemu więc jesteś taki hardy, skoro musisz paść na kolana przed Frankami i prosić mnie jeszcze, abym ci w tym pomógł?

(28)

ta. Takie właśnie lubię — rzekł dotykając warg końcem języka.

— Co wolisz: kobiety czy władzę?

— I jedno, i drugie, Piastunie.

Svatopluk nagle okazał się zupełnie trzeźwy. Przymrużył oczy, uśmiechnął się ledwo dostrzegalnie i oświadczył:

— Będzie jak zechcesz, Piastunie. Daj mi wolność i ludzi do ochrony mojej osoby. Pokonam twoich największych wrogów, Visulan.

— Przysięgasz? — znowu zapytał Dago.

— Przysięgam.

Roześmiał się głośno Dago Piastun.

— Co znaczy dla człowieka, który wierzy w Chrystusa, przysięga dana poganom?

I rozkazał przynieść swoje sakwy. Wyjął z nich złoty łańcuch z krzyżem i polecił Svatoplukowi, aby położył na krzyżu dwa palce.

— Jestem ochrzczony, jako i ty, Svatopluku. A jeśli nie uczyniłem dotąd niczego, aby mój lud uwierzył w człowieka na krzyżu, to tylko dlatego, że nie pragnę, aby wtrącał się w moje sprawy mnisz od Rhomajów albo biskupi teutońscy, jako wtrącają się w sprawy wasze i Bulgarów. Być może przyjdzie czas, gdy ochrzczony zostanie także i mój lud, jako jest na Wielkiej Morawie. Zrobię to ja, mój syn albo dopiero mój wnuk. Ale nie stanie się to wcześniej niż nową wiarę będziemy mogli otrzymać od kogoś równego sobie, a nie od potężnych Rhomajów lub Franków, ponieważ to oznacza niewolę. Czy nie pomyślałeś, Svatopluku, aby mieć własnego biskupa, wysławiającego kapłanów i nawracającego ludzi? Od ciebie przyjmie nową wiarę.

Spuścił głowę Svatopluk.

— Nie znasz chciwości biskupów teutońskich. Mój stryj Rostislav przyjął wiarę od Rhomajów i ich misję z Konstantynem i Metodem. Ale biskupi teutońscy tak długo buntowali się przeciw temu, aż papież wezwał Konstantyna i Metoda do Starej Romy. Jak słyszałem, Konstantyn pozostał tam w klasztorze, przyjął imię Cyryla i właśnie zmarł. Metody powrócił do nas i otrzymał własną diecezję, ale kapłanów nie może wysłuchiwać. Uciekam po pomoc do Karolmana i Bawarów. Będę musiał tym samym podporządkować się teutońskiemu biskupowi. Czy myślisz, że zezwoli Metodemu na posiadanie własnej diecezji? Zmusza mnie, abym wypędził Metoda i jego uczniów oraz ukorzył się przed teutońskimi biskupami. Nie liczę więc, że przyjmiesz nową wiarę z mojego kraju.

— Tedy nie przyjmę jej od nikogo — twardo rzekł Dago. — A teraz przysięgnij dotrzymać ze mną pokój, Svatopluku.

Położył Svatopluk dwa palce na krzyżu i oświadczył:

— Przysięgam...

Dago zaś rzekł wówczas:

— Wielka jest potęga Karaka. Zniszczył ja Svatopluka, ponieważ ja mam jeszcze wielu innych wrogów. Na razie nie ruszę się dalej na południe poza budowaną tutaj warownię. Przyjdzie jednak czas, gdy znowu się spotkamy i wtedy na nowo pokroimy kołacz.

— A co z przepowiednią, że sięgniesz aż po góry Karpatus? — kpiąco rzekł Svatopluk.

— Wróżba mówiła, że Dagon sięgnie tak daleko. Ja będę żył długo i jednemu ze swoich synów lub wnuków dam także imię Dago. Może to nie o mnie, ale o nim była ta wróżba? Ja jestem Dago Piastun, on może będzie nosił tytuł „Dagome iudex”, co znaczy „Dago władca”. Dagome iudex brzmi inaczej niż Piastun, prawda? Ja też mógłbym już mówić o sobie: komes, książę, iudex, ale najpierw mój lud muszę nauczyć szanować władzę, gdyż odwykł od tego przez Goluba. Tylko głupiec zrywa zielone jabłka i napętnia nimi brzuch. Potem bywa chory. Bierz więc wolność z moich rąk, Svatopluku.

— Dobrze, panie. Daj mi wolność i zawrzyjmy wieczysty pokój.

— Powiedzieli wróżowie, że będę władał od Morza Sarmackiego aż po Góry Karpatus. Kobieta, która tu siedzi z nami, uczyni mnie długowiecznym. Mam więc dość czasu, aby toczyć boje.

Svatopluk z uwagą spojrział na Eponję. Mowa jego oczu powiedziała Dagonowi, że Eponja rozpala w nim pożądliwość.

— To piękna i tłusta kobie-